

- **Kto był ojcem Józefa Stalina?** _____ str. 2
- **Marsz śmierci ze Stutthofu** _____ str. 4
- **Ruiny w centrum Łodzi** _____ str. 6
- **Czy prywatna firma ubezpieczeniowa spełni oczekiwania klientów** _____ str. 7

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 17 (1569) ROK XXXI 23 KWIETNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Historia ziemi obiecanej i narodu wybranego przez Boga Jahwe jest największą tragedią w dziejach ludzkich.

Ziemia święta czy przeklęta?

STANISŁAW KAWCZYŃSKI

Jakieś przekleństwo lub błogosławieństwo ciąży na tej krainie. Pierwsze piętno pojawiło się już przed milionami lat. W epoce trzeciorzędu Palestyna pękła wzdłuż linii północ-południe na dwie części: zachodnią (cisjordańską) i wschodnią (transjordańską). Powstało najgłębsze na kuli ziemskiej zapadlisko sięgające aż do Zatoki Akaba na Morzu Czerwonym. W rowie tektonicznym znalazła miejsce rzeka Jordan o długości 232 km. Toczy swe wody od podnóża masywu Dżabal asz-Szaich w Libanie, poprzez Jezioro Genezaret, do Morza Martwego.

Jezioro Genezaret ma 21 km długości, do 12 km szerokości i do 48 metrów głębokości. Znajduje się w depresji — 212 m poniżej poziomu morza. Obecnie w Izraelu nosi biblijną nazwę Jam Kinneret. Po hebrajsku „jam” oznacza jezioro lub morze, a „kinner” to

cyfra, która przypomina swym kształtem.

Wody jeziora są słodkie, prawie wszędzie nadają się do picia i obfitują w ryby. Nadbrzeżna ludność ma niewyczerpane wprost źródło utrzymania. W czasach Jezusa musiało tu być jeszcze piękniej niż dziś. Na otaczających ze wszystkich stron wzgórzach rosła bujna roślinność, były winnice, gaje oliwne, liczne osady i miasteczka. Wyznaczając wschodnią granicę ziemi obiecanej Bóg mówił do Moïszesa:

„Od Szelam pójdziesz granicą w kierunku Haribla na wschód od Ain. Potem pójdziesz dalej przez góry na wschód od jeziora Kinneret. Następnie będziesz biegła uzdłuż Jordanu i zakończysz się przy Morzu Stłonym” (Lb 34, 11-12).

Bardzo duża zawartość soli, wynosząca około 25 proc., cha-

5

Pogrzeb w Zakopanem

GRZEGORZ GALASIŃSKI

Patrz strona 13



Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Andrzej Gebarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),

Włodzimierz Krzeminski,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo

Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

mówionych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów. Za

treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach wojewód-

zkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

torów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli, osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach

— siedzibach Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

opłacają prenumeratę w urzędach

pocztowych nadawców-oddawców

właściwych dla miejsca zamiesz-

kania prenumeratora. Wpłaty do-

konuje się używając blankietu

„wpłaty” na rachunek bankowy

mięskowego Oddziału RSW

„Prasa — Książka — Ruch” 3.

Prenumeratę ze zleceniem wysy-

łki za granicę przysyła RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

Centrala Kolportażu Prasowy

Wydawnictwo ul. Towarowa 28,

00-958 Warszawa konto NBP XV

001045-139-11. Prenumerata ze

Przegląd prasy

Zaczynam od sprawy sensacyjnej. W poznajskim tygodniku „WPROST” (nr 16) przeczytałem szokujące wyznanie Franciszka Szlachetki. Otóż pewnego razu Nikita S. Chruszczow powiedział mu, że Józef Stalin był... Polakiem. W rozmowie z Markiem Zieleniemskim były minister spraw wewnętrznych wspomina:

„Tak, to było dość niesamowite. Opowiedziałem o tej rozmowie Moczorowi — nie wierzył, napomknąłem Chyrankiewiczowi. «Jeszcze tego nam brakowało» — skomentował. Nie dawało mi to jednak spokoju i będąc w Moskwie zacytowałem słowa Chruszczowa pewnemu staremu czekiście. «To nie żart» — zaśmiał się. I opowiedział, jak to znany badacz Azji polskiego pochodzenia, hrabia Przewalski, poznał ubogą Gruzinkę. Ta prosta dziewczyna urodziła dorodnego chłopaka. Była jednak zbyt niskiego stanu, aby liczyć na dożgonne więzy z hrabią, więc szybko znalazła dla niej męża. Był nim biedny szewc — pijaczyna. Nazywał się miał Dżugaszwilli”.

Następnie Franciszek Szlachetka pokazał dziennikarzowi zdjęcie Nikołaja M. Przewalskiego w najnowszej encyklopedii radzieckiej. Podobieństwo do Józefa Stalina jest uderzające. (Zob. Bolszaja Sowietsskaja Encyklopedia, t. 20 Moskwa 1975 s. 545).



Zdjęcie to można również znaleźć w naszej Encyklopedii Powszechnej PWN, t. 3 Warszawa 1975, s. 735. Ale najlepiej zajrzeć do Bolszoi Sowietsskiej Encyklopedii, t. 34, Moskwa 1955, s. 456. Jest tam ogromna, całonocowa, kolorowa fotografia, którą reproduujemy wyżej. Pokazałem ją, nie mówiąc o co chodzi, kilku osobom i wszystkie rozpoznaly... Józefa Stalina. A potem przeżyły prawdziwy szok.

Nikołaj Michajłowicz Przewalski (Przewalski) urodził się 12 kwietnia 1839 roku w Kimborowie koło Smoleńska, a zmarł 1 listopada 1898 roku. Pochodził z drobnego ziemiaństwa. W chwili urodzin Józefa Wissarionowicza miał 40 lat.

Kontynuując tę dygresję, bo sprawa jest niesamowita, pozwolę sobie zacytować następujące spostrzeżenie Nicolò Machiavellego (Wybór pism, Warszawa 1972, s. 669):

„Wydało się każdemu, kto się nad tym zastanawia, — rzeczą zdumiewającą... że znaczna większość lub prawie wszyscy, którzy na tym świecie dokonali rzeczy wielkich i wśród swoich współczesnych okazali się najznakomitszymi, pochodzili z dóbr społecznych, a ich urodzenie było niejasne, los zaś doświadczył ich ponad wszelką miarę”.

Na temat rodziców i dzieciństwa Józefa Stalina warto przypomnieć fragment powieści „Dzieci Arbatu”, który drukowaliśmy w „ODGŁOSACH” (nr 44) blisko pół roku temu. Anatolij Rybakow pisze, że Stalin wstąpił do tej na filmie Chaplina „Światła wielkiego miasta” i powiedział, że to o nim jest ten film.

„Ale to był film nie o nim, ale o jego ojcu, nieszczęsnym szewcu Wissarionie Dżugaszwilli. Kiedy wyruszał na zarobek,

zwykle do Telawi albo jeszcze gdzieś indziej, tak samo jak Chaplin, odwracał się po drodze, machał sztyfami ręką, smutnie, bezbronne się uśmiechał. Mieszkał wówczas w domu Kulumbegaszwilli, też szewca. Dom był dwupokojowy, jeden zajmowali Kulumbegaszwilli, w drugim gnieździł się on, Dżugaszwilli. Małutki, przesycony szewskimi zapachami domek, w którym pracował Kulumbegaszwilli, a ojciec bywał rzadko, jeździł do Kacheti, tułał się, nie układało mu się z matką. Matka była kobietą apodyktyczną, czystej krwi Gruzinką, z Kartweli, a ojciec rzekomo z południowych Osetynów, zamieszkałych powiat Gór. Jego przodkowie się zgrzeszyli, i dziadek zmienił osetyńskie «jeb» na swoim nazwisku «Dżugajew» na gruzińskie «szwili». Matka chodziła prac i sprzątać do bogatego wdowca Egnatoszwilli. W seminarium pogadywano, jakoby to właśnie on był ojcem Józefa; to właśnie on umieścił go w seminarium duchownym, gdyby był synem szewca Dżugaszwilli, to ten by go uczył szewskiego fachu, a nie włożył się po Gruzji. Wszyscy kłamią — nikomu nie można wierzyć. Małutki Josif dobrze wiedział, że jego ojciec — to szewc Wissarion Dżugaszwilli, cichy, dobry człowiek, chociaż matka zawsze mu wymyślała, mówiła, że to przez niego są tacy biedni, zmarłowi życie. Przez te wymówki Josif nie kochał matki”.

Nie udało mi się, niestety, wyjaśnić spraw najważniejszych. Po pierwsze, czy N. M. Przewalski był w odpowiednim momencie w Gruzji? I po drugie, czy miał polskich przodków? W encyklopediach radzieckich i polskich przedstawiany jest jako jeden z najwybitniejszych podróżników rosyjskich. Encyklopedia Powszechna S. Orgelbranda (t. 12, Warszawa 1902, s. 384) podaje, że po ukończeniu akademii sztabu generalnego w 1863 roku był nauczycielem geografii i nauk przyrodniczych w szkole juników w Warszawie. Na pierwszą wyprawę udał się w 1867 r. do Kraju Ussuryjskiego. Znamy jest w świecie m. in. jako odkrywca dzikiego konia i dzikiego wielbłąda.

Podobieństwo między Przewalskim i Stalinem jest niewątpliwe. Ale zdarzają się przecież takie przypadki „między genetycznie różnymi ludźmi. Chyba że ktoś ma w tej sprawie inne informacje...

O postaci Józefa Stalina pisze się obecnie bardzo dużo i zdecydowanie negatywnie. Coraz rzadziej pojawiają się głosy usprawiedliwiające jego działalność. Należy do nich wypowiedź dr. nauk prawnych Borisa Kuraszwilli w dyskusji przedrukowanej przez „FORUM” (nr 14). Oto charakterystyczny fragment:

„Czy by był Stalin, czy by go nie było, to — jestem o tym przekonany — okres kierowania metodami nadzwyczajnymi był nieunikniony. Dlatego, że nie wolno było nie uświadamiać sobie tego, co uświadamiali sobie Stalin: «Pozostaliśmy w tyle za krajami produkującymi o 50—100 lat. Musimy przebiec ten dystans w ciągu 10 lat. Albo to uczynimy, albo nas zmiażdżą». Zostało to powiedziane w lutym 1931 roku. Magiczna przypadkowa zbieżność, czy zdolność przewidywania? Oczywiście można argumentować, że kontynuacja NEP-u dałaby te same wyniki. Tego nie wiemy. Wiadomo natomiast, że lata trzydzieste stworzyły nasz potencjał militarno-gospodarczy. (...) W okresie życia jednego pokolenia przekształciliśmy się z kraju zacofanego, z prowincji polityki, w to czemu nadaje się obecnie nazwę «supermocarstwa». Wytrzymaliśmy straszliwą wojnę i staliśmy się jednym z dwóch centrów światowej polityki. Nie znam w historii świata drugiego przykładu takiego wzrostu. (...) Powinniśmy jednak rozważyć, dlaczego ten przekłety kult jednostki zachował do dziś w pamięci narodu również jakieś cechy pozytywne. Dlaczego kierowcy wciąż ustawiają za sobą portrety Stalina? Po styczniowym (w 1937 r.) plenum KC KPZR jeździłem z odczytami do Kiemerowa i Tomski — na co drugim spotkaniu pytano mnie, kiedy wrócić do Wolgogradu? Zostanie przywrócona «prawdziwa» nazwa. Skąd się to bierze? Oczywiście Stalin popełnił oburzające bezprawia i okrucieństwa, i naród mu tego nie przebaczy. Jednocześnie jednak

zostawił pamięć o sobie jako o działaczu, który nie pozwalał «naczalstwu» rozczuchalić się. Rozumiecie? To właśnie pozostanie”.

Zdaniem B. Kuraszwilli (Instytut Państwa i Prawa AN ZSRR) Stalin był osobistością ogromnej skali i rezultaty jego działania są ogromne. Rezultatów tych NEP nie zdołałby dać nawet po upływie wielu dziesięcioleci.

W odpowiedzi inni dyskutanci zwrócili uwagę, że są to przecież rezultaty straszliwe, że wzrost zapowiadał późniejszy upadek, że Stalin wyzwoił ludzi od sumienia, że sukcesy osiągnął nie dzięki niemu, lecz wbrew niemu...

W tygodniku „KULTURA” (nr 13, 15 i 16) warto przeczytać zapisy rozmów Stanisława Mikołajczyka z Józefem Stalinem. Kiedy premier rządu emigracyjnego próbował wyłagować korzystniejszą dla Polski granicę wschodnią niż linia Curzona, Stalin odparł:

„Nie mogę krzywdzić Ukraińców. Jestem za stary, żeby działać wbrew memu sumieniu. Niech Pan również pamięta, że Ukraincy domagają się ziemi chełmskiej. Jesteśmy temu przeciwni. A w Armii Czerwonej służy 1 100 000 żołnierzy ukraińskich”.

Poproszony o słowa otuchy dla Polaków, Stalin poradził Mikołajczykowi, żeby nie polegał na słowach. Czyny są ważniejsze od słów...

Po wojnie Stalin miał sporę poparcie w naszym kraju. Antoni Zambrowski przyznaje w miesięczniku „KONFRONTACJE” (nr 3), że przed XX Zjazdem KPZR był bardziej stalinowski od swego ojca. Rewelacje N. S. Chruszczowa przyjął bardzo źle. Natomiast ojciec (Roman Zambrowski) wcześniej wszystko zrozumiał i był liberalnym. Kiedy później zauważył, że Gomulka wycoufuje się z odnowy — złożył dymisję w marcu 1963 roku.

W tym samym miesięczniku szczególnie zachęcam do lektury wywiadu ze Stefanem Kisielewskim, który przeprowadził Jerzy Szczęsny. Felietonista „Tygodnika Powszechnego” twierdzi, że „Solidarność” była przesłanką marksistowskim myśleniem, co uważa za błąd. Komunizm nie lubi. Opozycję uważa za ławę, patetyczną i populistyczną. Proponuje powrót do kapitalizmu, ale wycofuje się przeciw społeczeństwu.

„Ludzie chcą tej obfitości dóbr, jaka jest w kapitalizmie, ale samego kapitalizmu boją się jak diabła święconej wody. Boją się tego, że wtedy mogłoby nie być stałej pensji, że trzeba byłoby dobrze ruszyć głową i rękami, żeby na pierwszy były pieniądze w kasie. Pracownicy boi się utraty tego, co ma. Boi się utraty emerytury, opieki lekarskiej — nędznej bo nędznej, ale zawsze po wystaniu tych paru godzin, można się do darmowego lekarza dostać. Obawiam się więc, że w dzisiejszej Polsce większość społeczeństwa kapitalizmu nie chce. (...) U nas wielu ludzi spekuluje na zmianie sytuacji geopolitycznej. Ale zapominają o tym, że taka zmiana postawiłaby Polskę w arcytрудnej sytuacji. Co się wówczas dzieje? Niemcy będą chcieli mieć z powrotem Szczecin i Wrocław, Litwini zażądają Suwałki. Ukraińcy też będą mieli jakieś propozycje i nagle może się okazać, że ta Polska wszystkim zawadza. Więc ja bym powojennej sytuacji ucałe tak nie krytykował, bo mogło być dużo gorzej. Obecna sytuacja geopolityczną uważam za wręcz korzystną. Nieszcześnie polega jednak na tym, że warunkiem jej utrzymania jest obowiągujący system gospodarczy i polityczny — nie tak, jak w szczęśliwej Finlandii. Widzi pan, Gorbaczow zaczął od nadbudowy, od dziennikarstwa, pisarstwa, artystów. Dlaczego? Bo on jest mądry i wie, że jak się podniesie halas, to halas tak łatwo się nie uciszy. Ale zmianę w bazie jeszcze nie nastąpiła. Gorbaczow sam mówi, że to musi potrwać. Daj Boże, żeby jak najkrócej. Ja mu do brze życzę”.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Bolesne nauki historii

Znałem osobę z wyższym wykształceniem, która po kilkunastu wypadach do Pragi nie była jeszcze ani razu na Moście Karola czy na Hradczanach i w ogóle mniej o tym mieście wiedziała niż średnio rozgarnięty uczeń z książki do geografii. Zaryzykowałbym porównanie, że podobnie jak niejeden turysta niewiele korzyści (pozamaterialnych) odnosi z zagranicznych podróży, tak też wielu ludzi, przed których oczyma przesuwają się głośne wypadki historyczne, przecenia swoją rolę „żywych świadków historii”, którzy jednak spoglądają tylko powierzchownie wydarzenia nie zglębiając ich sensu, nie wyprawiając z nich ogólniejszych wniosków.

Zapewne mało co w historii może się równać pod względem rozmiarów strat i zniszczeń, okrucieństw i cierpień, rozmiarów złudzeń i zawiedzionych nadziei — z drugą wojną światową, która zwłaszcza na wschodnim teatrze działań osiągnęła wymiar apokalipsy. Po wojnie zaś okazało się, że cierpienia nie każdego uszlachetniały, a nauki historii nie każdego nauczyły rozumu. Przykładem nagminnym, choć w sferze niejako osobistej, mogłyby służyć obietnice składane sobie samemu w cichoci (lub Bogu), że jeśli dane będzie człowiekowi przeżyć (i to nie za cenę ześwinięcia się) to będzie zawsze umiał radować się choćby względnym zdrowiem i dostatkiem, a wobec innych będzie na pewno uczynny i wyrozumiały itp. Mniejsza o obietnice nie dotrzymane sobie, ale Bogu? Oj, brzydko...

A z jakże różnymi i nieraz zupełnie sprzecznymi przemysleniami i wnioskami moralnymi przeżywali wojnę świadkowie martyrologii narodu żydowskiego, niemal ocalając się o heroiczno-tragiczne powstanie w getcie warszawskim, którego czterdziesta piąta rocznica przypada w tych dniach.

Oprócz setek i tysięcy Polaków, którzy z narażeniem życia — swojego i swoich bliskich — pomagali ukrywającym się Żydom, zdarzali się przecież nikczemnicy żerujący na tragedii, szantażujący bezbronną nieszczęśników, wydający ich na niechybną i okrutną śmierć. Patriotyczne polskie podziemie zdołało części tych przestępców wymierzyć sprawiedliwość, potem skazywały ich na zasłużoną karę sądy Polski Ludowej, ale zbiorowa pamięć narodu polskiego powinna przechować pełny obraz tych czasów, po to, by wystrząsnąć z nich nauki.

W drugi dzień pamiętnej Wielkanocy byłem z najbliższymi w wizycie u krewnych, przesiedlonych z elegantszej dzielnicy Warszawy, zajętej przez Niemców, na „aryjską” stronę ulicy Pawiej (czy może Pańskiej?), przedzielonej wzdłuż wysokim murem. Zresztą najbliższe domy po stronie getta były już dawno ewakuowane, dla utrudnienia kontaktów ludności polskiej z gettem.

Nasłuchiwałem w przynębie i zgrozie odległych strzałów. W pewnym momencie jedna z młodych kobiet, o niewątpliwych uczuciach macierzyńskich i rodzinnych, osoba zdawałoby się subtelna i wrażliwa, nie potrafiła zapanować nad radością, że „ktoś nareszcie robi z Żydami porządek!” Po raz pierwszy w życiu pomyślałem wtedy, że zbrodnia legnie się nie w „sercu”, lecz w mózgu, że uczuciowość nie kontrolowana refleksją światłotopogładowa, nie gwarantuje właściwego kierunku wychowania jednostkowego i społecznego.

Bestialski mord na ludności żydowskiej i cygańskiej, okrutne prześladowania Polaków i innych Słowian, skazanych również na całkowitą zagładę w dalszym terminie, składały się na obraz nie przeczuwanego przedtem istnego — jak mówiono — piekła na ziemi. Ale już wtedy ludzie najokrutniejsi przez hitlerzyzm prześladowani zaczęli się dzielić, i to w obrębie każdej z uciemiężonych nacji, na tych co wybiegali myślą naprzód, w trosce, aby ludzkość mogła się skutecznie ochronić przed powtórzeniem się zbrodni ludobójstwa. I na tych, u których wylumaczalna psychologicznie chęć zemsty i odwetu okazywały się nieporównanie silniejsze od ogólnoludzkiej, humanitarnej refleksji. „Jest oczywiste, których było więcej...”

W każdym razie jeden wyszł z wojny bogatsi o zrozumienie niebezpieczeństwa faszyzmu i rasizmu, zdający sobie sprawę, że może on dojść do głosu wszędzie, a więc i w ich własnym narodzie, inni natomiast ulegli zarażeniu faszyzmem (jeśli nie byli nań chorzy jeszcze przed wojną), doszli do przekonania, że trzeba być silnym, bezwzględny wobec innych narodów, wyzwoilić się z „mrzonki cłkiewego humanitaryzmu”.

Co ciekawe, i jakże pouczające, że również część ocalałych ze straszliwego pogromu Żydów europejskich wzięła sobie do serca ową lekcję przemocy i okrucieństwa i ukazała zdumionemu światu prześladowanie ludności arabskiej, choć nie wolno nam nie dostrzegać, iż zarówno w samym Izraelu, jak i wśród Żydów rozsiadanych w świecie są środowiska najostrejsze piętnujące zbrodnie popełniane na narodzie arabskim.

To zdumiewające, że jeszcze tak wielu ludziom na świecie trudno jest wyrzec się dzielenia narodów na lepsze i gorsze, rozumieć, że każdy naród ma przyrodzone prawo do miejsca pod słońcem. W erze jądrowej jest to szczególnie niebezpieczne nastawienie...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Jest to reportaż o perfidnej kradzieży psa. Perfidna kradzież wydarzyła się w Łodzi, ale przedtem w Warszawie, na Pradze, która jak wszyscy wiemy stanowi gorszą, upodlegzoną połowę stolicy. Otóż wyobraźcie sobie Państwo, iż w „dostojowej” przy ulicy Kawczyńskiej siedział dwóch osobników. Młodszy miał lat trzydziści, starszy dobił czterdziestki, ale w sumie wyglądali na sto — początek sensacyjnego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO pt. „Bomba”.

— Po 49 latach prochy Stanisława Ignacego Witkiewicza spoczęły na starym cmentarzu zakopiańskim. Czy rzeczywiście prochy? W dniu pogrzebu śnieżna zasyłała miasto i okolice. Tłum forsował ploty i bramy cmentarne. Była to uroczystość pogrzebowa czy zjazd towarzyski? — reportaż MARKA KOPROWSKIEGO.

— W środę wieczorem, 13 kwietnia, po wizycie na cmentarzu i w domu brata, mieszkającego na stałe w Łodzi, Jerzy Kosiński urządził wraz ze swymi dawnymi przyjaciółmi wzruszający wieczór wspomnień, powrót już nie do kraju rodzinnego, lecz do osobistych, intymnych przeżyć, do lat młodości — artykuł MACIEJA ŚWIERKOCKIEGO.

— To, co było dla mnie wczoraj wieczorem ważne, podczas spotkania z moimi najbliższymi przyjaciółmi — siedzieliśmy wszyscy wokół stolika w „Malinowej”, w sali „Malinowej”, w której śladaliśmy przed trzydziestoma paroma laty, i nagle wydało mi się po jakimś czasie, że albo ja z tej sali „Malinowej” nigdy nie wyjechałem, albo ja w niej nigdy nie byłem przedtem — mówi autor „Malowanego ptaka” JERZY KOSIŃSKI.

„W programie były biegi, skoki i boks, lecz największą sensacją dnia stał się mecz piłkarski pomiędzy drużyną moskiewską i anglo-amerykańską. Kapitanem tej ostatniej wybrano mnie. Usiłowałem skompletować zespół, ale żaden kandydat nie posiadał doświadczenia w tej grze. Myślałem, że John Reed (autor słynnej książki „Dzień w życiu” — P.S.) był świetnym graczem, jeśli chodzi o football amerykański (ostra gra podobna do rugby), daleko odbiegał jednak od międzynarodowego poziomu piłkarskiego, podobnie zresztą jak pozostała część naszej drużyny.

Postanowiono, że jako najstarszy powiniennem stanąć u bramki. Co przeżyłem, trudno opisać! Moskowianie atakowali ostro, dosłownie bombardując nieszczęsnego bramkarza. Przepuściłem sześć piłek, a nie udało mi się obronić — straciłem rachubę. W drugiej połowie grałem w środku ataku w

cuska miały po 8 przedstawicieli. W materiałach Kongresu odnotowano obecność zaledwie jednego delegata partii polskiej, a był nim Julian Marchlewski. W warunkach wojny polsko-rosyjskiej 1920 r. KPRP nie zdolała przysłać delegatów z kraju na Kongres.

W obradach uczestniczyło wprawdzie jeszcze czterech polskich rewolucjonistów (Feliks Dzierżyński, Feliks Kon, Stanisław Pestkowski i Karol Radek), ale wchodzili oni w skład delegacji rosyjskiej. Aktywnością wyróżnił się Radek, od kilku miesięcy sekretarz Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, bardzo popularny wśród uczestników obrad. Julian Marchlewski, przewidziany przez organizatorów na referenta kwestii agrarnej, uczestniczył tylko w posiedzeniu inauguracyjnym Kongresu. Wobec błyskawicznego rozwoju kontrofensywy Armii Czerwonej w kierunku frontu pośpiesznie udał się Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński i Feliks Kon, stając

do Sykott Pankhurst [wybitna działaczka lewicowego nurtu angielskiego ruchu socjalistycznego; opublikowała skierowany do niej przez Gallachera list, w którym ostro wyłożył on swoje antyparlamentarne stanowisko — P.S.] Chociaż krytyka mojej osoby przeprowadzona została w tonie przyjacielskim, byłem wstrząśnięty. Jadąc tu ze Szkocji, myślałem, że jestem kimś!

William Gallacher na Kongresie próbował bronić swego stanowiska, co dla niektórych działaczy, np. K. Radka i P. Levi'ego, stało się okazją do drwin i docinków. Włodzimierz Lenin, którego William Gallacher poznał osobiście w toku Kongresu, podczas obrad komisji politycznej zganił jednego ze złośliwych krytyków i posłał Gallacherowi karteczkę: „Pisałem ci list, kiedy was jeszcze nie znałem”.

Większa część obrad toczyła się po niemiecku, w takim języku przemawiali też Włodzimierz Lenin i Grigorij Zinowjew. Po pewnym czasie nie tylko do komisji, ale i na

munistyczną stojących przed nią aktualnych zadań do przestrzeganie żelaznej dyscypliny partyjnej i powołanie silnego centrum kierowniczego, kompetentnego, ale i cieszącego się zaufaniem członków partii. Wszystkie partie komunistyczne zobowiązano do odrzucenia pozostałości ideologii socjaldemokratycznej i wypracowania w możliwie krótkim czasie programów zgodnych z duchem platformy programowej III Międzynarodówki. Uznano, że uchwały i postanowienia jej kongresów i Komitetu Wykonawczego zyskują moc obowiązującą dla poszczególnych partii członkowskich, a każda z nich miała przyjąć nazwę partii danego kraju uzupełnioną dodatkami: sekcja Międzynarodówki Komunistycznej.

Zasady sformułowane w „21 warunkach” wywołały podczas obrad żywą polemikę. Hiacinto Serrati z Włoskiej Partii Socjalistycznej twierdził, że do Międzynarodówki Komunistycznej powinny być przyjęte wszystkie partie, które się

Z tej ziemi

Dlaczego nie zostałbym Miss Polonia?

Zastanawiałem się, jak nazwać ten cykl komentarzy, który zaczynam publikować w „Ogłosach”. Początkowo myślałem, żeby nazwać go: „Paradoksy”. Zrezygnowałem jednak z tego pomysłu. Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w kraju pełnym paradoksów, ale myślny się stworzył i — niestety — tworzymy nadal. Jest to w końcu nasza rzeczywistość, czy nam się to podoba, czy nie. Lepiej, żeby to się nam nie podobało i żeby ten „Paradoksland” zmienić w normalny kraj na ziemi. I tak powstała nazwa tego cyklu: „Z tej ziemi”. Bo o naszych sprawach powszednich chcę pisać.

Na przykład o chlebie. 9 kwietnia 1988 roku była sobota, sobota, albo — jak niektórzy mówią — „sobota pracująca”. Przed wolną sobotą wszyscy starają się kupić chleb w piątek, bo wiadomo, że w wolne soboty sklepy są różne pootwierane i można zostać bez chleba na niedzielę. W „sobotę pracującą” sklepy powinny być otwarte normalnie — wszyscy przecież pracują — ale nie są, a ludzie naiwni sądzą, że w „sobotę pracującą” zrobią zakupy jak zwykle. A na dodatek ta sobota była po świętach pierwszą sobotą i handlowcy spodziewali się, że ludzie mają jeszcze świąteczne zapasy chleba. Okazało się to nieprawdą. W Łodzi i w Warszawie — być może, że w innych miastach też — zabrakło chleba.

Najciekawszy jest jednak sposób tłumaczenia się handlowców. W Warszawie tłumaczono się, podobnie zresztą jak w Łodzi, że chleba dano więcej, a mimo to zabrakło. Zdziwienie zarządzającego handlem było — przed kamerami DTW — zupełne.

W Łodzi natomiast gubiono się w sprzecznych danych. Wiceprezes „Społem”, Zdzisław Majchrzak powiedział „Dziennikowi Łódzkiemu”, że zwiększono o 10 ton dostawy chleba, a dyrektor Wydziału Handlu i Usług UML Jerzy Mysliwy temuż „Dziennikowi Łódzkiemu” powiedział, że wymuszono na „Społem” zwiększenie dostaw o 11 ton chleba. Z danych opublikowanych w „Głosie Robotniczym” wynika natomiast, że „Społem” dało 4,8 ton chleba więcej niż zamówiły sklepy. Dobrze chociaż, że „Społem” przeprosiło swoich klientów. Dawniej i tego nawet nie było. Ale czy wraz ze wzrostem poziomu grzeczności wyciągnięto jakieś wnioski na przyszłość, żeby jednak ten chleb był również w „pracujące soboty”?

W „Sztandarze Młodych” wyczytałem wstrząsającą wiadomość. Okazuje się, że magazyny „Cefarmu” w Warszawie pękają w szwach, czyli są przepełnione do ostatniej kropli. Czym? Jak to? Lekarskimi. Brzmi to paradoksalnie. Ba! Zakrawa na skandal. Ludzie biegają po mieście w poszukiwaniu lekarstw, a magazyny są ich pełne. „Niestety” — stwierdza radośnie dziennikarz „Sztandaru Młodych” — nie jest to zasługą obfitości leków spływających od producentów do hurtowni dystrybutora, ale wyłącznie zbył małej powierzchni magazynowej w stosunku do potrzeb. Zastępca dyrektora warszawskiego „Cefarmu” — Włodzimierz Wolniak wyjaśnia, że „rozbieżności pomiędzy tym, co zamawiamy i tym, co otrzymujemy od lat utrzymują się na poziomie 50 proc.”. Gdyby więc — mam rozumieć — „Polfa” mogła dać tyle lekarstw, ile potrzeba, to warszawski „Cefarm” nie mógłby egzystować z braku... magazynów. A tak brak lekarstw i niewydolność „Polfy” ratują farmaceutyczny hurtownia. Cóż to za piękny paradoks! A na dodatek dziennikarz „SM” przechodził nad tym do porządku dziennego, nie ródzą się u niego żadne wątpliwości, nie ma żadnych pytań. Nawet wtedy, gdy Włodzimierz Wolniak mówi, że waty i opasek higieniczny, których ciągle jest mało, nie przewożymy do magazynów, tylko bezpośrednio z kolejącej rampy do aptek? Bo przecież może w tej sytuacji w ogóle trzymanie lekarstw w magazynach jest absurdem i byłoby prościej, gdyby właśnie z „rampy do aptek” można było je ekspedować. Tylko, co wtedy zrobić z „Cefarmem”?

Zdrowy rozsądek nakazuje czasem spojrzeć prawdzie w oczy. W Bydgoszczy odbyła się narada budowlanych i ktoś na tej naradzie spróbował właśnie takiego spojrzenia. Powiedział budowlanym, że z taką jakością, jaką teraz daje budownictwo, nie ma co się pchać na eksport. Nikt tego nie przyjął. Ale przecież — stwierdził ten sam mówca z niejakim zdziwieniem — nasi budują za granicą i robią to dobrze. Dlaczego?

Na to pytanie wiele osób szuka odpowiedzi i... nie znajduje. Federacja konsumentów — jak oświadczyła to jej przewodnicząca Małgorzata Niepokulczyńska na łamach „Życia Warszawy” — walce o jakość produkcji i usług uczyniła „osią, wokół której obraca się” jej działalność, gdyż Federacja konsumentów „walcząc o jakość towarów i usług walczy o jakość życia”. Piękne to założenie, które też prowadzi do zrównoważenia rynku, gdyż równowagę cenami i produkcją bubi jest działaniem pozornym. No i skoro eksport jest naszą koniecznością, to jakość produkcji i usług też jest taką koniecznością — społeczną i gospodarczą.

Może i ja bym powalczył o jakość. Na przykład czytam w „Kurierze Polskim”: „Niebieska książeczka (cena 120 zł) nosi tytuł „Ordynacja wyborcza do rad narodowych — 1988”. Warto ją przeczytać. Zawiera wiele nowości”. Zgadza się i polecam. Ale moja „niebieska książeczka” jest raczej ciemnogranatowa i byłem nawet skłonny sądzić, że jakiś złośliwiec wydał ją w kolorze czarnym. A to — jak się okazało — jest kolor niebieski. Zdziwiałem się!

W „Trybunie Ludu” pewien autor zaczyna artykuł o polityce kadrowej tak: „Wykorzystanie zasobów ludzkich jest kluczem do wszystkiego, bo jak głosi stara prawda — w końcu o wszystkim decydują ludzie”. Pięknie. Tylko, czy nie można po polsku? Czy koniecznie musimy być „zasobami ludzkimi”. Wolalibyśmy być traktowani po prostu jak człowieki, z moimi wadami i zaletami. W żadnym wypadku nie chcę być „zasobem ludzkim”. Protestuję. I myślę, że tak długo, dopóki ludzi będziemy traktowali jak „zasoby ludzkie”, tak długo nie nam nie wyjdzie z polityki zwanej kadrową.

Pośmiemy się może trochę. Oto „Sztandar Młodych” prezentuje na pierwszej stronie podobny kandydatek do tytułu Miss Polonia. Gdybym był dziewczyną i gdybym kandydował do tego tytułu, gdyby moja podobizna w tak fatalny technicznie sposób zaprezentowała jakąkolwiek gazetę, to bym ją zaskarżył do sądu o działanie na moją szkodę. Niektóre kandydatki do tytułu Miss Polonia wyglądają na tych zdjęciach jak maskarony. A przecież wierzę, że są to śliczne dziewczyny. „Ogłosy” na szczęście nie mają zamiaru propagować kandydatek do tego tytułu, bo u nas też zdjęcia wychodzą szkaradnie. Za co w imieniu drukarzy przepraszam. Może się poprawia, jak to przeczytają?

Czyż te notatki z tej ziemi nie przypominają „Paradoksylandu”? Gdzieś indziej mogłaby pocztą — mówiąc ogólnie — funkcjonować na zasadzie wewnętrznych regulaminów i trzeba było dopiero Rzecznika Praw Obywatelskich, aby stwierdził, że cały system przydzielania telefonów jest... bezprawny, co było zresztą czynione, aby było wesoło, w imieniu prawa.

A największy paradoks polega na tym, że wszystko to dzieje się u nas, u nas, którego naczelna dewiza jest dobro człowieka, a więc działalność każdej instytucji powinna być skierowana na zewnątrz, do ludzi i dla ludzi. Jest tymczasem odwrotnie. I trzeba to zmienić.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Obradowali, gdy Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy

Sensacją dnia stał się mecz piłkarski

PAWEŁ SAMUŚ

nadziei, że może zmienić jakoby przebieg meczu. Niestety, walka ciągle toczyła się pod naszą bramką. Kilkakrotnie przenosiłmy piłkę na ich boisko. W pewnym momencie — ustrzymajcie oddech! — nadarzyła się okazja i posłałem takiego gola, jakiego moskiewski bramkarz zapewne nigdy nie widział. Wkrótce jednak zawodnicy moskiewscy ułokowali w naszej bramce pięć piłek. Reprezentacja piłkarska brytyjskiego portuła smotnął kleskę, nie mówiąc już o footballistach amerykańskich. Moi współgracze uważali jednak, że gol, którego strzeliłem, w pewnym stopniu uratował honor naszej drużyny. Wybieśli mnie z boiska na ramionach — tak wspominał William Gallacher.

Ten niecodzienny mecz piłkarski odbył się sześćdziesiąt lat temu w Moskwie, a była to jedna z tych imprez, w których, tak jak w „subotniku”, chętnie uczestniczyli delegaci na II Kongres Międzynarodówki Komunistycznej (19 VII — 7 VIII 1920). Kapitanem anglo-amerykańskiej drużyny i autorem cytowanej relacji był William Gallacher (1881—1965), z pochodzenia Irlandczyk, robotnik metalowiec, od wczesnej młodości w angielskim ruchu socjalistycznym, działacz Niezależnej Partii i jeden z przywódców ruchu shop stewardów (delegatów związków zawodowych) w Glasgow i okręgu Clyde (Szkocja), represjonowany przez władze za działalność pacyfistyczną w okresie I wojny światowej.

W skład jego improwizowanego zespołu piłkarskiego wchodził członek delegacji angielskiej (6) jak William Mc Laine, Joe Pineberg, Tom Quelch, a także amerykańskiej (5) poza wspomnianym już Johnem Reedem, prawdopodobnie Luis Fraina i Eamon Mc Alpine.

2.

W II Kongresie MK uczestniczyło 217 delegatów, przy czym 169 posiadało głos decydujący, pozostali doradcy. Przedstawiciele ruchu komunistycznego stanowili nadal 3/4 ogółu delegatów, zaś pozostali reprezentowali ugrupowania lewicy socjaldemokratycznej i anarchosyndykalistycznej. Przybyli na kongres delegacje (67) prawie wszystkich krajów Europy, a także kontynentu amerykańskiego (USA, Meksyk), azjatyckiego (m.in. Chin, Korei, Indii, Persji, Turcji) i Australii. Wśród delegatów pozaeuropejskich zdecydowanie przeważali biali, najczęściej emigranci z Europy. Było też dwóch Chinczyków zamieszkałych w Rosji (m.in. Hsiu-chao Lao), Pers-Sultan Zade i Koreańczyk — Pak Chin-sun, również emigranci polityczni, wcześniej objął czynni w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, czy też Manabendra Roy, Hindus, od I wojny światowej działający w Meksyku.

Najlicniejsza była delegacja rosyjska (64), w skład innych wchodziło przeciętnie po kilka osób, a włoska i fran-

wkrótce na czele Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski w Białymstoku.

3.

Wiadomości o zwycięskim marszu wojsk radzieckich na zachód wpłynęły na atmosferę obrad kongresu. Latem 1920 r. szerokiego zasięgu nabrały wystąpienia proletariatu we Włoszech, podniosła się nowa fala rewolucyjna w Niemczech, a wraz z tym wzrosły nadzieje w ruchu komunistycznym na zwycięstwo rewolucji w Berlinie. Rewolucyjny entuzjazm udzielił się delegatom II Kongresu MK, którzy codziennie podczas przerw w obradach śledzili na wielkiej mapie postępy ofensywy Armii Czerwonej. Byli oni przeświadczeni, że oto właśnie szybko zbliża się długo oczekiwana chwila, w której Polska stanie się pomostem łączącym rewolucję rosyjską i niemiecką. Przypomnijmy tu, że kiedy Kongres zakończył obrady front stał niemal u bram Warszawy.

4.

Uczestnicy II Kongresu MK otrzymali pracę Włodzimierza Lenina pt. „Dzieciactwo choroby lewicowości” w komunizmie”, napisaną kilka miesięcy wcześniej, a w przeddzień inauguracji obrad kongresowych wydaną drukiem w języku rosyjskim, francuskim i angielskim. Włodzimierz Lenin pisał w niej o potrzebie opracowania elastycznej strategii i taktyki międzynarodowego ruchu komunistycznego na podstawie nie subiektywnych ocen i pragnień komunistów, lecz trzeźwej analizy układu sił społecznych i politycznych w skali świata i poszczególnych krajach; dziełli się doświadczeniami bolszewików w walce o władzę, ale też radził działaczom komunistycznym, by starali się łączyć cele uniwersalne z tym co specyficzne dla poszczególnych krajów i narodów, aby uczyli się samodzielności myślenia i działania; podkreślał, że koniecznym warunkiem zwycięskiej walki o władzę była zdyscyplinowana partia komunistyczna, a równocześnie przestrzegał przed zbyt wąskim pojmowaniem dyktatury proletariatu. Włodzimierz Lenin krytykował przejawy dogmatyzmu, sekciarstwa i lewactwa w ruchu komunistycznym; przypominał, że celem komunistów jest pozyskanie szerokiego mas dla swego programu i doradzał młodym partiom, by nie odrzucały legitymnych form działania w związkach zawodowych, różnorodnych stowarzyszeniach i organizacjach, a także, aby wykorzystywały możliwości, jakie stwarzał parlament burżuazyjny.

Dostało się też Williamowi Gallacherowi, który na kartach wreczonej mu książki Lenina, jak wspominał po latach, znalazł „dosadne sformułowanie dotyczące pewnego towarzysza Gallachera, będącego przykładem dziecięcej choroby! Chodziło o list, który napisałem

posiedzenie plenarne wprowadzono angielski na wniosek delegacji angielskiej i amerykańskiej. Niektóre referaty (np. Lenina) i przemówienia były wygłoszone po rosyjsku i przetłumaczone na inne języki. Stanisław Pestkowski tłumaczył przemówienie Włodzimierza Lenina na angielski, przy wydanej pomocy samego mówcy. Angelica Balabanoff również tłumaczyła z rosyjskiego na angielski.

5.

Pod wpływem wydarzeń na froncie wojny polsko-rosyjskiej, sytuacji we Włoszech i Niemczech II Kongres MK uznał za główne zadanie ruchu komunistycznego przygotowanie rewolucji społecznej i zdobycie władzy politycznej przez proletariatu. Zwycięstwo przemian rewolucyjnych po przewrocie, obaleniu burżuazji i zburzeniu aparatu państwa burżuazyjnego miało zagwarantować dyktaturę proletariatu. Zadaniem partii komunistycznej, rewolucyjnej awangardy proletariatu, miało być podciągnięcie za sobą nie tylko klasy robotniczej, ale i innych warstw mas pracujących. Uchwala kongresu zobowiązała partię komunistyczną, by podejmowała działalność wszędzie tam, gdzie była klasa robotnicza, również w opawianych przez działaczy nurtu prawicowego i centrowego stowarzyszeniach i związkach zawodowych, organizacjach spółdzielczych i młodzieżowych.

6.

Największe kontrowersje na Kongresie wywołał zagadnienie organizacyjne. Zasady budowy partii komunistycznej i warunki przynależności do III Międzynarodówki zostały sformułowane w specjalnym dokumencie, który zysał nazwę „21 warunków przyjęcia do Międzynarodówki Komunistycznej”.

Wśród tych do najważniejszych zaliczono sprawę uznania dyktatury proletariatu, wprowadzenia tego postulatu do programu partii i jego upowszechnienia poprzez szeroką propagandę; usunięcie z organizacji działaczy o poglądach reformistycznych i zwolenników „centrystów” oraz zastąpienie ich kierownikami na stanowiskach kierowniczych w różnych placówkach robotniczych; bezwzględny nakaz niezłownego zerwania z przywódcami III Międzynarodówki, zwalczanie ich polityki i ideologii reformistycznej, łączenie w pracy partii komunistycznej form legalnych i nielegalnych; obowiązek systematycznego propagowania idei komunistycznych w wojsku, na wsi, w związkach zawodowych, kooperatywach i innych środowiskach.

Każda partia należąca do Międzynarodówki Komunistycznej musiała być, jak podkreślano dalej w tym dokumencie, zorganizowana zgodnie z zasadą centralizmu demokratycznego: podstawowy warunek spełnienia przez partię ko-

o to ubiegają, nawet jeśli nie spełniają one wszystkich warunków np. uznania dyktatury proletariatu. Natomiast przedstawiciele ugrupowań anarchosyndykalistycznych i związków zawodowych wyrażają tendencje ultralewicowe jak Amadeo Bardiga i Niccolò Bombacci (delegacja włoska), Goldenberg (francuska) Mátthás Rákosi (węgierska), David Wijnkoop (Komunistyczna Partia Holandii) kategorycznie odrzucali możliwości przyjęcia aktualnie niektórych partii lewicy socjaldemokratycznej (np. Niezależnej Socjalistycznej Partii Niemiec, Francuskiej Partii Socjalistycznej i Norweskiej Partii Robotniczej); oceniali je jako nadal reformistyczne i obawiali się, że wniosą one do III Międzynarodówki zamęt ideologiczny i element oportunistyczny. Po burzliwej dyskusji Kongres przyjął „21 warunków” większością głosów, przy dwóch przeciwnych, jako obowiązujący dokument.

Uchwalono na kongresie również statut Międzynarodówki Komunistycznej, w którym określono jej strukturę organizacyjną zgodnie z zasadą centralizmu demokratycznego. Dokument ten uznał za najwyższą instancję III Międzynarodówki światowy kongres partii członkowskich, zaś w okresie międzykongresami wybierany na nich Komitet Wykonawczy MK.

7.

Wiele przyczyn złożyło się na to, że zasada centralizmu demokratycznego została uznana za podstawowy warunek egzystencji Międzynarodówki Komunistycznej i konsekwentnie była wcielana w życie. Jedną z nich była niewątpliwie troska jej twórców i przywódców, aby uniknąć błędów organizacyjnych popełnionych przez poprzednią (II Międzynarodówkę), której dość luźną strukturę uznano za jej słabość.

Przewodniczącym KW MK pozostał nadal Grigorij Zinowjew (do 1926) choć faktycznym przywódcą III Międzynarodówki był Włodzimierz Lenin. Do Prezydium KW MK, nazywanego wtedy Małym Biurem, po II Kongresie wchodził — jako zastępca przewodniczącego Nikołaj Bucharin, Michaił Kobałckij — sekretarz (obaj z partii rosyjskiej), Ernst Meyer (niemieckiej), Endre Rudnyanszky (węgierska); potem skład tej instancji rozszerzono. Działacze ci, tak jak przeważająca część delegatów kongresu, byli jeszcze dość młodymi ludźmi, większość nie przekroczyła 40 roku życia, na ogół mając już za sobą długi staż w ruchu robotniczym.

William Gallacher, jeden z bohaterów II Kongresu po powrocie do kraju wstąpił do partii komunistycznej, został wkrótce członkiem jej kierownictwa, kilkanaście lat później posłem do Izby Gmin (1935—1950), a wreszcie przewodniczącym Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii.

Halina Birenbaum jest autorką wydanej w Polsce w 1967 roku, a w tych dniach wznowionej przez „Czytelnika”, książki opartej na wojennych wspomnieniach pt. „Nadzieja umiera ostatnia”. 4 kwietnia gościła w Łodzi, aby poznać mieszkającą tu rodzinę, która uratowała w czasie okupacji jej przyjaciółkę, Martę Goren, również obecnie mieszkającą na stałe w Izraelu.

— Gdy skończyła się wojna — powiedziała Halina Birenbaum — Marta była jeszcze małą dziewczynką. Po latach, dzięki właśnie mojej książce zdołała odnaleźć swoich opiekunów i wybaczyć im, którzy z narażeniem życia zafalowali jej aryjskie papiery i przyjęli pod swój dach. Poprosiłam bowiem jednego z moich czytelników z Warszawy, który pod wrażeniem

lektury napisał do mnie, aby pojechał do Łodzi i odnalazł tę bohaterką rodzinę. Choć dom w którym mieszkali już nie istnieje, a jego dawni mieszkańcy rozproszyli się po świecie, zdołał spełnić naszą serdeczną prośbę. Wojenna historia Marty i jej dobroczyńców będzie zapewne jeszcze jednym opowiadaniem, które złożą się na tom przygotowany przeze mnie dla wydawnictwa „Czytelnik”.

Oparte na autentycznej relacji opowiadanie, które Autorka udostępniła naszej redakcji wyrażając zgodę na skróty wynikające z konieczności technicznych, publikowane jest po raz pierwszy. Tytuł opowiadania pochodzi od redakcji.

K.T.

Pochodzę z Łodzi. Mieszkałem przy ulicy Śródmiejskiej 72 wraz z rodzicami i trzema siostrami i bratem. Starsza siostra była już zamężna w chwili wybuchu wojny i miała małą córeczkę. Ja miałem 22 lata i prowadziłem samodzielnie warsztat krawiecki na Zgierskiej 5. Młodszy brat, Szałka, pracował razem z mną. Ojciec, Szlama Sieradzki był również krawcem, przyjmował robotę w domu. Matka, Eta, zajmowała się gospodarstwem. Ojciec był w wieku 53 lat, matka miała 47.

W piątek, 1 września 1939 roku wybuchła wojna. Niemcy zaatakowali Polskę.

Nazajutrz była sobota. Nie pracowałem, więc poszedłem do fryzjera. Kiedy fryzjer strzył mnie, wszedł polski oficer. Zapytał go, co dzieje się na froncie. Odpowiedział, że zgroza. Niemcy napierają z niebywałą siłą. Chcąc go jakoś podnieść na duchu, powiedziałem, że dożyjemy jeszcze dnia, w którym ujrzymy Berlin rozbitą. Odrzekł, że on również tego pragnie jak najbardziej.

Niemcy zaczęli łapać mężczyzn na różne roboty. Łapali na ulicach, wyciągali z mieszkań, a później posyłali wewszania. Trzeba było przenosić dla nich meble, sprzęt, dźwigać ciężki sprzęt. Do pomocy niemieckim bandytom przyszyli falksdolce — Polacy pochodzenia niemieckiego. Bili oni okrutnie złapanych do roboty mężczyzn. Wieczorami wracali ofiary tych znęcań do domów, budząc trwogę i rozpacz opowiadającami i wyglądem.

Ojciec starał się, aby wszystkie sprawunki na mieście zatały siostry. Bał się o nas i nie dawał nam wychodzić na ulicę. Mimo to, złapali mnie. Wzięli do pracy w „koszarach” byłego 10 pułku artylerii. Wyciągnęli mnie z domu. Zostałem straszliwie pobity.

Kiedy wróciłem do domu wieczorem, ojciec powiedział, żebyśmy uciekli z bratem do Białegostoku na stronę rosyjską. Przekonywał nas, że kobietom i ludziom starszym Niemcy nie zagrażają.

Ojciec nie chciał się całować i żegnać. Powiedział, że gdy on pośłazi na wojnę, w 1914 roku, nie żegnał się także z rodziną i dlatego wrócił z powrotem do domu... Sądził, że teraz jest podobna sytuacja, ten sam los — i po pewnym czasie znów będziemy razem wszyscy. Nie miał pojęcia jak dalekim był od prawdy. Nigdy już nie spotkaliśmy się. Nigdy nie zobaczyliśmy się więcej!

W Matkini właśnie obieto władze gestapo. Dotad podobno rządziło tu wojsko, które obchodziło się z ludźmi mniej okrutnie. Na stacji roito się od esesmanów i gestapowców. Byli uzbrojeni i trzymali kiję w rękach. Od razu napadli na wychodzących z pociągu i gnałi ich w stronę szkoły, gdzie mieściło się gestapo.

Kuzyn mój został uderzony kijem w twarz. Niemiec trafił go w nos i w oko. Krew lała się z ran, nos wykrzywił się. Kuzyn był młodym, przystojnym i silnym mężczyzną. Z zawodu był piekarzem.

Esesmani kazali nam rozbierać się, oddać im naszą odzież i wszystkie rzeczy. Dali nam ubrania odebrane oficerom z poprzednich pociągów. Szukali w odzieży złota i pieniędzy. Mój brat miał przy sobie pieniądze, które zaszył pod kołnierzem palta.

Po pracy zgromili wszystkich na „placu neutralnym” po jednej stronie tego placu Niemcy, po drugiej — Rosjanie. Rosjanie dostali rozkaz nie przepuszczać nikogo na swoją stronę — a wracać w głąb terytorium okupowanego przez Niemców. Nikt nie chciał. Tysiące ludzi znajdowało się na placu neutralnym. Pozostawali tu długo. Umierali, kobiety rodziły — błąkali Rosjan, aby wpuścić ich na swoje terytorium. Niemcy nie wtracali się do tego, co działo się na placu neutralnym.

Udało się nam nocą prze-

drzeć na stronę rosyjską. Około 3000 osób zaczęło napierać z wszystkich stron placu. Rosjanie nie mogli sobie dać rady. Nie strzelali w tłum. Obaj kuzynowie byli z nami. Popędziliśmy do stacji kolejowej. Rano przybyliśmy na stację. Trzymała tu wartę rosyjska straż pograniczna. Nie przeklinali, nie wyganiali. Rozdawali ludziom wrzątek do picia. Napiecie zelżało. Byliśmy szczęśliwi.

Rosjanie pytali, kto chce jechać do Białegostoku, a kto, do Warszawy. My poszliśmy z tymi, którzy mieli odjechać do Białegostoku. Po chwili wpadło kilkudziesięciu konnych strażników granicznych. Wtargnęli w tłum pomiędzy tych, którzy jechali do Białegostoku, a tych którzy do Warszawy. Zaczeli

i natychmiast usunąć. Tylko nogi zostały na zewnątrz. Kiedy obudziliśmy się, byli skostniałe z zimna. Nazajutrz ruszyłem w dalszą drogę. Nogi miałem spuchnięte. Musiałem przejechać 3 km do Żaręby Kościelnej. Dotarłem tam po kilku godzinach. Poszedłem do bożnicy, gdzie klerowali się wszyscy uciekinierzy żydowscy. W bożnicy ogrzałem się, zjadłem cośkolwiek. Na noc kazano mi ułożyć się na galerii, gdzie zwykle modliły się kobiety. Spółto tam już wiele osób. Położyłem się obok nich i zasnąłem.

Za zarobione pieniądze kupiłem palto na rynku. Poradziłem mi pojechać sankami do Czyżowa, do stacji kolejowej. Stamtąd dojechałem już bez przeszkód do Białegostoku. Ku-

oczyszczanie miasta. Potrzebowaliśmy 100 osób do pracy, ale udało mu się zwerbować tylko 40. Postanowiłem zgłosić się do tej pracy. Szałka pozostał. Wolałem Białystok od Słonima.

Przydzielili mnie do zamiatań ulic. Zarabiałem 210 rubli miesięcznie. Było to niewiele, ale nadarzyła się dodatkowa praca. Miałem pilnować nocą budki z papierosami. Otrzymałem za to jeszcze 150 rubli. Wynajęłem kąt do spania u pewnej kobiety.

22 czerwca 1941 roku siedziałem przy swojej budce z papierosami. Nagle usłyszałem huk. Nie wiedziałem co się stało. Było to nad ranem.

Ludzie wybiegli na ulicę. Krzyczeli, że wybuchła wojna.

HALINA BIRENBAUM

Śmierć zaglądała mi w oczy

zganiać tych pierwszych z powrotem na plac neutralny, a tych drugich, którzy chcieli jechać do Warszawy — do pociągu do Białegostoku. Sądziłem, że są to spekulanci i nie chcieli przepuścić ich. Ja z bratem zostałem znowu wyparty na ten przeklęty plac!

W nocy znów próbowałem przebiec przez granicę. Razem z innymi ludźmi. Biegliśmy kilka godzin. Wciąż widziałem jakieś reflektory. Nad ranem zorientowałem się, że jestem po stronie niemieckiej. Napotykałem Polaka i Niemca. Było to obok koszar niemieckich. Zabrali mnie do roboty. Wieczorem odprowadzili z powrotem na plac neutralny. Odebrali mi palto i marynarkę. Zostałem w samej bieliźnie, a był grudzień — mróz, śnieg. Na szczęście miałem na sobie kilka koszul. Pokazali mi jednak drogę do stacji Żaręba Kościelna.

Zapadła noc, a droga do Żaręby była daleka. Nie spałem kilka nocy. Dotarłem do pewnej wioski i zapukałem do chaty. Mówili po polsku. Poprosiłem o nocleg. Dowiedziałem się od gospodarza, że znajduje się po stronie rosyjskiej. W chacie nie było miejsca, spalili tam różni ludzie, gdyż domek był blisko granicy. Gospodarz jednak ułtował się nade mną. Widział, że drzę z zimna, bez palta i marynarki — kazali mi wejść po drabinie do stodoły i tam przespować. Wpadłem głową w siano

mojej wielkiej radości, jeszcze tego samego dnia odnalazłem brata.

Wciąż napływali nowi uciekinierzy żydowscy. Bożnice były przepełnione ludźmi. Latem, około lipca 1940 roku zjechało do Białegostoku moc wojska i oddziały NKWD. Mieli spis uciekinierów zamieszkałych w mieście. W nocy zaczęli chodzić po domach i fabrykach i wyprowadzać ludzi. Zebrałi ich na stacji kolejowej, skąd wywieźli. Nie mieliśmy pojęcia dokąd ich wywożą i dlaczego. Nas nie złapali. Schowaliśmy się z bratem na strychu. Po kilku dniach wyszliśmy z kryjówki. Myślałem, że łapanki ustały. Został jednak wydany rozkaz, aby ludzie, którzy trzymają u siebie uciekinierów zameldowali o tym na policji. Gospodarz, u którego krawiec wynajmował mieszkanie, zameldował o nas w komisariacie. Pewnego dnia zjawił się milicjant i kazał nam pójść z sobą do komisariatu. Powiedział, żebyśmy wzięli „wieszak”.

Pokazałem na policji pozwolenie na pobyt w okręgu 100 km od Białegostoku. Oficer, który nas przesłuchiwał, nie wiedział, co z nami począć. W końcu zdecydował, że możemy wrócić do domu, ale musimy opuścić miasto w ciągu 24 godzin. Mamy udać się w kierunku Słonima.

Pewnego dnia do Słonima przyjechał z Białegostoku urzędnik odpowiedzialny za

ukazało się wojsko na ulicach. Ludzie po prostu napadli na plekarnię i wyciągali mąkę z magazynu. Poszedłem tam także i wziąłem na plecy worek białej pszennej mąki. Zaniósłem go do domu i wróciłem na ulicę. Ludzie biegali do kooperatywy i wynosili stamtąd rozmaite produkty. Nagle zjawił się żołnierz. Zaczęli strzelać. Zabili kilka osób. Później zakopano ich ciała w pobliskim parku.

Niemcy wkroczyli do miasta. Podpalili bożnicę wraz z ludźmi. Pięćdziesiąt trzy osoby spaliły się w niej żywcem. Pewnej soboty złapali 5000 Żydów i wysłali w niewiadomą. Następną sobotę — 3000 Żydów. Mówiono, że zastrzelili wszystkich w lasach za miastem.

Zostałem złapany na roboty wraz z jeszcze kilkoma przyszykami. Myśleliśmy, że przetrzymamy, obieraliśmy kartofle. Przypadkowo trafiliśmy na oficer, który odniósł się do mnie nieco lepiej. Dowiedział się, że jestem krawcem i zaczął dawać robotę prywatną. Szylem dla niego ubranie i inne rzeczy. Powiedziałem, że mam małego brata w Słonimie i pragnę go przywieźć do siebie. Miał akurata zawieźć benzynę do samolotów do Baranowicz. Kazał mi przyjechać do siebie o wpół do piątej nad ranem, a zabierze mnie z sobą do Baranowicz i w drodze powrotnej przywiezie nas obu do Białegostoku.

Niemcy utworzyli getto w

Białymstoku. Oficer, dla którego szylem, kazał swemu szefowi przywieźć nasze rzeczy do pokoju przydzielonego nam przez Judenrat w getcie. W tym samym pokoju zamieszkał razem z nami dwaj chłopcy z Warszawy: Marek Szlinger, krawiec — a drugi blacharz Leon Pasternak z Wołskiej.

1 listopada 1942 roku rozeszły się pogłoski, że Niemcy zamierzają zablokować getto i rozpocząć wysiedlanie Żydów. Siedzieliśmy z całej okolicy Białegostoku.

Kiedy skończyła się akcja wysiedleńcza, przyszedł do getta esesman Lenc po ludzi do pracy. Znowu zwołał krawców, ślusarzy i innych rzemieślników. Ja z bratem zgłosiliśmy się przy bramie getta na ulicy Jurówkiej. Chcieliśmy pójść do pracy, gdyż dawała poczucie jakiegos bezpieczeństwa. Zaprowadzili nas na ulicę Parkową. Szliśmy ubrani dla Lenc i innych esesmanów.

Jednego dnia przyszedł Lenc do warsztatu pijany. Podszedł do mnie i zaczął kłuć mnie ostrzem bagnetu wokół oczu, a potem przystawił bagnet do nosa i podciął mi nos. Był nieprzytomny, biała pianą pokrywała wargi. Stałem w bezruchu, zdrewniał z grozy. Coś mogłem zrobić? Krew lała się z rozciętego nosa. Wreszcie zstawił mnie i odszedł.

Marek Szlinger pracował z nami. Wieczorami wracaliśmy razem pod konwojem do domu w getcie. Wciąż jeszcze mieszkaliśmy tam w czwórce: ja, brat, Marek i Leon Pasternak. Gotowaliśmy sobie kartofle, które przynosiliśmy z pracy. Niemcy pozwalali nam kupować kartofle u Polaków po drodze. Sprzedawali je w workach. Kupowaliśmy u nich też czasami masło, słoninę. Część tych produktów przesyłaliśmy przez bramę do getta, sprzedawaliśmy, co pokrywało kupno koniecznych nam produktów. Z getta wynosiliśmy odzież, czapki i rozmaite rzeczy, które Polacy kupowali od nas dla okolicznych wieśniaków. Prowadziliśmy z nimi handel wymienny.

Na początku lutego 1942 roku powiedział do mnie Lenc, że wszyscy Żydzi muszą zginać, więc jeśli mam złoto, czy inne wartościowe rzeczy, żebym mu je oddał... Zrozumiałem, że zapowiada się znów coś złego. 7 lutego Niemcy zamknęli getto. Mówiono, że wywożą 20 000 tysięcy Żydów.

Zablokowali ulice i zaczęli wprowadzać ludzi z mieszkań. Wielki ich pociąg poza obrębem getta.

W domu naszym była dobra kryjówka w piwnicy. Zaplanowali ją mieszkający tu inżynier. Schowaliśmy się wraz z 50 lokatorami domu przy ulicy Polnej 18. Wchodziło się do piwnicy przez ubikację — schodziło się w dół po drabinie. Wejście do piwnicy zostało zamurowane i nie było można poznać, że istnieje w ogóle piwnica w tym domu. Z samego rana zbiegliśmy do schronu. Jeden człowiek musiał zostać na zewnątrz, aby zamknąć otwór w ubikacji. Były to deski podłogi przy misce klozetowej. Została urządzona dla niego doskonała kryjówka, na strychu — wyłączenie na jedną osobę. Gdyby został złapany, nikt nie mógłby otworzyć schronu z zewnątrz i nie moglibyśmy wydostać się stamtąd. Powietrze dochodziło do nas przez wąskie rury na dachu i wtedy też wychodziły wydechy.

Siedzieliśmy w ciemności i duchocie. Świeca, która próbowaaliśmy zapalić, gasła z braku tlenu. Dzieci płakały. Kiedy słyszano się odgłos kroków łapanych niemieckich, zakrywało się płaczące dzieci poduszkami, aby przydusić ich głosy. Panoowało szalone napięcie i groza. Jednak nie znaleźli nas. Wieczorem łapacz poszłi sobie. Wyszliśmy na dwór. Mogliśmy chodzić po ulicy. Wszędzie leżały trupy zastrzelonych Żydów.

Nazajutrz znów zbiegliśmy do schronu. Ale ludzie nie dali wejść dwójgu płaczącym dzieciom. Powiedzieli, że muszą

zostać w mieszkaniu, inaczej zginą przez nie wszyscy. Rodzice zostawili je w mieszkaniu, a sami ukryli się razem z nami. Niemcy przetrzasnęli wszystko, ale okazało się, że dzieci tych nie wzięli. Wieczorem znaleźliśmy je w kołyskach zdrowe i całe.

Nie chciałem więcej ukrywać się w tym schronie. Miałem przecucie, że źle to się skończy. Pragnąłem wydostać się z getta na aryjską stronę. Znalazłem dobrze pobliski dom na ulicy Przejazd 3. Drugiego wieczoru akcji postanowiliśmy w piątek wydostać się z getta.

Byliśmy samotni i odcięci od ludzi. Ciężko to bardzo. Postanowiliśmy wrócić do getta i sprawdzić, co tam się dzieje. Znowu przekradliśmy się przez płot. Chciałem się upewnić, że brat i koledzy przeżyli. Wróciliśmy do mieszkania na Polną 18. Schronu pod ubikacją nie wykryto, mogliśmy tam spokojnie przebywać.

Dowiedzieliśmy się, że Żydzi pracujący dla SD i SS mają przyjąć z rodzinami do budynku gminy i przejechać tam akcję. Wziąłem z sobą sasiadkę, panią Szpitalną z córką i powiedziałem, że to moja matka i siostra. Żołnierz niemiecki pilnował nas. Byliśmy potrzebni Niemcom. W getcie łapano tysiące ludzi i prowadzono do pociągów. Niektórzy Żydzi poszli do szpitala, myśląc, że tam uratują się. Ale okazało się niebawem, że Niemcy wyprowadzili wszystkich ze szpitala na omentarz na Żabiej i tam ich rozstrzelali. Widziałem przez okno, jak ich prowadzili. Zauważyłem wśród nich Berenheima, właściciela dużej restauracji w Łodzi.

Pozostaliśmy z bratem w getcie. Pracowaliśmy w naszej placówce do niedzieli 15 sierpnia 1943 roku. O 11 w nocy usłyszałem dźwięki orkiestry. Nie wiedziałem, co to może oznaczać? Niemcy maszerowali wokół getta i przy dźwiękach orkiestry obstawiali je wojskiem ze wszystkich stron. Pobiegliśmy do znajomych dziewcząt, z którymi zaprzyjaźniliśmy się w getcie. Pomagaliśmy im trochę materialnie. Już wszystkim było wiadomo, co dzieje się. Powiedzieli nam, że to już koniec.

Poszliśmy do gminy. Ludzi, którzy pracowali dla SS i SD trzymano osobno. Innych wygnano na pole w Zielonkach poza gettem.

Nagle usłyszeliśmy strzelanie. Jakaś organizacja młodzieżowa otworzyła ogień na Niemców z ulicy Jurówkiej. Być może, że Leon Pasternak był wśród nich. Esesmani wycofali się i posłali tanki. Podpalili wszystkie domy, z których Żydzi strzelali.

W poniedziałek 16 sierpnia 1943 roku wyprowadzili nas wraz z pracownikami gminy, żydowska policja oraz straż ogniowa getta, na pole w Zielonkach. Znajdowali się tam niemal wszyscy Żydzi z getta — 75 000 tysięcy osób! Wokoło tego pola pierścień niemieckich żandarmerów, wewnątrz krąg Ukraińców. Jedni i drudzy nosili czapki ze znakiem trójgłowej gwiazdy. Wciąż szukali u nas zegarków, biżuterii. Bili po głowach kołbami karabinów, popychali na drugą stronę pola. Ludzie rozdeptywali się na śmierć, gubili dzieci. Kto upadł, został rozdeptany. Panował szalony upał. Nie było wody do picia. Widziałem, jak Niemiec zastrzelił biegnącą w opętaniu kobietę. Była nieprzytomna, w szoku. W czwartek strażnicy przywieźli wodę w beczkach.

Znowu zjechało na pole jakieś auto niemieckie i usłyszeliśmy wołanie przez głośnik, że pracujący dla SS i SD mają wystąpić naprzód. Wywoływali po nazwisku. Moje było pierwsze. Byłem majstreem krawieckim. Na liście było 50 robotników. Jakaś kobieta stojąca obok mnie powiedziała, że z pewnością przeżyję wojnę i muszę opowiedzieć światu, co tutaj widziałem! Nie wierzyłem w taką możliwość.

Niemcy zgromadzili około stu pracowników z różnych placówek i ustawili nas osobno blis-



Rys. Janusz Szymonowski-Siano

ko beczek z wodą. Dał nam
pić, nie tylko dusza zapagnie.
Mój brat był szczęśliwy!

W czwartek 10 sierpnia 1943
roku załadowali nas na ciężar-
ówki i zawieźli do więzienia
przy szosie baranowickiej. By-
łem zadowolony, że nie znaj-
duję się na okropnym polu w
Zielonce. Dostaliśmy trochę je-
dzenia! Nazajutrz przywieźli
nam różne rzeczy do życia. Na-
tychmiast zaczęliśmy pracować.
Szyłem odzież dla żony i ro-
dziny Rotha, komendanta
więzienia. Innych mężczyzn
wzięli do wykopywania tru-
pów ze wspólnych grobów
i spalania ich. W ten spo-
sób ścierał ślady swych
zbrodni. Jeden z tej grupy męż-
czyzn uciekł do lasu, ale
wkrótce wrócił do więzienia.
Zapytałem, dlaczego to zrobił?
Odpowiedział, że nie może
znieść samotności w lesie.

Niemcy rozkazali robotnikom
żydowskim (było ich 80) wyko-
nać doły w lesie. Po wykona-
niu roboty, zaczęli strzelać do
nich. Zabili 78. Jeden uciekł.
To był właśnie ten, który po-
wrócił do więzienia. Opowiedział
mi o tym wszystkim już po wojnie, gdy
spotkałem się w Łodzi.

Kiedy wybierali tych 80 mło-
dych do pracy za miastem,
chciałem dołączyć się do nich.
Widziałem, że w więzieniu po-
stoją tylko starsi i bałem się,
że nas zabiją. Co tydzień przy-
jeżdżał czarny wóz i zabierał
stąd kobiety i ludzi starszych.
Truili ich gazem w tym wozie,
a potem zakopywali w dołach
w lasach. Roth nie dał mi
bratu dołączyć do tej grupy.
Dwukrotnie wyciągał mnie
stamtąd i wpełchnął pośród tych
starszych. Pracowaliśmy dla
Rotha od kilku miesięcy, a
moje życie podobało mi się i
było mi potrzebne. Tutaj rów-
nież byłem majstrzem krawiec-
kim. Mogłem brać do pomocy
kogo chciałem.

Krawca Abrahama Bendera
(mieszka obecnie w Jerozolimie)
wyciągałem z celi. Powiedziałem
mu, że mogę go wziąć do
pomocy. Odpowiedział, że dopó-
ki ma oczy otwarte, wierzy w
szanse przeżycia i chętnie be-
dzie pracował. Bender został
wysłany potem z nami razem
do obozu. Razem przeżyliśmy
wojnę. Po wojnie odnalazł swą
żonę.

W tym miejscu urywa się o-
powieść Monika. Zmarł 2 lipca
1986 roku. Resztę opowiedziała
mi jego żona.

Z więzienia przy szosie ba-
ranowickiej został wysłany
wraz z bratem i krawcem Ben-
derem do obozu w Stutthofie.
Wzięli ich tam dwa la-
ta. Moniek pracował tam jako
krawiec. W maleńkiej komór-
ce, która mieściła się naprzeciw
komory gazowej i krematorium,
reperował mundur niemieckie,
zwożone z frontu.

W ciągu dwóch lat swej pra-
cy w komórce naprzeciw komo-
ry gazowej widział Moniek co-
dziennie szeregi nagich kobiet
pędzonych na śmierć. Słyszał
ich krzyki, jęki, modły. Widział,
jak przewożono potem na ręcz-
nych wózkach ich zwłoki na
spalanie do krematorium. Oddy-
chał dymem palonych ciał. Było
to piekło, którego nie zapomniał
nigdy, do końca swego ży-
cia.

Zimą 1944 roku, kiedy Rosja-
nie zbliżali się do obozu, wy-
wlekli ich Niemcy i pedził piesz-
ko do Rzeszy. Szli dniami i
nocami bez odpoczynku, bez je-
dzenia. Moniek ważył wtedy
37 kg. Kto chodził zbyt wolno,
okazywał słabość — strzelali do
niego! Brat Monika zachorował
na tyfus. Włókł go przy sobie
resztkami sił. Marsz śmierci ze
Stutthofu do Niemiec trwał oko-
ło sześciu tygodni. Dogałno ich
wojsko rosyjskie. Uratowali się!
Było to w kwietniu 1945 roku.

Moniek z bratem powrócili
do Łodzi. Poznał Sabinę, także
uratowaną cudem od zagłady.
Pobrali się po kilku miesiącach,
w sierpniu 1945 roku. Po pew-
nym czasie wyemigrowali do
Stanów Zjednoczonych, gdzie
przyszli na świat ich syn. Po
latach przybyli do Izraela.

Ziemia święta czy przeklęta?

ze str. 1

rakteryzuje Morze Martwe.
Spośród różnych soli najwięcej
jest chlorku magnezu i chlorku
sodu, dlatego woda ma gorzki
smak. Wysoki ciężar właściwy
(średnio 1,119) sprawia,
że ciało ludzkie utrzymuje się
samo na powierzchni. Nie trze-
ba umieć pływać, wystarczy
tylko uważać, żeby nie zalać
wodą oczu.

**Morze Martwe liczy 76 km
długości, do 16 km
szerokości i do 399 m
głębokości.**

W rzeczywistości jest to
bezodpływowe jezioro, którego
lustro znajduje się na poziomie
392 m poniżej morza. A depresja
dna przekracza 790 metrów.
Intensywne zasolenie po-
wodzi, że wody jeziora mają
wspaniały kolor, ale nie za-
wierają życia. Jeśli zapuszczą
się tu z prądem Jordanu jakieś
ryby, niechybnie zginą. Jezioro
zastępuje na swoją nazwę. Staro-
żytni zważyli je nawet Morzem
Asfaltowym.

Ponure wrażenie robią ja-
łowe góry, które stromymi
ścianami otaczają brzegi mar-
twego jeziora. Na wschodzie
widnieją szczyty Moabu; na
zachodzie rozciąga się Pusty-
nia Judycka. Nad południo-
wym brzegiem położona jest
Sodoma (hebr. Sedom). Wydo-
bywa się tu z soli magnez,
wapń, chlor i inne składniki.
W pobliżu znajduje się wysoki
na 20 m pagórek soli kami-
ennej (Dżabal Usdum) powstały
z osadów dawnej zatoki.
Biblia podaje, że kiedyś by-
ła tu bardzo urodzajna oko-
lica, co do trudno dziś uwie-
rzyć, patrząc na czerwono-
srebrne, nagie skały. Nie udało
się dotąd udowodnić, że na
dnie jeziora spoczywają wy-
stępne miasta, na które Bóg
spuścił deszcz siarki i ognia.
Autor biblijny pisze jednak tak
sugestywnie, że niektórzy pi-
laci podobno dostrzegali z góry
zarysy jakichś ruin.

*"Za czasów Amrafela, kró-
la Szinear, i Arioka, króla
Ellasar, Kedorlaomer, król
Elamu, i Tidal, król Goim,
wyszli wojnę z królem Sodo-
my, Bera, z królem Gomory,
Birsza, z królem Admy, Szina-
bem, z królem Seboimu, Szeme-
berem, i z królem miasta Be-
li, czyli Soaru. Ci ostatni
królowie sprzymierzyli się w
dolinie Siddim, gdzie dziś
jest Morze Słone" (Rdz 14, 1-
3).*

Z powyższego wynika, że mia-
sta-państwa Sodoma, Gomo-
ra, Adma, Seboim i Bela (Soar)
leżały w dolinie Siddim, którą
zalały wody Morza Martwego.
Zawycają dolinę tę umieszcza
na południu od półwyspu
Al-Lisan, gdzie jezioro ma za-
lewie 6-8 m głębokości.
Oznaczałoby to, że zatopiony
obszar miał wymiary około
20 na 15 km.

Trudno jednak coś znaleźć w
miejscu i gestach wód. Morze
Martwe zawzięcie strzeże
swych tajemnic. Nie w nim
nie widać już na odległość wy-
ciągniętej rzeki. Opuśczenie
się na dno wymaga dużego
obciążenia. Słona woda wywo-
luje zapalenie skóry.

Opowieść o zagładzie Sodo-
my i Gomory oraz trzech in-
nych miast stanowi być mo-
że wspomnienie jakiegoś trze-
sienia ziemi. W tym rejonie
wstrząsy tektoniczne są zjawis-
kiem naturalnym. W roku 32-
—31 p.n.e. potężne ruchy sko-
rupy ziemskiej zniszczyły więk-
szą część Judei. Między innymi
legł wtedy w gruzach klasztor
Qumran — odbudowany
30 lat później i powtórnie znisz-
czony przez żołnierzy X legio-
nu Wespazjana.

Qumran znajdował się blisko
północno-zachodniego brzegu
Morza Martwego. Prawdop-
odobnie był główna siedziba
sekt esenickich. Nie jest
wykluczone, że do wychowa-
nia klasztoru należał Jezus
z Nazaretu. Członkowie wspól-
noty qumrańskiej mieszkali w
zabudowaniach i okolicznych
grocie. W jednej z takich
groty wykutych w potężnej ska-
le pewien Beduin znalazł w
1947 roku gliniany dzban za-
wierający rękopisy hebrajskie.
Były wśród nich fragmenty
ksiąg Starego Testamentu spi-
sane w okresie od II wieku
p.n.e. do I stulecia naszej ery.

Przypadkiem dokonano sensa-
cyjnego odkrycia.

W odległości 13 km od pół-
nocnego krańca Morza Mart-
wego, czyli blisko Qumran,
tylko 34 km od Jerozolimy le-
ży siedmiotysięczne Jerycho.
Szeroka aleja, wzdłuż której
ciągną się bananowe i poma-
ranżowe ogrody, prowadzi stąd
do wykopalisk najstarszego
miasta świata. Już 10 tysięcy
lat temu istniała tam na wzgó-
rzu (2,5 km od miasteczka)
pierwsza znana osada obwaro-
wana. Ludność zajmowała się
zbiaractwem, myślistwem i
rolnictwem. W ścisłym znacze-
niu była to wieś warowna
wioska.

Mezo- lub neolityczne Jery-
cho zajmowało na całym
wzniesieniu 4 ha powierzchni.
W okrągłych chatkach z glina-
nych cegieł mieszkało ponad
2 tys. osób. Zabudowany teren
otoczono kamiennym murem o
grubości około 3 m i wysoko-
ści przeszło 5 m. Zachowało
się do wysokości 9,15 m potęż-
na baszta. W jej wnętrzu były
kamienne schody o 22 stop-
niach. Średnica wieży przy
podstawie miała 12 m, a przy
wierzchołku 9 m. Wokół muru
wykuto w skałę fosę o szeroko-
ści 8 m i głębokości 2,5 m.

Z nieznanych przyczyn około
7350 roku p.n.e. ludność Jery-
cho opuściła swą warownię.
Lecz później w tym miejscu
powstawały nowe osady. Pod
koniec IV tysiąclecia wybudowa-
li tu miasto semicki Kanaan-
czycy.

**George Thomson nazwał
Palestynę poligonem
Bliskiego Wschodu.**

Była bowiem przedmiotem
nieustannej rywalizacji różnych
mocarstw. Od niepamiętnych
czasów prowadził tędy ważny
szlak handlowy łączący Egipt,
Anatolię i Mezopotamię. Na
wierzchu Morza Śródziemnego
znajdowało się sporo dobrych
portów. Obca wojska przyby-
wały więc z wszystkich stron.
W dodatku stałe wdzierały się
hordy koczowniczych, których
niewyczerpanym rezerwuarem
była ogromna pustynia na
wschodzie i południu.

W drugiej połowie XIII wie-
ku p.n.e. zaczęły podbijać Pa-
lestynę plemiona hebrajskie.
Pierwszym miastem, które na-
półkowały na swej drodze po
przekroczeniu rzeki Jordan, by-
ło Jerycho. W powstałej póź-
niej Księdze Jozuego czytamy:
"Jerycho było silnie umocnio-
ne i zamknięte przed synami
Izraela. Nikt nie wychodził
ani nie wchodził" (Joz 6, 1).

Według relacji biblijnej He-
brajczy, których prowadził
Jahwe, okrutnie postąpili z
podbity ludnością. Wymordowa-
li mężczyzn i kobiety, mło-
dzieńców i starców. Zostawi-
li przy życiu tylko rodzinę nie-
rządniczy Rachab, ponieważ
ukryła zwiadowców wysłanych
przez Jozuego. Starożytne mia-
sto kanaanjskie krwawi na-
jeźdźców spalił i całkowicie
zrównał z ziemią.

Zdobyte złoto i srebro oraz
przedmioty z brązu i żelaza na-
leżało oddać do skarbcza Jahwe.
Ale nie wszyscy Hebrajczy
wykonali polecenie. Akan z
plemienia Judy przywłaszczył
sobie i zakopał w namiocie
piękny płaszcz, złoty pręt i
dwadzieścik złotych srebra. W
celu prześladowania Boga spra-
wił wyłonioną drogą losowa-
nia — skazano na śmierć
Akan i członkowie jego rodzi-
ny zostali ukamienowani.

Jeśli wierzyć Pismu Świę-
temu, to posuwający się na-
przód Hebrajczy nie oszczęd-
zali nikogo, ponieważ taka
była wola Jahwe. Zabijali
nawet dzieci. Palili miasta i
zakazywali ich odbudowy. Oto
fragment dotyczący miast ga-
lilejskich:

*"Całą zdobycz tych miast i
bydło podzielił Izraelcił pomie-
dzy siebie, lecz wszystkich lu-
dzi zglądził ostrzem miecza
doszczętnie, nie zostawiając żad-
nej żywej duszy. To, co Jahwe
rozkazał słudze swemu Mojżeszowi,
a Mojżesz rozkazał Jozue-
mu, Jozue wykonał, ni-
czego nie zaniedbując z tego
wszystkiego, co zlecił
Jahwe Mojżeszowi" (Joz 10,
14-15).*

W posiadaniu okrutnych ko-
czowników stopniowo znalazła
się prawie cała Palestyna. Nie
zdołał tylko opanować Jerozo-
limy, równiny Ezedreonu i miast
filistynskich nad Morzem Śród-
ziemnym. Położona na płasko-
wyzu centralnym Jerozolima
należała do amoryckiego klanu
Jebusytów. Zdobył ją dopiero
około 1000 roku p.n.e. król
Dawid, który podbił też Filis-
tynow i zlamal ostatecznie
opór Kanaanczyków.

W latach 969-962 za pa-
nowania króla Salomona wznie-
siono w Jerozolimie świątynię
Jahwe. Wspaniała budowla
stała na wzgórzu, które kupił
Dawid od Jebusyty Arauna.
Przedtem znajdowało się tam
kłepisko do młócenia ziarna.
Świątynia była dziełem archi-
tektów z Tyru i rzemieślników
fenickich. Do jej budowy i
wystroju użyto najdroższych
materiałów: cedrów libańskich,
miedzi, złota, kamieni szlachet-
nych.

W okresie rządów Salomona
(970-931 p.n.e.) państwo He-
brajczyków osiągnęło najwięk-
szy stopień integracji i rozwoju.
A potem cały naród —
mimo indywidualnych i zbioro-
wych wzdorów — zjeżdżał po
równi pochwylić losu.

**Z dzisiejszej perspektywy
historia Palestyny i Żydów
jest największą tragedią w
dziejach ludzkich. Naród
wybrany przez Jahwe
zapłacił straszliwą cenę
za zdobycie ziemi
obiecanej.**

Wkrótce po śmierci Salomo-
na państwo hebrajskie rozpad-
ło się na dwa wrogie królest-
wa. Większe z nich (Izrael)
przestało istnieć w 721 roku,
a mniejsze (Juda) w 587 ro-
ku p.n.e. Najpierw Asyryjczy-
cy, później Babilończycy przy-
musowo wysiedlili dziesiątki i
setki tysięcy Hebrajczyków do
odległych krajów. Politykę de-
portacji kontynuował Persowie
i przede wszystkim Rzymianie.
Ci ostatni spowodowali, że pod
koniec lat trzydziestych II wie-
ku naszej ery nie było już na-
rodu żydowskiego w Palestynie.
Okolo 5-6 mln Żydów żyło
w diasporze (rozproszeni) na
obszarach od Morza Kaspijskie-
go do Oceanu Atlantyckiego.

Świątynia Jahwe w Jerozo-
limie dwukrotnie legła w gru-
zach. Pierwszą spaliły w 587
roku p.n.e. wojska Nabuchodo-
nosora. A druga (odbudowana
w latach 520-515 i rozbudowa-
na w okresie 20 r. p.n.e.-64 r.
n.e.) spalił legionści Tytusa.
W obu przypadkach — ironia
losu — nastąpiło to 10 miesiąca
ab.

Według legendy do odbudo-
wy świątyni przystąpił Julian
Apostata (361-363), lecz musiał
przerwać prace, ponieważ z
wewnątrz ziemi wydobływały się
plamienie. Przez długi czas na
świętym wzgórzu Moria było
wysypisko śmieci. Dopiero w
691 roku Arabowie postawili
wspaniały meczet „Kopuła Ska-
ły”, który do dziś zachwyca tu-
rystów. Przewodniczący opowia-
dają, że w tym miejscu mo-
dlił się kiedyś Abraham, Da-
wid, Salomon, Elias i Mu-
hammad.

Po wygnaniu Żydów Pale-
styną władali kolejno Rzymianie,
Bizantyńczycy, Arabowie, Krzy-
żowcy, Mamelucy, Turcy, Angli-
cy i znowu Żydzi. Ci ostat-
ni, zanim tu powrócili, tulili
się po świecie. Wszędzie ich
prześladowano, wszędzie zda-
rzaly się pogromy. Postępowa-
ło na nimi jakieś przekleństwo,
jakieś złe fatum. Trudno uwie-
rzyć, że bogini pomsty dziejowej
karała prawników za grzechy
pradziadków popełnione podczas
zdobywania Palestyny. Nie
można też przyjąć, że Jahwe nie
wiedział, czym skończy się po-
byt narodu wybranego w zie-
mi obiecanej. A przypuszczenie,
że Bóg tak chciał, wydaje się
zupełnie niedorzeczne. Nie
każdy zaś wyznaje maksymę:
„Credo, quia absurdum”.

Nikt nie jest w stanie poli-
czyć, ilu Żydów zginęło we
wszystkich pogromach i zagła-
dach. Niemcy mają na sumie-
niu co najmniej 6 milionów.
Piszę — co najmniej, bo trzeba
doliczyć setki tysięcy ofiar z
dawnych wieków. Bardzo obcią-
żone jest również sumienie
Kościoła katolickiego. Wszy-
stkie bogały narody, które sty-
kały się z Żydami, mają coś na
sumieniu. Ale i sami Ży-
dzi nie są bez winy. Mają na
sumieniu Palestyńczyków —
wielu wymordowanych i około
3 mln wypędzonych.

W zasadzie reconquista zaczę-
ła się pod koniec XIX wieku.
W 1890 roku publicysta wie-
deński Natan Birnbaum stwo-
rzył termin „syjonizm” na ozna-
czenie ruchu dążącego do sku-
piecia Żydów w Palestynie.
Ideologiem i organizatorem sy-
jonizmu stał się dziennikarz i
literat Teodor Herzl. W nie-
wielkiej książce pt. „Państwo
żydowskie” dowodził, że jedyn-
ym rozwiązaniem odwiecznej
kwestii może być samodzielne
państwo, ponieważ wszystkie
narody przepojone są duchem
jawnego lub zamaskowanego
antysemityzmu. Pisał między
innymi:

*„Niech oddadzą nam, na za-
sadach zupełnej niezależności,
terytorium o rozmiarze wystar-
czającym sprawiedliwym po-
trzebam narodu. O resztę posta-
ramy się sami (...) Na przy-
szły rok w Jerozolimie — oto
nasze stare hasło”.*

Teodor Herzl widział dwie
siły zdolne do przesiedlenia Ży-
dów z różnych stron w jedno
miejscie: ideę państwa oraz
antysemityzm. Ten ostatni był
korzystny dla ruchu syjonistycz-
nego. Dlatego niekiedy inspi-
rowali go podobno sami Żydzi.
W opowiadaniu Izaaka B. Sin-
gera „Nauczyciel” lekarka Fri-
dele z Jadowa mówi (rzuca
dziejnie się w 1955 roku w Tel
Awiwie):

*„Żyd współczesny nie może
żyć bez antysemityzmu. Jeśli
antysemityzm gdzieś nie istnieje,
on go stworzy. Musi przele-
wać krew — toczyć boje z
reakcją, martwić się o Chiń-
czyków, Mandżurów, Rosjan,
pariasów w Indiach, czarnych
w Ameryce. Jest pieśń re-
wolucji, a jednocześnie doma-
ga się dla siebie wszystkich
przywilejów kapitalizmu. Chce
wykorzystać nacjonalizm w in-
nych, ale szczyty się przynależ-
nością do narodu wybranego
Jak taki naród może żyć wśród
obcych?”*

W sierpniu 1897 roku obra-
dował w Bazylej I Kongres
Syjonistyczny. Uczestniczyli
w nim 204 delegacji z 17 kraj-
ów. Przyjęto za cel działania
państwo żydowskie w Pale-
stynie. Odrzucono propozycję
lokalizacji na Madagaskarze,
w Ugandzie i Argentynie. Teo-
dor Herzl głosił, że Palestyna
to „ziemia bez narodu dla na-
rodu bez ziemi”. Wybrano go
przewodniczącym Światowej
Organizacji Syjonistycznej.

Ludność żydowska w Pale-
stynie wzrastała następująco:
1882 rok — 24 tys., 1900 rok
— 50 tys., 1914 rok — 85 tys.,
1925 rok — 136 tys., 1939 rok
— 449 tys., 1948 rok — 650 tys.
(30 proc. ogółu mieszkańców),
1955 rok — 1590 tys., 1970 rok
— 2582 tys., 1980 rok —
3283 tys. Obecnie w Izraelu jest
3 mln 500 tys. Żydów (jedna
czwarta). Stanowi to 81 proc.
ludności kraju.

**Państwo Izrael powstało
14 maja 1948 roku na mocy
uchwały Zgromadzenia
Ogólnego ONZ przyjętej
29 listopada 1947 roku
(33 głosy za, 10 przeciw i
10 wstrzymujących).**

Narody Zjednoczone posta-
nowiły jednak, że w Palesty-
nie będą dwa państwa: żydow-
skie i arabskie. Pierwsze mia-
ło obejmować obszar około
14,5 tys. km kw. (56 proc.
terytorium) i liczyć około
500 tys. Żydów oraz 400 tys.
Arabów. Natomiast drugie pa-
ństwo miało zajmować 11,6 tys.
km kw. powierzchni (42 proc.
Palestyny) i skupiać tylko
10 tys. Żydów. Strefy Jerozo-
limy i Betlejem (ok. 2 proc.
obszaru) miały być nadzorowa-
ne przez ONZ.

W rzeczywistości stało się
inaczej. Arabskie państwo ni-
gdy nie powstało, ponieważ
Izrael drogą zbrojną opanował
całą Palestynę. W kolejnych
wojnach (1948-49, 1956, 1967,
1973) odnosił coraz świetniejsze
zwycięstwa i stał się mocar-
stwem w tym rejonie. Aktual-
nie zajmuje obszar 20,8 tys. km
kw. i toleruje 700 tys. Ara-
bów. Ogromna liczba rodzinnej
ludności palestyńskiej znalazła
się na wygnaniu.

Po wojnie czerwcowej 1967
roku Izrael okupuje tzw.
Cisjordanie (zachodni brzeg
rzeki Jordan), strefę Gazy,
zachodnią część Jerozolimy
(wchodzącą w skład wczesniej-
szej Golan. Cisjor-
dania ma 6 tys. km kw.

Mieszka tu 850 tys. Palestyń-
czyków i ponad 60 tys. osadni-
ków żydowskich. W strefie Ga-
zy obejmującej 360 km kw.
jest 600 tys. Palestyńczyków i
3 tys. kolonistów żydowskich.
W całej Jerozolimie mieszka
470 tys. osób — w tym 135 tys.
Arabów i około 300 tys. Ży-
dów. Resztę stanowią przedsta-
wicieli wielu różnych narodów
wyznających religię chrześcijań-
ską.

Na okupowanych terytoriach
palestyńskich wciąż utrzymuje
się napięcie i gina ludźle.
Niektórzy politycy izraelscy
wzywają do wyrzucenia pozos-
tających Palestyńczyków. Depor-
tacje uważają za idealne roz-
wiązanie problemu. Spotyka
się to z nienawiścią i despera-
cją z drugiej strony. Pewna ko-
bieta palestyńska powiedziała
wysłannikowi tygodnika „Ti-
me”:

*„Dopóki Izraelczycy nie opu-
szczą naszej ziemi, nie będzie
tu pokoju. Nawet jeśli straci-
my wszystkich naszych synów,
walka będzie kontynuowana”.*

Wbrew nadziejom syjonistów,
powstanie Izraela nie rozwiąza-
ło kwestii żydowskiej. Żydzi
nadal rozproszeni są po całym
świecie. Według rocznika
„American Jewish Year Book
1982” najwięcej jest ich w na-
stępujących krajach: USA —
5921 tys., Izraelu — 3373 tys.,
ZSRR — 1700 tys., Francji —
535 tys., Wielkiej Brytanii —
390 tys., Kanadzie — 380 tys.,
Argentynie — 242 tys., Brazylii
— 110 tys., Południowej Afry-
ce — 108 tys., Węgrzech —
80 tys., Australii — 67 tys.,
Urugwaju — 50 tys., Iranie —
47 tys., Rumunii — 45 tys.,
Niemczech — 38 tys., Meksyku
— 37,5 tys., Holandii i Chile
— po 30 tys., Turcji — 24 tys.,
Maroku — 22 tys., Szwajcarii —
21 tys., Szwecji — 17 tys.,
Austrii — 13 tys., Czechosło-
wacji, Hiszpanii i Kolumbii —
po 12 tysięcy. W Polsce poda-
no tylko 6 tys. osób. Trzy
czwarte wszystkich Żydów
mieszka poza Izraelem, a
45 proc. w Stanach Zjednoczo-
nych.

Barczo dużo ludności żydow-
skiej mają następujące miasta:
Nowy Jork — 1998 tys., Los
Angeles — 503 tys., Tel Awiw-
Jafa — 394 tys., Paryż —
300 tys., Filadelfia — 295 tys.,
Jerozolima — 290 tys., Moskwa
285 tys., Londyn — 260 tys.,
Chicago — 253 tys., Miami —
225 tys., Hajfa — 210 tys., Ki-
jów — 170 tys., Leningrad —
165 tys., Toronto — 120 tys.,
Montreal — 100 tys., Sao Paulo
— 75 tys., Marsylia i Buda-
pest — po 65 tys., Johannes-
burg — 57 tys., Rio de Janeiro
— 55 tys., Teheran — 50 tys.,
Montevideo — 48 tys., Buka-
reszt — 40 tys. W Warszawie
ma być zaledwie 2500 osób.

**Początek diaspery sięga
734 roku przed naszą erą.**

Wtedy król asyryjski Tigla-
pilesar III deportował pierw-
szą grupę mieszkańców Izraela.
Rozproszenie nie jest więc ka-
rą czy odwetem za ukrzyżowa-
nie Jezusa — jak twierdziło
wielu chrześcijan — zaczęło
się już 2722 lata temu.

Przyczyn tragedii należy szu-
kać w judaizmie i Palestynie.
W religijnej ideologii narodu
wybranego i niefortunnym po-
łożeniu ziemi obiecanej przez
Jahwe. Niektórzy sądzą, że
ortodoksyjny judaizm jest dziś
tragedią państwa Izrael.
Ksiądz katolicki i zakonnik
karmelita, Daniel Rufeisen, któ-
ry wyjechał z Polski do Izra-
ela w 1959 roku, doszedł do pe-
symistycznego wniosku, że
„to państwo albo będzie musia-
ło kiedyś doprowadzić do kul-
turkampfu, do walki z
własną religią, z matką, która
ten naród doprowadziła po-
dzień dzisiejszy, albo ta religia
zniszczy to państwo. Albo jed-
no, albo drugie”.

Kilka lat temu, kiedy Izrael
dokonał okrutnej agresji na Li-
ban i dopuszczał się aktów lu-
dobójstwa, były premier Me-
nachem Begin mówił w Knesse-
cie:

*„Żołnierze izraelscy otrzyma-
li w tej wojnie świętą misję i
ida do walki w imię narodu
żydowskiego, najbardziej spra-
wiedliwego, najszlachetniejszego
i największego z narodów śla-
ta”.*

W ten sposób Żydzi nieocze-
kivanie przekształcili się z
narodu prześladowanego w na-
ród prześladowcy. Powtarza
się historia sprzed trzech tysię-
cy lat...

**STANISŁAW
KAWCZYŃSKI**

Trudno uwierzyć, że w tej rudery przez kilkanaście lat pracowali ludzie. Warunki bezpieczeństwa i higieny pracy w fabrykach Scheiblerów i Grohmanów przed wiekiem były zapewne znośniejsze od tych, jakie zaferowali swoim pracownikom pod koniec cywilizowanego XX wieku — kolejni użytkownicy przemysłowej ruiny na rogu Sienkiewicza i Orlel.

Jak wspomina inż. Henryk Kapusta, kierownik Działu Konstrukcyjno-Technologicznego oddziału warszawskiego Przedsiębiorstwa Wytwarzania Usług Urzędów Sportowych — w tej hali mieścił się niegdyś zakład „Prochnika”. Następnie gospodarzem zostało zrzeszenie „Polisport”, które wprowadziło tu ośrodek badawczy i magazyny. W latach 80. na piętrze znajdował się dział konstrukcyjny, a na parterze — dział produkcyjny stołecznego przedsiębiorstwa. Powyższenie kompletnie szyby na górnych piętrach to następstwo braku jakiegokolwiek gospodarza.

Trafili tu, bo ich siedziba przy ul. Gdańskiej została wyburzona.

Zawsze traktowali ten kawałek dzierzawionej przez siebie fabryki jako tymczasowe lokum. Kiedy zaproponowano im przeprowadzkę na ul. Jana Kilińskiego, okazało się, iż zaferowany budynek jest stanowczo za obszerny na ich potrzeby i zbyt wiele trzeba byłoby zainwestować w remont kapitalny, który potrwałby przynajmniej rok. Pracownicy tu dalej pod presją psychizacji, skarg mieszkańców „Manhattanu”, występujących pod hasłami: „Precz z ruiną! Wyszadź szkaradę!”, z tego powodu otrzymywali ponaglenia, aby jak najprędzej opuścić to miejsce.

Z informacji dyrektora przedsiębiorstwa z Warszawy — inż. Wojciecha Mattingiewicza wynika, że obecna lokalizacja przy ul. Obrońców Stalingradu została wskazana w 1984 r. Kiedyś firma nie chciała pogodzić się z perspektywą rocznego remontu — abstrahując oczywiście od sprawy kubatury — teraz przyszło jej borykać się z nim przez 4 lata!

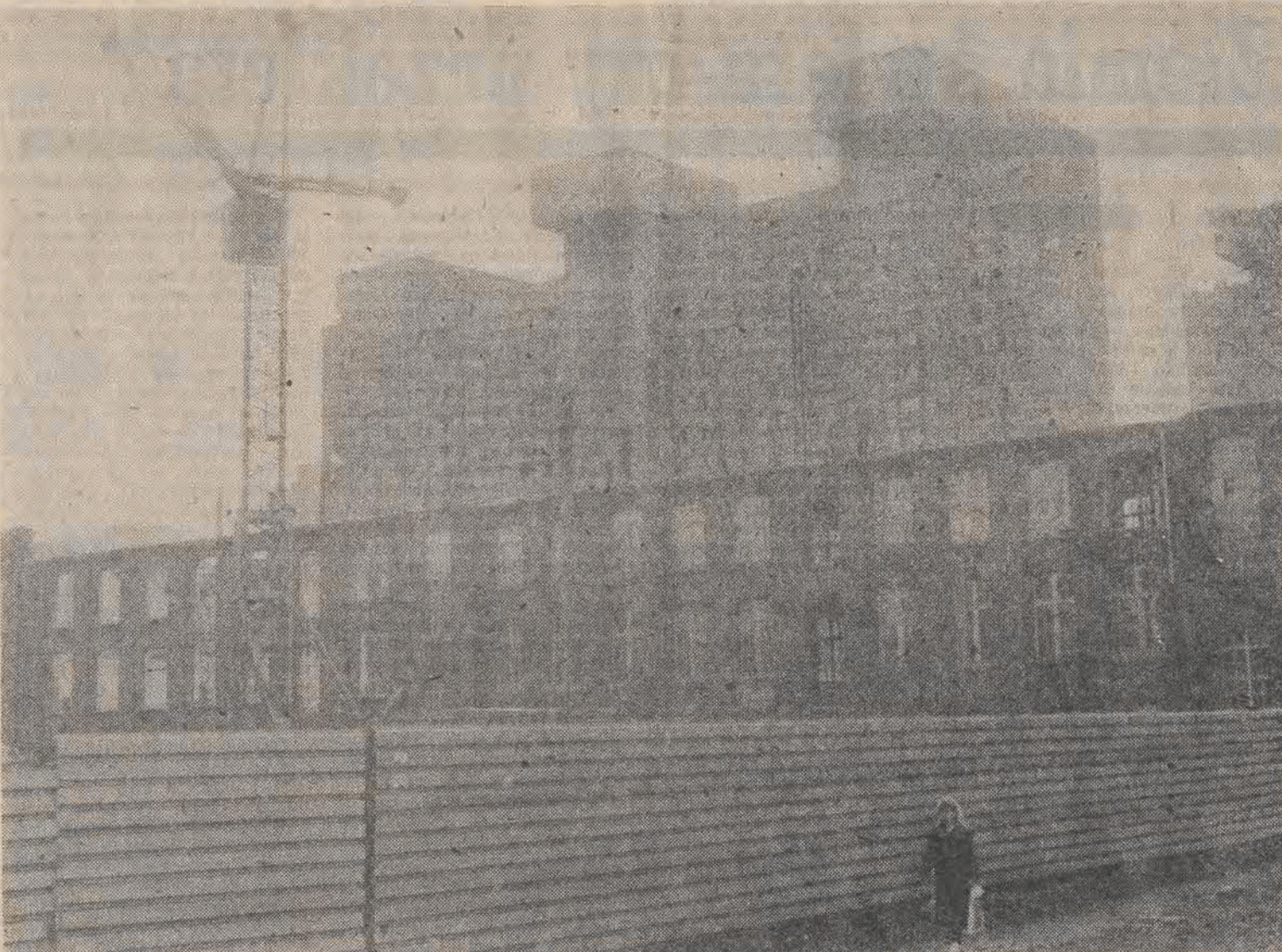
Pytania o to, czy pracownicy nie wzdrazali się przez tyle lat wchodzić do tej koszmarniejszej rudery, czy nie było wypadków z powodu niedbałości o mury instalacje i sanitariaty — inż. Wojciech Mattingiewicz traktuje jako imputowanie niestworzonych rzeczy. Dyrektorem jest od 1987 r.

Z dawnej ekipy wszyscy zostali wymienieni.

Nie jest w stanie wskazać odpowiedzialnych za nieprzewidywalne pogłębiające się z roku na rok dewastacji budynku.

Prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Śródmieście” Tadeusz Witkowski oraz członek zarządu Stanisław Gębicki tłumaczą, że obiekt fabryczny na rogu Orlel i Sienkiewicza jest własnością spółdzielców od czasu ich zarejestrowania, czyli od półtora roku. Ostatni z użytkowników opuszcza mocno sfałgowane progi. Przeprowadzka zaczęła się jeszcze w lutym. Nie chcieli z jej powodu przerywać cyklu produkcyjnego.

Rada Osiedla zdecydowanie opowiada się za zachowaniem resztek fabryki. Jedno jej skrzydło bowiem zostało zwalone w minionym okresie. Argumentuje to tym, że rejon „Manhattanu” jest za bardzo nasycony wysokim budownictwem mieszkaniowym. Zgodnie z planem zagospodarowania w miejsce walącego się budynku miał swego czasu powstać kolejny dumny 17-piętrowy wieżowiec. Fabryczka po kuracji odświeżającej będzie stanowić ciekawy element urbanistyczny, a spółdzielnia woadnie parę groszy po sfinalizowaniu transakcji z przyszłym — stałym już użytkownikiem, który na będzie prawo własności. W mieście brakuje działek pod budownictwo dla potrzeb produkcyjnych. Nieracjonalnym gestem byłoby skazywanie szkarady po raz któryś z kolei na wysadzenie.



Precz z ruiną! Wyszadź szkaradę!

Ruiny w centrum Łodzi

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Wstępna ekspertyza wykazała, że mury są jeszcze solidne. Nic więc dziwnego, że zanim ostatni lokator opuścił przeciekającą od dachu ruinę, znalazło się dwóch potencjalnych kupców. Według pobieżnych wyliczeń udało się ustalić, że adaptacja dla potrzeb III Oddziału Miejskiego PKO kosztowałaby do 400 mln zł, przy czym gros kosztów byłoby związanych z wystrojem wnętrza i zabezpieczeniami bankowymi, a nie z robotami budowlanymi.

Drugim kontrahentem jest Fabryka Maszyn Introligatorskich „Introma”, która przeniosłaby tu swoje wydzielone produkcyjne. O tym, kto poniesie koszty reanimowania obiektu, zdecydowały oficjalny przetarg. Spółdzielcy zapewniali, że jeden z warunków wstępnej umowy wiąże się z zapewnieniem stałego dozoru budynku przez przyszłego właściciela. Spółdzielnia na to nie stała.

W sąsiedztwie na rogu alei Adama Mickiewicza i ul. Sienkiewicza stoi następny budynek pofabryczny, szczerzacy pustymi oczodolami okiennic — aczkolwiek z nową stolarką w lewym skrzydle, bez dawnych drewnianych stropów, które kazał rozebrać komendant straży pożarnej. Fabryka zaskarbiła sobie w ciągu ostatnich lat, tj. od czasu przebiecia trasy szybkiego ruchu — opinie szkarady i zawałidrogę wśród okolicznych mieszkańców.

No, bo tak. Z jednej strony powstała nowoczesna zabudowa „Manhattanu”, więc fabrykę zamierzano zburzyć w czasie wielkiego rozmachu. Potem przełomowe lata 1980/1981 uświadomiły, iż nadszedł kres wielkich inwestycji. Trzeba raczej lokować w stare mury, aby nie rozleciały się przedwcześnie. W ich obronie stała tym bardziej stanowczo urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Smiech śmiechem, ale te cztery ściany fabryczne, mocno nadwerżone zębem czasu i niegospodarności użytkowników — znajdują się w rejestrze zabytków.

Jednak patrzeć na sprawę poprzez pryzmat odczuć mieszkańców odkrywa się druga

stronę medalu. Trzeba ludziom oddać sprawiedliwość — ile lat można bowiem ciągnąć sprawy remontu czy wyburzenia szkarady w reprezentacyjnym rejonie miasta? Władze pod wpływem opinii radnych i samorządów mieszkańców naturalnie od dłuższego czasu naciskają, aby jak najszybciej rozwikłać ten problem.

Fabryka na rogu Mickiewicza i Sienkiewicza pomimo ożywczycych prądów odnowy aż do połowy lat 80. znajdowała się w niejasnej sytuacji co do przyszłości. A to bezpośrednio rzutowało na sposób myślenia użytkownika w kwestii ewentualnych remontów. Wreszcie decyzją dyrektora Wydziału Spraw Lokalowych i naczelnego architekta miasta — miała ocaleć od zniszczenia.

W maju 1985 r. Urząd Miasta Łodzi przekazał zwolniony przez ostatniego właściciela obiekt Przedsiębiorstwu Pań-

stwowemu „Dom Książki”. Ostatnia funkcja budowli miała być zachowana. Fabryka po modernizacji ma służyć za magazyn, tym razem składnicy księgarskiej. Ponadto „Miasto-projekt” zaproponował od strony ulicy Henryka Sienkiewicza podpięcie, w nich dużą księgarnię, stylowy murek dookoła z lampionami. Jednak nawet tak duża powierzchnia składowa zaledwie tylko poprawi sytuację przeładowanej zapasami składnicy księgarskiej.

Pomimo to koszty są dla przedsiębiorstwa wysokie. Do tej pory adaptacja kosztowała 63 mln zł, a nowe solidne stropy wymagały nadzwyczajnego wzmocnienia konstrukcji nośnej — jak powiedział kierownik Działu Inwestycji inż. Z. Miniak. Prace mogą być ukończone według harmonogramu do końca 1989 r., ale główny wykonawca „Techma” nie ma dostatecznej liczby robotników.



Foto: Grzegorz Galasiński

Z całym dobrodziejstwem inwentarza w postaci starych murów fabrycznych stosunkowo dobrze radzą sobie potentaci przemysłowi.

W epoce wielkiego rozmachu marzyła się sternikom Zakładów Przemysłu Dzielarskiego „Marko”, stosowna do wielkości produkcji nowoczesna siedziba, skupiająca wydziały w jednym miejscu. Dziś — tak jak w przynależącej większości firm — trzeba łowić pieniądze w stare budynki i to pod okiem inspektorów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Fabryka przy Wólczańskiej 128, choć pochodzi z 1914 r., znajduje się w rejestrze zabytków kultury materialnej, chronionych prawem. W owym rejestrze znajduje się adnotacja, że kompleks ten posiada „elementy wkomponowane w pierzeje ciągu zabudowań ulicy, masywne filary, szerokie okna, unikalne połączenie elementów, zaczerpniętych z kręgu architektury obronnej z tendencjami modernistycznymi”.

W latach reformy gospodarczej w „Marko” brakuje środków na kompleksowy remont kapitalny, więc rozkłada się on na długie lata. A w porównaniu z innymi, zrobiono tu bardzo wiele. Z informacji kierownika Wydziału Technicznego Mariana Stępnia wynika, że w ubiegłych latach została wzmocniona konstrukcja stropów, wymienione tynki na klatkach schodowych. Stara konstrukcja drewniana dachów zastąpiono ocieploną stalową — z zachowaniem oryginalnych kątów pochyleń, a więc zgodnie z zaleceniami konserwatorskimi. Złożono nowe wozy sanitarne w halach produkcyjnych. Sanitariaty lśnią czystością. Promienie słońca odbijają się w glazurze.

Kłopoty sprawia zabytkowa wieżyczka

od frontu, mieszcząca historyczne zbiorniki przeciwpożarowe i zraszacz, które dawno temu zastąpiono już nowymi rozwiązaniami. Dwa wielkie zbiorniki na wodę korodują. Opierają się o drewniane legary, których wytrzymałość nie jest w porządku. Kiedyś mogłyby spaść, przebić strop i wyładować komuś na głowę. Zbiore-

ników nie da się tak po prostu pobić palnikami z uwagi na obecność w środku zbyt wielkiej ilości wyschniętego drewna. Jedyny sposób na pozbycie się tego niebezpiecznego balastu to rozebranie części ścian wraz z wieżbą dachową... Projektant z Międzywojewódzkiej Spółdzielni Pracy „Siódemka” ma uzgodnić z konserwatorem wojewódzkim plan ewentualnego obniżenia wieżyczki.

Marian Stępień z „Marko” lubi powtarzać, że biednego nie stać na utratę tych budynków. Remonty przeprowadzane są stopniowo, ale solidnie. W 1988 roku wymienił okna. Przy okazji pokazuje jak wiatr w ciągu dziesięcioleci wybrzuszył jedno z wielkich okien — małe szybki oprawne w stalową ramę.

Po tym zabiegu w 1990 r. rozpocznie się remont szyby windowego, wymiana dźwigu. Znikną pofabrykanckie stajnie, w których teraz siedzi administracja. Nad nimi na wysokości pierwszego piętra wyrosnie łącznik między dwoma budynkami fabrycznymi. Teraz już nie trzeba będzie wozić towaru pod chmurką.

W. Walczak — Wojewódzki Konserwator Zabytków twierdzi, że wszelkie przebudowy pomniejszają wartość zabytkową obiektów, ale jest to zło konieczne. Nowe technologie produkcji zmuszają wręcz do adaptacji pomieszczeń. Ochroniarzom najbardziej zależy na zachowaniu w stanie nie naruszonym wyglądu zewnętrznego. Niewielu łodzi jest świadomych tego, że taka koncentracja zespołów fabryczno-rezydencyjno-mieszkaniowych typu Księży Młyn — pozostałości po imperiach Poznańskich, Scheiblerów i Grohmanów, „królów bawelny” — jest unikatem na skalę światową. W sensie rzadkości występowania czasem niezbyt w sumie.

wiekowa fabryka ma większą wartość historyczno-architektoniczną od fabrykanckiego pałacu czy willi.

Gdyby nie powolny postęp w przemyśle, w latach 70. mogły zniknąć z krajobrazu całe zespoły fabryczne nie licząc drobnoustrojów. W poprzedniej dekadzie znalazły się na szczycie w rejestrze zabytków. Pewna liczba użytkowników w ogóle nie dba o nie. Eksploatuje do końca, przeprowadza się do nowego miejsca, a ruiny przekazuje w posiadanie miastu.

Roczny budżet urzędu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wynosi 199 mln zł. W tej sytuacji praktycznie przedsiębiorstwa skazane są na własne siły.

Nie wszystkie fabryki są zabytkami, choć w ich poczet zakłada im. Stanisława Dubois przy Targowej, pochodzące z lat 30. naszego stulecia. Pomimo młodego wieku, mają dużą wartość architektoniczną. Inne nie posiadają statusu chronionych przez prawo, ale remonty i adaptacje odbywają się według zaleceń konserwatorskich.

Statystyki wykazują, że z 20 tysięcy dworców szlacheckich, które przetrwały wojnę, a znajdujących się w granicach administracyjnych Polski Ludowej — ocalał jeden tysiąc. Z fabrykami los obszedł się łaskawiej.

W wielu krajach prosperują doskonale setki firm ubezpieczeniowych. Czego właściwie się bać?

„Westa” rzuca wyzwanie

ANDRZEJ GEBAROWSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

„Westa”, opiekunka domowego ogniska, doszła wreszcie do wniosku, że niepotrzebnie sędowała swe uprawnienia w Polsce wyłącznie na PZU. Przybyła na wiatrach reformy, aby powołać zupełnie nową, konkurencyjną wobec PZU firmę. Chytrze wykorzystwała w tym celu ministra Bazylego Samojlikę, który — całkowicie nieswiadom jej interwencji — przełamał bardzo poważny monopol, udzielając 29 lutego 1988 r. zgody na „Westę” — Spółdzielczy Zakład Ubezpieczeń. Tak to wygląda, spoglądając z góry.

Z dołu — co oczywiste — wygląda to nieco inaczej. Najpierw była ustawa; o ubezpieczeniach majątkowych i osobowych z września 1984 roku. Potem w „Głosie Robotniczym” ukazał się wywiad. Dyrektor Oddziału Wojewódzkiego PZU zauważył w nim, że ustawa zezwala na konkurencję w dziedzinie ubezpieczeń. Podchwycił to Janusz Baranowski, z wykształcenia doktor chemii, z zawodu rzemieślnik. Zaraził swymi planami znajomych i przyjaciół. Przez trzy lata dyskutowali, aż nareszcie — we wrześniu 1987 roku — zdecydowali się na zgłoszenie formalnego wniosku o rejestrację.

Początek był zachęcający: zamiast spodziewanego „jeszcze nie”, resort finansowy odpowiedział „tak, ale”. To „ale” dotyczyło głównie statutu przyszłej firmy. Ministerstwo zażyczyło sobie, aby zabezpieczal on (w formie odpowiedzialności zapisu) wypłacalność wobec klientów. Korespondencja i rozmowy na ten temat trwały przez kilka miesięcy. Dopiero trzecia wersja statutu okazała się ostateczna. Na 21 stronach, w 53 paragrafach, zawarto całe credo. W jednym z paragrafów znalazł się niezwykle istotny szczegół: w komisji rewizyjnej przy zarządzie spółdzielni zarezerwowano miejsce dla przedstawiciela ministerstwa. Poczynania konkurenta PZU i „Warty” będą więc dyskretnie obserwowane.

Janusz Baranowski, wybrany niedawno przez radę nadzorczą „Westy”, zadzwonił jest nawet z takiego obratu sprawy. Upewnił się, że mają do czynienia z solidną, w pełni wypłacalną firmą. Prezes chwali również postawę urzędników, którzy — na przekór utartej opinii — pomagali, nie zaś przeszkadzali. Słusznie też na przykład odwiedził od pomysłu, iżby powołać spółdzielczy bank ubezpieczeń. Banki — przypomnieli — są w Polsce instytucjami pod ścisłym nadzorem, nie warto się tam wdzierać z „wolną” inicjatywą. Co innego spółdzielczość — nie nakłada gorsetu jednolitych stawek i przepisów.

Stało się więc na 32U „Westa”

Przypuśćmy, że nabyłem 100-tysięczny udział, stając się członkiem spółdzielni. Co w zamian zaofiaruje „Westa”? O ile nie zniechęcając się i nie wycofując przedwcześnie pieniędzy, skorzystam po pewnym czasie z oprocentowania bankowego — co najważniejsze — z tzw. dywidendy, czyli części nadwyżki finansowej przypadającej mi proporcjonalnie do wielkości mojego wkładu.

Nasuwa się zatem pytanie: od czego zależy wielkość nadwyżki? Istotna jest tutaj zagwarantowana statutowo zasada, że na wypłatę odszkodowań oraz na tzw. fundusze rezerwowe i prewencyjne przeznaczane będzie łącznie nie mniej niż 68 procent ogólnej sumy składek. Założmy, że stan konta wyniesie 10 mln zł. Zgodnie z powyższą zasadą, do dyspozycji „Westy” pozostanie 32 procent tej sumy, czyli 3,2 mln zł. Jednak tylko pozornie — trzeba przecież uwzględnić 65-procentowy podatek dochodowy. Po odejęciu podatku, dochód spółdzielni skurczy się do 1,2 mln zł. Należy jeszcze odliczyć ewentualne wpłaty na cele rozwojowe, koszty utrzymania biura, agentów itp. itd. Jak widać — przy 10 mln kapitału nadwyżka jest zupełnie symboliczna. Wniosek stąd prosty: aby ją zwiększyć, spółdzielnia musi zabiegać o klientów, mówiąc zaś mniej delikatnie — o wpłacane przez nich składki.

Klientem „Westy” zostać może każdy: zwykły obywatel, rzemieślnik, spółdzielca, firmy prywatne, instytucje i przedsiębiorstwa państwowe. Wszyscy mają być traktowani jednakowo, bez jakiegokolwiek dyskryminacji.

— Bolała mnie — zwierza się Janusz Baranowski — nieufność PZU w stosunku do rzemieślni. Dlatego na przykład tak się dzieje, że rzemieślnik ubezpieczony jest dopiero od momentu wpłacenia pierwszej składki, zaś spółdzielnia — już od zgłoszenia wniosku? U nas nie będzie takiej różnicy...

I oto doszliśmy do punktu, od którego artykuł ten powinien się zaczynać, gdyby firmy ubezpieczeniowe były w Polsce rzeczą zwykłą. Czym „Westa” zamierza przyciągnąć klientów?

— Szerszym niż dotąd zakresem usług, mniejszymi niż w PZU składkami, przyznawaniem specjalnych ulg, których nikt przed nami nie przyznawał — streszcza krótko prezes.

Ważne jest wszelako następujące zastrzeżenie: chodzi wyłącznie o ubezpieczenia, które nie są obowiązkowe z mocy prawa. Tylko takimi będą się zajmować spółdzielcy. Nie zamierzają za to respektować ograniczeń geograficznych — chcą odpowiadać za wypadki z całego świata. Cóż jednak z tego, skoro skazani są na złośliwych. Mieli — przynajmniej — apetyt na dolarowe ubezpieczenia, ale wyperswadował im je minister. Odłożyli ten pomysł na późniejsze czasy.

W zanadrzu trzymają na szczęście inne pomysły, rozszerzające tradycyjny zakres usług. Zamierzają m.in. ubezpieczać prywatne kolekcje i zbiory, sady i pasieki, prywatny przewóz towarów, pobyt w kraju gości z zagranicy (pokrywając np. ewentualne koszty leczenia). Ba, zdolni są nawet ubezpieczyć nogi narciarza, biust modelki i niebawem czuły nos. Pod warunkiem, że dogadają się z klientem co do wartości tych cennych „dóbr” oraz wysokości składek. Liczy się bowiem indywidualne podejście, bez biurokratycznej mordęgi. Oby! — chce się skomentować.

A teraz składki. Znowu powraca jak bumerang wymóg konkurencyjności. Przy ubezpieczeniach na wypadek śmierci lub kalectwa „Westa” żąda od

3 do 15 zł za każdy tysiąc złotych sumy ubezpieczenia. Za to samo świadczenie wpłaca się w PZU od 4 do 18 zł. Ubezpieczenie mieszkania na kwotę 1 mln zł kosztuje w PZU 6300 zł rocznie, zaś w nowej firmie o tysiąc zł mniej. W przypadku ubezpieczenia domu jednorodzinnego składka roczna „Westy” wynosi 4 tys. zł — o 200 zł taniej niż w PZU. Różnica może się jeszcze zwiększyć, ponieważ w spółdzielni obowiązywać ma 19-procentowa zniżka — za 3-letni okres bez wypłaty odszkodowania. Podobnej ulgi PZU nie przewiduje.

Można podać więcej takich przykładów. Odkawie jest również i to, że obniżce (w stosunku do PZU) składek rocznych towarzyszyć będzie często podwyżka górnej granicy sum, na jakie można się ubezpieczyć. Czy to się jeszcze opłaca?

— Powiem panu jedno — prezes ścisza głos, jakby obawiając się, że ktoś podsłuchuje. — Moglibyśmy te składki obniżyć jeszcze bardziej, ale nie chcemy za bardzo zachwiać całym systemem... Poczekamy, jak zareaguje PZU. A nuż dokona obniżki? Wtedy i my z kolei odpowiemy...

Co na to PZU? Dyrektor Zbigniew Wlazniński z Oddziału Wojewódzkiego PZU stara się traktować wyrastającą pod bokiem „Westę” najzupelniej normalnie:

— Taka możliwość istniała już od 4 lat. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie będzie to papierowy zapis. Jeżeli w Europie Zachodniej, w wielu krajach prosperuje doskonale po kilkaset firm ubezpieczeniowych, to czego właściwie się bać? Przynajmniej, że konkurencja jest nam nawet na rękę. Znajdziemy wreszcie jakiś punkt odniesienia. A może rzeczywiście trzeba będzie jeszcze raz przyjrzeć się warunkom, na jakich świadczymy ubezpieczenia? Jestem jak najdalej od lekceważenia konkurencji...

Na razie konkurencja nie może się opętać od dziennikarstwa. Informacja o powstaniu „Westy”, zamieszczona w „Expressie Ilustrowanym”, a potem w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego, narobiła ogromnego szumu. W prywatnym mieszkaniu prezesa co chwila urwają się telefon. Doszło do tego, że w porze największego dzwonienia rodzina w popłochu opuszczała pokój, starając się przebić poza domem. Proszą o kontakt ludzie z całego kraju, z miast i miasteczek. Zgłaszają się kandydaci na agentów, osoby dysponujące lokalami, chętni do wykupienia udziałów. Wojewódzki Związek Pszczelarzy w Pile zaferował pomoc organizacyjną, własny personel, własne biuro i telefon. Z Gdańska, Wrocławia i Krakowa nadeszły propozycje utworzenia oddziałów „Westy”.

Łódzkie biuro oczekuje tymczasem na swoją siedzibę. Spółdzielcy nie chcą żadnej prowizorki. Gotowi są nawet poczekać kilka miesięcy, byle tylko lokal był wygodny i w dobrym punkcie, najlepiej przy Piotrkowskiej. Władze miasta zadeklarowały konieczną w tym względzie pomoc.

— Powołaliśmy „Westę” trochę z chęci przygody, trochę dla zmierzania się z konkurencją — zwierza się Jerzy Rasinski, wiceprezes rady nadzorczej — liczymy, że zachowa się ona fair play.

— Jedno wiem na pewno — kończy rozmowę prezes — nie będzie żadnej plajty!



Mówi: Tadeusz Zakrzewski

— Za co otrzymał pan „Złoty Ekran”?

— Za reportaż zagraniczne, przede wszystkim za reportaż z wizyt generała Wojciecha Jaruzelskiego m.in. w Japonii, Chinach, ZSRR, Nowym Jorku, Jugosławii, Włoszech... Ponadto wspólnie z red. Jerzym Ambroziewiczem zrobiliśmy film o papieżu przed jego trzecią pielgrzymką do Polski. Oprócz tego nakręciliśmy kilkunastominutowy serial o stosunkach państwo — Kościół w Włoszech, ponieważ Włochy są dość modelowe, jeśli chodzi o wspomniany układ. Uważaliśmy, że przedstawienie tego problemu polskim telewidzom da wyobrażenie, jak w nowoczesnym państwie są układane owe stosunki. W sumie te materiały, tak mi się wydaje, zdecydowały, że dostałem „Złoty Ekran”. Jest to już mój drugi „Złoty Ekran”.

— A za co będzie trzeci?

— Chyba już za reportaż międzyplanetarny. Już teraz zgłaszam swoją kandydaturę na pierwszy taki lot.

— Był pan z generałem Wojciechem Jaruzelskim w wielu krajach. Która z tych podróży najmocniej utkwiła w pana pamięci?

— Wie pan, każda podróż była zupełnie inna. Lecąc do Nowego Jorku, trzeba było pamiętać, że była to pierwsza podróż polskiego polityka po stanie wojennym. W związku z tym był to okres, fak oceniali publicyści, dość niebezpieczny. Zgłębiliśmy Broniarek powiedział wówczas, że generał zdecydował się pojechać w samą paszczę lwa. Mógł wszystko stracić i mógł wszystko zyskać. Podróż — jak pamiętamy — zakończyła się sukcesem. Ale była to podróż o tyle specyficzna, że mieliśmy do czynienia na co dzień z pewną grupą ludzi, którzy chcieli też wizytę zakończyć, zdyskretytować. M.in. była taka manifestacja, w której brałem udział — po tej drugiej stronie — tzn. zdecydowałem się wraz z operatorem wejść w tę grupę manifestantów.

— I zobaczył pan Jacka Kalabińskiego.

— Tak, robił reportaż z tejże manifestacji dla Radia Wolna Europa. Jacek Kalabiński był moim kolegą radiowym, był przewodniczącym SDP oddziału warszawskiego i właściwie potraktovalismy się jako koledzy, którzy wykonują swoje zadania. Rozstaliśmy się w sumie w zgodzie, chociaż udzielił mi wywiadu. Był to jedyny wywiad pracownika Radia Wolna Europa, który ukazał się na ekranie polskiej TV.

— A podróż do Dalekiej Wschod? Jak pan odebrał egzotykę tak odległych od nas krajów?

— Były to: Korea, Mongolia i Chiny. Najbardziej frapujące były Chiny, ponieważ w sumie jest to kraj ogromnych możliwości gospodarczych. Jest to dla nas przyszłościowy partner, jeśli chodzi o współpracę gospodarczą. Nasz przemysł w tej chwili nie ma szans na wytworzenie towarów wysokiej jakości, Chiny czy z kolei są na takim etapie rozwoju gospodarczego, że ich ten wysoki standard towarów przemysłowych nie bardzo zadowala, oni nie są do takiego standardu przyzwyczajeni. Natomiast im chodzi o ilość. Gdy zaproponowaliśmy im sprzedaż rowerów, to pierwsze ich pytanie było: ile tego będzie? Ktoś powiedział: 80 tysięcy sztuk. Oni na to, że ich urządza 800 tysięcy.

— Towarzyszył pan Wojciechowi Jaruzelskiemu w jego podróżach. Jak go pan widział?

— Widziałem i widzę jako człowieka wyjątkowo skromnego. Dawniej, robiąc reportaż z wizyt meża stanu, bohaterem musiał być sam mąż stanu. A generał na to w ogóle nie chciał się zgodzić. Wręcz zapowiedział, że jeśli mi zrobimy reportaż, w którym on będzie bohaterem, a nie ludzie, sprawy, problemy, to będzie to nasz ostatni reportaż. Wie pan jakie to było dla mnie trudne? Przecież ja miałem obciążenie lat poprzednich, kiedy kamera non stop pokazywała głowę państwa, a wszystko inne było jedynie tłem. Wróć do generała. Oprócz skromności zaskakuje ogromną pracowitością. Przykład: do Chin leci się 16 godzin. Co robić w samolocie? Można spać, pić herbatę, czytać. Słowem — pełny relaks. A generał cały czas pracował. Zapewne do każdego wyjazdu starannie się przygotował, ale w samolocie jeszcze uzupełniał swoje wiadomości. Ponadto generał jest bardzo przystępny, dowcipny, szarmancki wobec kobiet. Dla charakterystyki generała przytoczę takie zdarzenie: jesteśmy w Bieszczadach, gdzie generał odwiedzał ośrodek przemysłowy i wojsko pracujące w tamtym terenie. Któregoś dnia przejeżdżamy przez jakieś małe miasteczko i generał mówi, żeby się zatrzymać i zjeść obiad w restauracji. Zatrzymujemy się. W restauracji konsternacja, nie ma miejsc, więc stoimy i czekamy. Potem zwalniamy się stół. Siadamy. Podchodzą kelnerka, a generał pyta, co ona poleca na obiad. Pamiętam, że zaproponowała barszcz czerwony i kapuśniak, a na drugie chyba schabowego. Generał zamówił, zjadł, zapłacił. Saja była wypełniona turystami, dzieci podchodziły po autografy, jakaś pani z Kanady uważała, że to w ogóle jest niemożliwe, tym bardziej w Polsce komunistycznej, reżimowej. Oczywiście zjawiała się kierowniczka i poprosiła o wpis do książki. A więc generał zaskoczył nie tylko mnie, ale i ludzi z miasteczka. I jeszcze jedną rzecz chciałbym dodać do tej charakterystyki: generał jest rozluźniony, świetnie umie rozmawiać czy to z chłopami, czy z robotnikami i ma się wrażenie, że posiada pełną wiedzę z zakresu danego zagadnienia.

— A przywódcy krajów, do których pan jeździł z generałem? Jacy oni są?

— Pamiętam ich wszystkich. Na przykład Michail Gorbaczow odnosi się do naszego generała z ogromną atencją, wiedząc, że generał przeszedł w czasie ostatniej wojny cały szlak bojowy, czego brakuje w życiorysie Gorbaczowa, gdyż jest dużo młodszy. Bardzo często zwraca się do Jaruzelskiego po imieniu lub per towarzyszu Wojciechu. Natomiast wizyta w Watykanie była wielokrotnie dłuższa niż przewidywał protokół. Dziennikarze nawet robili zakłady: ile czasu poświęci Jan Paweł II przywódcy z Polski. Nikt nie zgadł, bo tego czasu poświęcił bardzo dużo. A Fidel Castro? Otóż wydelegował on swego brata Raula, aby rozegrał partię ping-ponga z naszym generałem. Początkowo generał prowadził 4:1, ale potem dyplomatycznie pozwolił Raulowi Castro zremisować 4:4. Natomiast Deng Hiao Ping, człowiek nr 1 Chin, w przeszłości nawet resocjalizowany gdzieś na wsi, teraz stojący na czele państwa, już w czasie pierwszych trzech minut, kiedy jeszcze reporterzy trzaskają aparatami, powiedział coś, co mi się bardzo podobało, że socjalizm musi się wreszcie ludziom kojarzyć z ustrojem wyższym niż kapitalizm. I ta wyższość musi być zauważalna na każdym kroku.

— Może kiedyś wrócimy jeszcze do tego tematu, a teraz dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

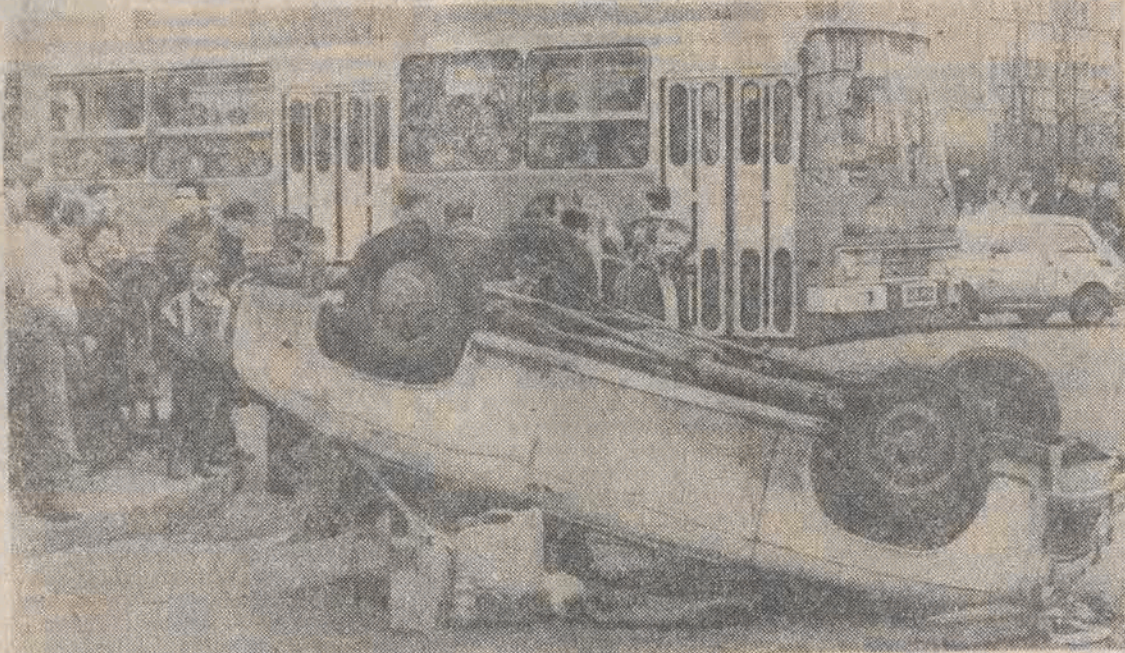


Foto: Grzegorz Gałasiński



Mój mózg jest zbyt rzadko używany. Wiem o tym od moich szarych jak paździenikowy dzień komórek. Nudna papka Głosu Życia pism literackich kłajstruje jego głód. Mój mózg jest niedostatecznie odżywiany. Chudnie. Widzi coraz mniej. Końskie okulary wyprostowane horyzonty stare przeboje w radu i kł. pasczell w dziale ogłoszenia. Mój mózg pracuje swoich możliwości a więc jest bezpieczny wliczony w policzony między liczne mózgi pracujące na tych samych zasadach pod tą samą gwiazdą. Mój mózg woła na pustyni rafujcie mój mózg krzyczy mój mózg nieudolnie parafrazując ekologiczne hasło St. Lema.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko - obyczajowa
PORTRET HRABIANKI

Adam Underowicz, poeta, należący do polistopadowej emigracji francuskiej, spotkał kiedyś w towarzystwie pewną, nie znaną z nazwiska hrabiankę rosyjską, której zgola niepochlebny konterfekt przedstawił w wierszu opublikowanym w „Poesyach” (Paryż 1878):

Krótką, grubą, pęczkowatą,
Twarz czerwona jak kucharki,
Wzrok wolowy, zywota,
Nogi duże, grube barki.
Nos zadarty, krótkie zęby.
Bez uśmiechu spore usta,
Głową wiją ryż kłęby.
Krótką szyję, pierś zbyt tusta.
Oto jest portret Moskiewki,
Grafianki i prostej dziewczki.

O LEKARZACH

Lekarze — wynalazcy rozmaitych chorób i ezuli ich opiekunowie. Utarło się zdanie, że między złodziejem a lekarzem jest ta różnica, że gdy obaj wychodzą od swych pacjentów, pierwszy wie zawsze, a drugi tylko czasem, co im brakuje. Knapki notuje przysłowie: „lekarzów wiele, umorzą chorego śmiecie”. — nowe zaś przysłowie powiada: „gdzie dobry lekarz, tam głodny aptekarz”. Doktorzy zalecają bogatym chorem dietę, chodzenie pieszo i pracę fizyczną, ubogim zaś każą wstrzymać się od wszelkiej pracy, wyjeżdżać na Południe, bawić się, jeść dobrze, pić stare wino itd. Finansowe operacje doktorskie na większe rozmiary nazywają się konsyliami.

O lekarzach napisano tysiące aforyzmów. Oto kilka mniej znanych:
Ze Piotr lekarz uczony, nikt temu nie przeczy,
On zna wszystkie choroby, prócz tych, które leczy.

Był, mówią, łotr, co nie kradł, szewc, który nie pisał,
Lecz nie było doktora, co by nie zabijał.

Dziwi! doktor księdzem! — Czegóż się dziwować?
Tyle ludzi pomorzył, trzeba ich pochować.

Zadziwia cię zgon nagły lekarza Stefana,
Musiał sobie odpocząć i śmierć zmordowana.
K. Bartoszewicz: Słownik prawdy i zdrowego rozsądku. Warszawa 1905.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Mity polskiego kina

Słowa uznania należą się oczywiście Łódzkiemu Domu Kultury, bo oto, w stosunkowo krótkim czasie, ukazuje się drugi tom szkiców i studiów nad filmem, pod wspólnym hasłem: „Twórcy, style, tendencje”. Jest to — podobnie jak za pierwszym razem — praca zbiorowa, choć nieco precyzyjniej skonstruowana, bo przynosiąca określoną i ważną — jak się wydaje — dla polskiego kina propozycję interpretacyjną. Jaka jest m. in. Osmiu autorów, których szkice weszły w skład książki, będącej — jak czytamy w nocie od redakcji — „zbiorem różnorodnych i z różnym temperamentem, pisanych refleksji nad dziełem polskiego twórcy filmowego”, penetruje najrozsądniej obszary rodzimej kinematografii.

Krzysztof Kłopotowski w szkicu „Kino obserwacji potocznej” podejmuje próbę syntetycznego opisu nurtu kina, który wyraźnie objawił się w drugiej połowie lat 70. Czyni to w publicystycznym, bożowym tonie, który choć dobrze przystaje do omawianych problemów, pozwała jednakże na podjęcie dyskusji z autorem. Staje się on bowiem mimowolnie apologetą kina wówczas społecznie zaangażowanego i stawia je w opozycji do tzw. nurtu kraczyńskiego, który uznaje za formę ekspansji w bezpieczne rejony uniwersalizmu.

W drugim artykule, „Aktorzy sołgają maski”, daje się Kłopotowski poznać jako wnikliwy obserwator rzeczywistości ekranowej i pozaekranowej, dostrzegając w kreacjach Stuhra, Zapasiewicza, Radziwiłowicza, Olbrowskiego symptom przemiany nie tylko filmowego bohatera, ale także stereotypu realnie istniejących postaci społecznych. Aktor na filmowym ekranie staje się znakiem (mitem) społecznych wartości, jest ich zwierciadłem.

Rozważania o człowieku pracy w filmie polskim (fabularnym i dokumentalnym) lat 70. podejmuje Kazimierz Sobotka, w artykule „Między samotnością a karierą”. Jest to — w tym wypadku uzasadniona — próba zastanowienia, w refleksji nad filmem, perspektywy socjologicznej która ma ułatwić analizę ekranowego portretu człowieka pracy. Przy jego tworzeniu widzieć — zdaniem autora — choć

w różnym stopniu, wpływ tradycji lat 50., i powielanie „niektórych konwencji” tzw. „produkcyjniaków” zaś sam temat pracy ulega wyraźnej mitologizacji.

Ciekawą refleksję wokół twórczości Andrzeja Wajdy snuje Artur Cholewicki, który w szkicu „Wajda i mity” istotnie odsłania szereg płaszczyzn mitologicznych, nawiązań. Okazuje się bowiem Wajdą da mitybura narodowych tradycji, mitycznym stałe się sena jego twórczości w polskiej kulturze, a także mitem on sam, jako artysta.

Pełny rys „filmowy” biografii Marka Macieja Maciejewskiego, który rozprawia m. in. na temat rzekomej filmowości prozy Hłaski, analizuje społeczny odbiór jego twórczości i żywot jego prozy na filmowym ekranie. Nie bez znaczenia dla końcowych konstatacji okazuje się fenomen artysty, zrodzonego w określonej konstytucji społeczno-politycznej, a także m. in. i legendy stworzonej wokół autora „Pierwszego kroku w ciemnościach”.

W roli obrońcy Grzegorza Królikiewicza, nieczym „advocatus diaboli”, wystąpił Mirosław Przylibski. Wywód obrońcy jest jednak o tyle przewrotny, że sprowadzone do systematycznego opisu programowe elementy twórczości Królikiewicza takie jak: chaos, hermetyczność, rozczepienie i prowokująca pretensjonalność, własnie z założenia wymykają się rygorom analizy. To raczej — kolejna w tomie — próba kreacji mity twórcy — tym razem kontrowersyjnego eksperymentatora, odważnego być może „stygiem szaleństwa”.

Bodaj najbliższe koncepcji mity jako klucza interpretacyjnego są dwie „rasowe” analizy konkretnych dzieł filmowych, zawarte w szkicach Ryszarda Kłuszczyńskiego i Marka Basiagi. Pierwszy z autorów wychodząc z założenia filozofii egzystencjalnej, konstruuje — przy pomocy gofmanowskiej analizy zachowań nieświadomych — klucz interpretacyjny do twórczości Romana Polańskiego i pokazuje jego precyzyjne użycie na przykład „Matni” i „Lokatora”. Analiza zachowań bohaterów, wsparta obserwacją filmowego dyskursu w warstwie stylistycznej, potwierdza słuszność obranej drogi, a kategoria mity — choć nie ekspono-

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

„Film polski. Twórcy i mity”. (praca zbiorowa pod red. K. Soboty). ŁDK 1987, s. 204, nakład 2000 egz.

Przy szabasowym świeczniku

16 kwietnia bm. miała miejsce w Łodzi mała sensacja: w Teatrze Nowym wystawiono spektakl całkowicie poświęcony Żydom, a noszący wieloznaczny tytuł „Przy szabasowym świeczniku”.

Nie pora na jakiegokolwiek oceny tego, przynajmniej śmiałego przedsięwzięcia. Natomiast warto powiedzieć, że reżyserem jest Jan Szurmiej — choreograf, aktor, reżyser — człowiek który zaznaczył już swoją obecność w życiu teatralnym Polski. Przypomnę: od 1971 roku jest związany z Teatrem Żydowskim ale grwał także na scenach polskich. Ostatnio zajął się reżyserią, choć w Teatrze Muzycznym w Gdyni przygotowywał choreografię do „Skrypcy na dachu” w reżyserii Jerzego Gruzy. W 1988 wystawił w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu „Sztukmistrz z Lublina” Singera, który to spektakl krytyka określiła mianem „wydarzenia teatralnego”. Ostatnio w Teatrze Nowym w Warszawie wspólnie z Jerzym Satanowskim wyreżyserował oraz zaprezentował choreografię spektaklu „Decadance”. Na stałe związał się z „Ateneum”, co nie przeszkadza, że w Teatrze Dramatycznym przygotowuje, jak sam mówi „wizję dramatyczną na temat getta warszawskiego pt. „Gwiazda za murem” do tekstu Jacka Burasa.

Gdybym miał w dwóch zdaniach odpowiedzieć

o czym jest to przedstawienie, to określiłbym to tak: jest to historia kabaretowego szmonecsu i folkloru żydowskiego, ale jest to jednocześnie satyra na przedwojenne żydowskie drobniomieszczanstwo. Teksty pochodzą z takich firm, jak: Horacy Saffin, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Lopek Krukowski, Konrad Tom, Szelem Alechem.

Występują: Alicja Ciochowska, Anna Bojarska-Skoczylas, Włodzimierz Kwaskowski i Jarosław Piliński. Opracowanie muzyczne: Teresa Stokowska-Gajda i Andrzej Jarzewski. Opracowanie literackie: Ewa Miller.

Na zakończenie dwie anegdoty z programu:

— Co to jest kapitał?

— Kapitał, to jest u Karola Marksa na papierze a u fabrykanta Brockiego w kasie.

I druga: — Ożenić się chce z miłości czy dla pieniędzy?

— Z miłości dla pieniędzy.

EUG. IW.

W dniach 6-11 kwietnia 1988 roku odbył się w Łodzi VI Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomatycznych Szkół Teatralnych. W Teatrze Nowym i w ST „Cytryna” swoje umiejętności prezentowali absolwenci szkół teatralnych Warszawy, Łodzi, Krakowa i Wrocławia.

Przełęcz rozpoczęła Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna im. Ludwika Solskiego w Krakowie spektaklem Mikołaja Erdmana „Samobójca” w reżyserii Jerzego Jarockiego. Na Małej Scenie Teatru Nowego zaprezentowano „Iwone, księżniczkę Burgunda” Witolda Gombrowicza, w reżyserii Jerzego Stuhra. Spektakl bardzo dobry formalnie, umiejętnie budowane napięcie, świetnie skonstruowane sceny. Prosta scenografia dopełniała inne elementy przedstawienia. Oczywiście do powstania tej interesującej interpretacji tekstu Gombrowicza przyczynili się aktorzy: Małgorzata Majewska-Krzysztofik w roli Królowej Małgorzaty, to jeden z najciekawszych tegorocznych debiutów uhonorowany przez jury nagrodą. Inni nagrodzeni absolwenci Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie to: Dariusz Drózd i Dorota Segda. Wyróżnienie otrzymał Roman Gaucarczyk.

Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera w Łodzi zaproponowała sztukę Jamesa Sandersona „Następny razem zaśpiewa dla ciebie” w reżyserii Michała Pawlickiego. Przedstawiła również wystawioną na deskach „Cytryny” i cieszącą się powodzeniem łódzkiej publiczności „Szkariatną Wyspę” Michała Bulhakowa, w reżyserii Macieja Prusa.

Przełęcz spektakli dyplomatycznych

Nagrody otrzymali: Katarzyna Węglińska i Grzegorz Emanuel. Wyróżniono również Jarosława Grudę.

Wrocław pokazał „Sen nocy letniej” Williama Shakespeara w reżyserii Waldemara Zawodnizkiego. Barwna koncepcja scenograficzna, plastycznie interesujące kostiumy przyciągały uwagę publiczności. Zapowiadano „Biesy” Fiodora Dostojewskiego, niestety spektakl został odwołany wystawiono natomiast „Pannę Julię” Strindberga. Reżyseria Iga Mayr. Wyróżniono Beatę Rekowską i Mirosława Kropielnickiego.

„Czyste szaleństwo” (sceny z dramatów W. Shakespeara, Moliere’a, A. Fredry, J. Potockiego, S. I. Witkiewicza) i „Ośmiu dni tygodnia” (piosenki z repertuaru zespołu The Beatles) to propozycje Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. W obu spektaklach chodziło głównie o prezentację całego zespołu aktorskiego.

W „Czystym szaleństwie”, przedstawieniu pod kierunkiem Jana Englerta, mimo różnorodności prezentowanych scen, udało się stworzyć jednolitą całość. „Czyste szaleństwo” na Małej Scenie Teatru Nowego okazało się czystym szaleństwem. Być może mała sala bardziej odpowiadała koncepcji reżysera, lecz nie odpowiadała tłumnie przybyłej publiczności.

Jednak widzowie nie tylko znieśli niewygody, lecz dużym aplauzem nagrodzili wykonawców.

Równie entuzjastycznie przyjęto „Ośmiu dni tygodnia” w reżyserii Krzysztofa Zaleskiego; scenariusz napisał Piotr Kozłowski i Krzysztof Zaleski. Spektakl otrzymał wyróżnienie honorowe za kreację zbiorową.

Jury najwyższej oceniło Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie. Nagrody otrzymali: Ewa Gryn, Małgorzata Pienkowska, Zbigniew Konopka, Dariusz Kordek, Piotr Kozłowski, Aleksander Konieczny, przynajmniej wyróżnienie, a Dariusz Dobkowski, ciepło przyjęty przez publiczność, otrzymał prywatne wyróżnienie.

Werydykt jury potwierdziła łódzka publiczność.

JOLANTA POL



Rys. Sławomir Luczyński

SZCZYPKA PRAWDY(?)

Zygmunt Małanowicz („Nóż w wodzie”, „Polowanie na muchy”, „Krajobraz po bitwie”, „Trad”) powiedział dziennikarzowi PAP: „Mój zawód polega na sprzedaży twarzą, osobowości, ale nie za wszelką cenę. I nie ukrywam swoich opinii, a więc narażam się... Skończyła się „polska szkoła”, filmy nie mają już siły oddziaływania, nie pokazują człowieka, jednostki, jej psychiki i uwikłań, za to do znużenia biedną polską codzienność i głupawą obyczajowość... Pokazanie nie w takim filmie, mnie nie interesuje. Interesuje mnie pokazanie człowieka w całej złożoności, nie chcę by był jedynie uchwyt do szlanki, tem dla hasła... Nie raz można jeszcze powieść „Wodzieja” i „Bohatera roku”? Nasza kinematografia siła się, nie wiem czemu, by być wiodącą siłą polityczną. Podział środowiska ciąży na twórcach, ale nie z niego korzystnego artystycznie nie wynika... Skoro tyle się mówi o de-

mokracji, tolerancji, to nie można równocześnie wymagać np. ode mnie, bym miał inne poglądy. A u nas nie jest ważne, co kto robi, ale co myśli. Nie ma miejsca na sztukę, jest tylko walka, niechęć, zawiść, czasem wręcz nienawiść... Jestem aktorem, stoję z boku, ale nie na tyle, by nie widzieć, że środowisko jest podzielone jakby na dwa obozy. Jeden stoi za Andrzejem Wajdą, drugi za Bohdanem Porebą, co dla mnie jest śmiesznym zjawiskiem. Daleki jestem od tego, by uważać, że Wajda jako twórca nie zasługuje na szacunek i uznanie. Jego dokonania artystyczne mówią same za siebie. Reżyserzy zafascynowani Wajdą nie tworzą własnych dzieł, co jest zrozumiałe w pracy twórczej. Natomiast mówienie, że Poreba trwoni cegiełki i nigdy nie zrobił niczego wartościowego, jest twierdzeniem niesprawiedliwym. Jego filmy są rozliczne, czasem słusznie, a czasem nie. Nie przypominam sobie, by tak uparcie rozliczano innego reżysera. Młodzi reżyserzy mają prawo do fascynacji Wajdą, ale wobec

tego niech robią tak samo dobre filmy, niech mówią filmami. Gdyby te nieszczerze podziały nie wydstawały się poza środowisko, nie miałyby takiego znaczenia. Ale, niestety, manipulują się opinią społeczną. Zanim w ogóle powstanie film, niektórzy już wiedzą, czy będzie dobry, czy zły w zależności od tego, kto reżyseruje...”

W NIELASCE

„Tylko znikoma mniejszość młodzieży, która przystąpiła w ubr. do egzaminów dojrzałości, wybrała temat historyczny — stwierdza Paolo Spriano w „Corriere Della Sera” — to tak jak gdybyśmy doświadczyli zerwania ciągłości tradycji. Wszyscy odwołujemy się do obecnych, które stanowią epokowe, bardzo wyraźne zerwanie z przeszłością, rejestrują w skali masowej zerwanie stan pamięci... Ostracyzm wobec dat, bitew, dynastii, miejsce przyniosł efekt bumerangu: jeśli dziś Amerykanie odkrywają, że ich dzieci nie wiedzą, kiedy odkryto Amerykę, a Fran-

cuzi uważają się, że można skończyć liceum nie wiedząc, kiedy był szturm na Bastylie, u nas dowiadujemy się, że maturzyści odczuli temat dotyczący internacjonalizmu i neutralizmu po prostu dlatego, że ich nauczyciele nie zdołali podczas lekcji historii najnowszej dojść nawet do I wojny światowej.

Przychodzą kolejne roczniki młodych, którzy nie mają bladości pojęcia czym był nazizm, faszyzm, rewolucja rosyjska, czy kryzys w 1929 roku... Według powszechnego mniemania pamięć historyczną dysponują tajemniczy, domniemani posiadacze tajemnic i rewelacji... Czym, jeśli nie odzwierciedleniem sakralizacji, czasem pełnej szacunku, czasem ironicznej, jest szeregowa się moda nazywania „historycznym przywódcą” starego polityka, który przeżył sprawy i czasy dzieł zapomnianych, a które uczynił z niego, wbrew niemu, wyrocznię albo rozbitka? Można nawet zostać postacią historyczną, i to z największą łatwością. Odległe stają się lata siedemdziesiąte, baśnio- we — lata sześćdziesiąte...”

Niektóre wystawy przemijają tak szybko, że zdoła bierzemy, iż pośród kronikarskiego biegu przez wernisaże brakuje czasu, aby na nie wracać po wielokroć. Taki właśnie pozostał mi młody osad po pokazie grafik i rysunków Ryszarda Otreby (ur. 1932, absolwent i wykładowca ASP w Krakowie, teraz projektant; twórca i organizator życia artystycznego, ostatnio przewodniczący Komitetu Organizacyjnego 12. Międzynarodowego Biennale Grafiki). R. Otreba w pracach wystawionych w Salonie Sztuki Współczesnej pokazał żywiołowe taktów i rytmów gipsowych linii i spotkań płam dyskretnie rysunkowych półtonów. Były to rzeczy madreplastyczne. Szkoda, że gościć tak krótko.

Benefis miał łódzianin Stanisław Cuchra-Cukrowski — architekt wnętrz (rocznik 1932, absolwent PWSSP w Łodzi, dyplom w 1958 roku). Jego specjalnością są adaptacje wnętrz zabytkowych i aranżacje wystaw sztuki, uprawia rysunek; jest wyznawcą i głosicielem eklektyzmu, upatruje w tym „ekładankowym” stylu przełomu XIX i XX wieku pierwszej otwartej sformułowanej deklaracji tolerancji w sztuce. W Willi przy ul. Wólczańskiej (piwnica i parter) przypominano jego prace z lat 1982-1983, zaś w jadalni przyległościami dawnego pałacu Poznańskich (Muzeum Historii Miasta Łodzi) artysta urządził kolejny pokaz zbiorowy według własnego scenariusza i zaprosił do udziału: Tomasza Chojnackiego — grafikę, Jana Cuchra-Cukrowskiego — przedmiot użytkowy, Zbigniewa Władę — sztukę obojętną, Bogdanę Skopińską — ceramikę, Ryszarda Hungara — malarstwo, Andrzeja Kabalę — grafikę, collage, Małgorzatę Gdowska-Przyłpiak — srebro, Tadeusza Polapczyka — biżuteria.

Mądra grafika i worek rozmaitości

Zaistniało to wszystko w oprawie wnętrza i przedmiotów ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi. Programowo, żeby nie powiedzieć „wymuszony” eklektyzm fabrykanckiej jadalni skojarzony z wielkością stylizacji współczesnych dało pewnie rzecz o tolerancji, choć nie wiem czy spojrzenie wyczerło do rezultatu w pełni przystaje (tytuł wystawy: Spokojny wieczór, czyli rzecz o tolerancji). Wspaniale „zagralo” w tej aranżacji 3-planowe Tableau T. Chojnackiego.

Krajobraz z bałni, czyli malarstwo Janiny Hada (studia PWSSP Łódź, dyplom w 1987 r., łódzianka, Salon Sztuki Współczesnej). Obrazy porównanie komunikatywne: trawa jest jak trawa, niebo jak niebo. Sądze jednak że łatwość odbioru wizualnej strony tegomalarstwa utrudnia dotarcie do jego głębszych warstw. Jest w nim coś z drobiazgowości przyrodniczych atlasów i czułego dialogu z dawnymi mistrzami; nostalgia za rzeczywistością bez dramatów i radość z odnalezienia takiego świata choćby na malarskim płótnie. Bałni snuta niespiesznie.

Zupełnie inaczej niż w malarstwie Laszlo Keri — żywiłowemu, wjelowatkowemu (Laszlo Keri — rocznik 1949, studia w Budapeszcie, pracuje w grupie artystycznej miasta Hódmezővásárhely, które jest najważniejszym centrum tradycji realizmu w malarstwie węgierskim; wystawę przygotowane w ramach współpracy zaprzyjaźnionych województw: csonradzkiego i łódzkiego; Muzeum Historii Miasta Łodzi — kwiecień '88). W obrazach Keri'ego można znaleźć bez mała wszystko: cytaty z Velazqueza, wataki z Biblii, górę śmieci i obnażoną kobietę, sylwetkę sportowca i postać robotnika, pejzaż i klepsy malarstwa gestu, kontrasty barw żywych i przygaszonych, a także prawie monochromatyczne, składanki kadrów i kadr pojedynczy. Jednego tylko w tych obrazach nie ma — przypadku. Węgierski artysta wpręga całą tradycję kulturową Europy we współczesność. Być może chciałby dowiedzieć, iż to, co dawne ciałe w teraźniejszości uderza, tak właśnie uderza i przeszłość sadowi się w teraźniejszości jakaś przekawalkowana.

Skoró do Łodzi zawitał gość z Węgier, pora odnotować nasze rezultaty eksportowe. Galeria 86 sprawiła Austriakom niespodziankę. Wystawę SILVER TOP FROM POLAND pokazano ogólnopolskiej telewizji, czego o ile mi wiadomo początkowo nie było w planie. Umiankowanie optymistycznie można natomiast skwitować i Targi Sztuki w Budapeszcie. Optymistycznie, bo Galeria 86 (eksponując przygotowany Janusz Głowacki) została zauważona i wysoko oceniona, poczyniono zamówienia na INTERART w Poznaniu, trochę sprzedano... I tu zaczyna się owo „umiankowanie”. Umiankowanie dobre przygotowanie organizacyjne i reklamowe Targów w Budapeszcie zawiodło uczestników. Tyle bez wnikania w szczegóły.

KRYSZYNA
NAMYSŁOWSKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

MIAŁ TYLE
SZCZĘŚCIA

Henry R. Kravis, nowojorski handlowiec przekazał 10 mln dolarów na budowę skrzydła do Metropolitan Museum of Art. „Miałem tyle szczęścia w interesach w Nowym Jorku — powiedział — że chciałem pozostawić miastu i muzeum pamiątkę”.

UDANA IMPREZA
ANTYKWARYCZNA

Wielce udana impreza była Czwarta Łódzka Aukcja Antykwaryczna (12-13.IV. br.). Łączne obroty z licytacji zamknęły się sumą około 20 mln złotych.

Spośród 1451 oferowanych pozycji — większość wzbogaciła zasoby biblioteczne oraz indywidualnych kolekcjonerów.

Hit aukcyjny — niezwykle rzadko pojawiające się w komplecie 8-tomowe dzieła zebrał Joachima von Sandrarta —

nabyła za 1,5 mln złotych (po cenie wywoławczej) Biblioteka Jagiellońska.

Duże zainteresowanie wzbudził po raz pierwszy wyodrębniony w ofercie aukcyjnej dział „Przemysł i rzemiosło. Rękodzieło artystyczne”. Umożliwił on specjalistycznym bibliotekom uzupełnienie zbiorów o bardzo cenne dla nich, nieodzownie potrzebne publikacje.

Największych emocji licytacyjnych dostarczyła, tym razem, historia wojskowości i militaria.

NOTOWANIA
NA GIELDACH
KSIĄŻKOWYCH

„Encyklopedia sztuki starożytnej” — 2500 zł; J. W. Hall „Japonia” — 2000 zł; C. W. Ceram „Pierwszy Amerykanin” — 1800 zł; Pierre Sichel „Modigliani” — 2400 zł; B. Krzywobłocka, R. Krzywobłocka „Magia klejnotów” — 700 zł; Zbigniew Osiński „Grotow-

W poszukiwaniu nowości reżyserzy teatralni od dawna sięgają po literaturę piękna. To już nie dziwi. Nie będnemy też wcale zaskoczeni, gdy przyjdzie nam kiedyś uczestniczyć w scenicznych przeobrażach np. książki telefonicznej czy... dzieła plastycznego. Jeśli to tylko dobrze Sztuce służy; jeśli pobudza wrażliwość, intelekt; daje niezapomniane przeżycia — to, bardzo proszę, eksperymentujmy! Najczęściej jednak pogoń za oryginalnością — palma pierwszeństwa wyczerpuje pomysły artystów. Nie wiele ciekawego więcej mają do powiedzenia, natomiast okaleczana, beztrosko przerabiana

„Ja, Gombrowicz”

Literatura straszy bądź nudzi ze sceny. To nieproste przełożyć twórczość słowną na język obrazowy i logicznych działań. Bywa, że oglądając efekty takich zabiegów z trudem rozszyfrujemy zagadki adaptatorów. Bywa, że irytujemy się z kolei przesadną dokładnością, wręcz ilustracyjnością przeniesienia tekstu.

Właśnie ten ostatni grzech założył nieco na odbiorze przedstawienia w Małej Sali Teatru Nowego, pt. „Ja, Gombrowicz” w układzie i reżyserii Wojciecha Szulczyńskiego. Zaproponowany scenariusz mający zapoznać widza z życiem, postawą moralną i filozoficzną, a przede wszystkim z charakterem twórczości pisarza, zdaje się mieć wyraźne motto. Streszcza się

ono, o ironię, trawestacją słynnego zdania. Po godzinie jesteśmy niemal pewni, że dla Wojciecha Szulczyńskiego Gombrowicz „wielkim artystą był” i... basta! I nie z tego nie wynika! Prowadzona cały czas za rączki przez zafascynowanego filologa-reżysera publiczność, grzesznie wysłuchuje kolejnych wykładów — ilustracji mówiących o dziełach, rozterkach duchowych, prześmiewczym stosunku do rzeczywistości, znakomitą opanowaniu warsztatu, erudycji Witolda Gombrowicza, wciąż... czekając. Dwa akty czekając na wydarzenie, komentując, na chociażby końcowy krzywy uśmiech

lub „nagą Albertynkę”, na cokolwiek burzącego pomnikowy raczej charakter spektaklu. Bezszykownie. Autor „seansu dramatycznego” wywołał ducha, ale nie poprowadził z nim dialogu.

Przedstawienie ma jednak dwie wielkie zalety łagodzące ocenę całości i wystarczające, by polecić odwiedzenie Małej Sali Teatru Nowego. Jest ono bowiem starannie przygotowane, przemyślane w każdym szczególe i poprowadzone w dobrym, acz może chwilami nie nazbyt szybkim, tempie. Zobaczyliśmy kilka scen pięknych wizualnie, wzruszających i mądrych. Drugim ważnym plusem jest gra aktorów, zwłaszcza głównej pary: Bronisława Wrocławskiego jako Gombro i Cezarego Nowaka — Itka,

Gombro to naturalnie Gombrowicz taki jaki jawi się w swoich „Dziennikach”. Wrocławski znakomicie czuje postać, a już wykonana przezeń mini-etuda o zuczach zasługuje na gorące brawa. Prawdziwa warsztatowa perełka. Itka — sugestywnie, z ciekawym, gombrowiczowskim właśnie, dystansem, odtwarzając przez młodego, wielce utalentowanego aktora C. Nowaka — to również pisarz, tym razem widziany przez pryzmat opowiadań, których fragmenty złożyły się na scenariusz widowiska. Spłecia i napięcia między tymi dwiema postaciami z dwu różnych, wykreowanych rzeczywistości nakreślają akcję.

Premiera spektaklu „Ja, Gombrowicz” odbyła się przy wypełnionej do ostatniego, stojącego miejsca widowni. Przeważała młodzież licealna i studencka. Wydaje się więc, że mamy narreszcie „trafioną w dziesiątkę” pozycję w repertuarze teatru.

MARIA M. POULAIN

Mała Sala Teatru Nowego: „Ja, Gombrowicz”, seans dramatyczny złożony z fragmentów prozy Witolda Gombrowicza. Adaptacja, przygotowanie i reżyseria — Wojciech Szulczyński; scenografia — Barbara Hanicka.

Kronika

W KINIE „IWANOWO”, 13 bm., odbyła się uroczysta inauguracja Wiosennych Spotkań z Filmem Radzieckim.

Z tej okazji przebywała w Łodzi delegacja filmowców radzieckich z Aleksandrem Proszkinem — twórcą słynnego, rozchłonnego obrazu „Chłodne lato 1933”.

Został on zaprezentowany widowni przez reżysera, na przedpremierowym pokazie.

W inauguracji Wiosennych Spotkań z Filmem Radzieckim uczestniczył i sekretarz KŁ PZPR — Józef Niewiadomski.

ZWYCIĘZCA BOGATYŃSKIEGO „TURNIEU IGARZY”, prymaaprilowej imprezy zorganizowanej w tym roku już po raz piąty, został łódzianin — Andrzej Jędrzejewski.

Wraz z koroną „króla igarzy”, łódzkiemu aktorowi (nie związanemu etatowo ze sceną) przypadła nagroda im. Kornela Makuszyńskiego.

NA SPOTKANIU krytyków, wydawców i pisarzy w Poznaniu, z okazji obchodów Międzynarodowego Dnia Książki dla Dzieci i Młodzieży, za najwybitniejszy debiut literacki z lat 1983-1987 (w twórczości młodzieżowej) uznano książkę łódzkiego literata Zbigniewa Bałki pt. „Z powrotem, czyli fatalne skutki niewłaściwych lektur”.

ANDRZEJ MALISZ (lat 40, żonaty, dwoje dzieci), wywodzący się z dziennikarskiej rodziny, absolwent filologii polskiej, od 1976 r. zatrudniony w telewizji (w prasie od 1969) został powołany na zastępcę redaktora naczelnego (do spraw publikacji i informacji) w Łódzkiej Ośrodku Telewizyjnym.

POWIEŚĆ BRONISŁAWA TRONSKIEGO PT. „JEST PAN WOLNY” („Czytelnik”) uznana została przez tygodnik „Kultura” „Książką miesiąca”. Pokazuje ona narodziny nowej polskiej rzeczywistości od upadku Powstania Warszawskiego po Październik 1956.

14 KWIETNIA BP. W ŁÓDZKIM MUZEUM HISTORII SZTUKI otwarta została wystawa „Cmentarz żydowski w Łodzi”.

Zgromadzone na niej fotografie Wiesława Stepińskiego stanowią pełną dokumentację cmentarzy, zabytkowych nagrobków.

Ekspozycja została zorganizowana przy współudziale Społecznego Komitetu Opieki nad Cmentarzem.

NIEZNANE ZDJEŚCIA Z ŁÓDZKIEGO GETTA eksponowane są w Muzeum Walki i Męczeństwa w Radogoszczu.

REKTOR PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY FILMOWEJ, TELEWIZYJNEJ I TEATRALNEJ W ŁÓDZI — prof. Henryk Kłupa — został członkiem słynnego Amerykańskiego Instytutu Filmowego w Los Angeles (AIF).

Na liście gratulacyjnym, przesłanym mu z tej okazji przez władze Instytutu, znajduje się m.in. podpis sławnego reżysera — Francisca F. Coppoli (przewodniczącego AIF).

BERNARD WOLINSKY, amerykański polskiego pochodzenia, stał się posiadaczem największej kolekcji pamiątek po Marlyn Monroe. Gromadził je w ciągu 25 lat — penetrując m.in. „pchele targi” w wielu miastach.

Swoje unikatowe zbiory prezentuje w galerii na Manhattanie.

OD 15 BM. „EXPRESS ILLUSTROWANY”, popularna łódzka popołudniówka, można nabywać na Polesiu w kilkunastu sklepach spożywczych i przyprawowych. W sukurs borykającemu się z trudnościami kadrowymi „Ruchowi” — przyszedł bowiem tamtejszy Oddział PSS „Spotem”.

NA ZAPROSZENIE ORGANIZATORÓW międzynarodowego festiwalu filmów krótkometrażowych przebywała w Oberhausen (RFN) z tygodniową wizytą 30-osobowa delegacja studentów i wykładowców PWSTF w Łodzi.

Z okazji 40-lecia łódzkiej szkoły filmowej odbywał się tam pokaz etud studentów z ulicy Targowej. Publiczność festiwalowa mogła zapoznać się podczas ośmiu godzin projekcji z najciekawszymi pracami dyplomowymi łódzkich studentów. W Oberhausen czynna była również wystawa fotograficzną, obrazująca historię i dorobek łódzkiej uczelni filmowej.

JÓZEF WĘGRZYŃ, twórca nowatorskich programów informacyjnych w TVP („Teleexpress”) i „Panoramy Dnia”, od 1 marca br. szef telewizyjnej „dwójki” — zamierza nadać uatrakcyjnił program „na gorąco” m.in. „Żywe studio” (przekazywanie informacji z kraju i ze świata). Przygotowuje też cykl widowisk „Telewizja dla wszystkich”, czyli „Hyde Park po polsku”.

W LOS ANGELES odbyła się uroczystość wręczenia dorocznego, prestiżowego nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki Filmowej. Ogromny sukces odniósł słynny film włoskiego reżysera Bernarda Bertolucciego „Ostatni cesarz”, zdobywając aż 9 Oscarów!

W MUZEUM W TOMASZOWIE MAZOWIECKIM, 20 bm., otwarta zostanie wystawa obrazująca dorobek wydawnictwa „Arkady” w okresie trzydziestolecia (1937-1987).

Opracował: JAK

Fraszki

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

ABC teatru

AKTOR — kiedy żywy, mistrz żywego słowa; najwęższa aktorka, to dyktorka.

BUDKA — w środku sufier, relikw „belle epoque”... I dziś, jak pamięć krótka, w grę wchodzi wykopki.

CNOTA — żon cesarów i gwiazda na scenie były, są i będą ponad podejrzenie.

DYREKTOR — teatru, gdy sam jest aktorem nie lubi, by zespół siedział z jego wzorem!

EPILOG — dramatu, co z autopsji znam go, dopisało życie, zanim zdążył autor.

FIGA — słodki owoc z miąższem i łyżką... W teatrze kojarzy się wszystkim z podwyżką.

ski” — 800 zł; Waldemar Lysak „Lysak na łamach” — 1500 zł (cena nominalna 800 zł); W. Bruce Lincoln „Mikolaj I” („Biografie sławnych ludzi”) — 2800 zł (cena nominalna 1400 zł); „Oddziały Powstania Warszawskiego” — 800 zł (cena nominalna 600 zł); James Dickey „Wzbawienie” — 1000 zł (cena nominalna 480 zł); Ivan Clouas „Wawrzyniec wspomniany” („Biografie sławnych ludzi”) — 1800 zł (cena nominalna 1000 zł); Diderot „Zakonnica” — 1000 zł; Henryk Panas „Jak mi było u Andersa?” 700 zł (cena nominalna 250 zł); Eugeniusz Sue „Tajemnice Paryża” — 800 zł; „Kuchnia i zdrowie” — 7000 zł; „Barwny świat ryb akwarialnych” — 6000 zł; Paul Scott „Dzień skorpionów”, „Wieża milczenia”, „Klejnok korony” — 4500 zł; Edward Kopczyński „Zakochany” — 300 zł; Maciej E. Halbański „Leksykon sztuki kulinarnej” — 700 zł; Jules Verne „Michał Stroganow” — 700 zł; Ryszard Mirowski „Edward Rydz-Smigły” — 900 zł (cena nominalna 700 zł); Kazimierz Górski „Pół wieku z piłką” — 700 zł.

— Tak — zgodził się Wsiewołod, Siergiejewicz — zachowywał się jak człowiek niewychowany. Właśnie dlatego próbuję to wyjaśnić.

— Co tu jest do wyjaśnienia — uśmiechnął się Sasza — chm, i tyle. Mówicie, jakby nasze warunki zmuszały kobiety do amoralnego zachowania. Ale, pan daruje, jakie okoliczności zmuszają Masłowa, żeby był chamelem? Niech pan nie zwala wszystkiego na władzę radziecką, nie ma z tym żadnego związku. Masłowa wykorzystuje słabość swojej żony, jest słabsza od niego, tak jak słaby jest każdy delikatny człowiek wobec chłama i ordynusa.

— Dziwię się panu, Sasza — powiedział Wsiewołod Siergiejewicz — zachował pan pojęcie nietypowe dla pańskiego pokolenia. Czy to aby nie dlatego trafił pan tutaj? Zawsze pan był taki, czy stał się pan taki tutaj?

— Nie ma we mnie nic takiego, co różniłoby mnie od moich towarzyszy — sprzeciwił się Sasza — pan po prostu nas nie zna. Lenin także nie odrzucał prawd uniwersalnych, on sam na nich wyrósł. Jego słowa o szczególnej klasowej moralności wywołane były potrzebą chwili, rewolucja to jest wojna, a wojna jest okrutna. Ale w swej istocie nasze prawa są pełne człowieczeństwa i humanizmu. To, co dla Lenina było tymczasowe, wywołane twardą koniecznością, Stalin uczynił czymś stałym, wiecznym, podniósł do roli dogmatu.

— O Stalinie pan nie mówił, a ja nie słyszałem — znów zaśmiał się Wsiewołod Siergiejewicz — zaś co się tyczy Masłowa, boję się, że pan zbyt upraszcza. Życie jest bardziej skomplikowane i nie mieści się w żadnych schematach, zwłaszcza życie takich ludzi, jak Masłowa. Przy całej pańskiej szlachetności ma pan jeden słaby punkt: z odłamków swojej wiary usiłuje pan sklecić inne naczynie. Ale to nie wyjdzie: odłamki połączają się tylko w swój poprzedni kształt. Albo powróci pan do swojej wiary, albo wyrzeknie się jej pan na zawsze.

Pozegnali się przed domem Wsiewołoda Siergiejewicza.

Sasza zobaczył światło w oknie, Zida czekała na niego. Zszedł do rzeki, stąd zazwyczaj kierował się do jej domu. Ale nie chciało mu się iść. Miłość przynosi radość, upiększa życie... Ale jeśli nie ma życia, żadna miłość go nie upiększy.

Dobrze, posiedzi na brzegu, potem może pójdzie. Często śladywał teraz na brzegu w łódce, patrząc na wodę, na przelotną przez rzekę srebrną księżycową ścieżkę.

To, co mu proponuje Zida, to nie jest wyście. Kontentuje się małym, to jej zaleta, ale dlaczego żyje w tej głuszy? Kim jest? Utknęła w odległej dziurze, ukrywa się przed kimś czy przed czymś i chce, żeby on też, jak karaluch, wszedł do dziury. Nie zamierza żyć jak karaluch. Karalucha z niego nie zrobią.

Usłyszał kroki. Czyżby Zida?

Księżyc z rzadka prześwietlał przez nisko wiszące chmury. Sasza ledwie rozróżniał postacie idących brzegiem ludzi i dopiero, kiedy przeszli zupełnie blisko, poznał Masłowa i Olę Stepanownę. Nie widzieli Sasy i przystanęli za rozwieszonymi na kółkach ściegami.

— Olga, błagam, wysłuchaj mnie...

Sasza nie wiedział, jak się zachować. Nie wstał od razu, myślał, że Masłowie pójdą dalej, ale zatrzymali się niedaleko i już nie zwrócić było zdradzać, że słyszy ich rozmowę.

— Zrozum mnie, błagam — ciągnął Michał Michajłowicz — nie mogę postąpić inaczej. Zostaw mnie, wymaż z życia, wyrzeknij się dla dobra dzieci, dla swojego dobra. Wyjdź za mąż, zmień nazwisko, swoje, dzieci, uwolnij się od mojego nazwiska. Po co macie ginąć razem ze mną. Nie śpię po nocach, myślę o tobie, o dzieciach, wyrzucasz cię z pracy, zesła. Wybaw mnie od tych mąk! Niewiele mi zostało, ale chcę spokojnie umrzeć, muszę wiedzieć, że ty i dzieci jesteście bezpieczni.

— Boże, Boże, jak ty możesz to mówić?

— Ja mogę wszystko mówić — ja jestem poza życiem. Po co przyjechałaś? Jak to tam wytłumaczysz? Dam ci piśmenną zgodę na rozwód, powiesz, że tylko po to przyjechałaś. Do rozwodu ze skazanym nie jest potrzebna, ale nie wiedziałas, myślałaś, że jest potrzebna i pojechałaś.

— To nie ja mogę ciebie, tylko ty mnie — powiedziała Olga Stepanowna — chodźmy, zimno mi.

Wreszcie przyszły listy z domu. I jak słusznie przepowiedział Wsiewołod Siergiejewicz, od razu paczka — osiem sztuk, mama pisała codziennie, i wszystkie do Boguczan. Sasza ułożył listy według dat stempla pocztowego na kopercie i w takiej kolejności przeczytał.

O sobie mama prawie nie pisała: „U mnie wszystko w porządku, pracuję, w pracy też wszystko w porządku”. — o ojcu nie pisała nic, znaczy, że matkę zupełnie porzucił, nie o Marku, na pewno nie przyjeżdżał do Moskwy, nie pisała o Ninie i innych przyjaciółkach Sasy, znaczy, że nie przychodzi, wspominała o siostrach, u nich też wszystko w porządku. Najważniejszą część listów stanowiła jej pytaniami: „Jak się czujesz, jak się urządziłeś, jak się odżywasz, czego ci trzeba, pisz koniecznie, nie krepuj się, wszystko dla ciebie dostaniemy, wszystko ci przysyłamy”. I jasne było, że mama żyje tylko myślami o nim, swoją tęsknotą i cierpieniem. Ale mama wytrwała, nie załamała się, dla niego żyje, i on ma obowiązek żyć dla niej, dopóki on żyje, żyje ona. I mama nie jest samotna, w każdym liście wspomina o Warii. „Chodźmy do ciebie razem z Warią” — oznaczało to, że razem szukali go po więzieniach. „Kiedy staliśmy z Warią w kolejkach” — Sasza rozumiał, w jakich kolejkach stali.

Opuścili go wszyscy koledzy. I tylko Waria, mała Waria nie porzuciła jego matki. Sasza wspominał jej delikatną przeziroczystą twarz, malajskie oczy, włosy, starannie zaczesaną grzywkę spadającą na strome czoło, spojrzenie, jakim pięknie pietnastołnie dziewczynki pęszą chłopców, gołe kolana, na których w szkole pisała ściągawki, mała kobietka, pełna wdzięku i gracji... Wspominał, jak stała w bramie z takimi jak ona podłokami, w ciemnym palcie z niedbale podniesionym kołnierzem. Przypominał sobie, jak się cieszyła, że siedzi w „Piwnicach arbackich”, wspominał, jak z nią tańczył... „Gdziekolwiek bym błądził owośno kwitnącej, sen cudny wciąż widzę, twe oczy błyszczące...” I to, jak się do niego przytulała, stosując swe niewymyślne sposoby kokietowania...

Jedna Waria nie opuściła jego matki, była przy niej w najcięższych chwilach. Właśnie taki człowiek, pewny i nieustraszony, potrzebny

jest mamie. Kto zesał jej takie oparcie? Przecież Sasza czuła, że to jest dziecinna dziewczyna. A on prawił jej morały, patrzył na nią oczyma Niny. Jakże ograniczone było wówczas jego spojrzenie na świat!

W jego klatce schodowej mieszkała stara Trawkina z młodszą córką. Starsza była na Wyspach Solowieckich — jakaś eserka czy mieśszewiczka. Nikt się z nimi nie znał. Stara Trawkina w milczeniu przecinała podwórce, chuda, prosta, w czarnym palcie i czarnym nie-modnym kapeluszu. I jej młodsza córka także w milczeniu przechodziła przez podwórze. W jej żywych oczach było coś żałośnie wyczekującego, ale w odpowiedzi spotykał wzrok obojętny lub nieżyczliwy.

Sasza też patrzył na nią nieprzyjaźnie — rodzina wrogów.

Pod gradem takich spojrzeń przechodził teraz przez podwórze jego mama, matka wroga. Ale nie jest sama, jest z nią Waria, dzieli z nią niedole, pomaga znosić cierpienia.

Począta przychodziła co tydzień. Sasza przynosił do domu listy, czasem paczkę, obśzyta białym płótnem, opieczetowaną brązowymi lakowymi placuszkami, przynosił przesyłki, ciasto, opakowane papierem pakowym z żółtymi pasmami zaschniętego kleju. Na banderolach wyraźnym, technicznym piśmem, pisała oczywiście Waria, było wykalfigrafowane: „Okreś kański, rejon kieziński, wieś Mozgowaja”. Tak sam był adres na listach: Sasza poprawiał matkę: „Nie Mozgowaja, tylko Mozgowa” — ale dalej pisała tak, jak uważała, że jest poprawnie.

Przedłużając przyjemność, Sasza przeglądał listy, przerzucał gazety — wyczytywał to co

Przyszedł list od ojca. „Wybacz, że długo nie pisałem, nie mogłem doprosić się o twój adres” — zwykła aluzja, że z mamą nie można dojść do ładu — nawet dokładnego adresu syna nie mogła mu podać. Nie dopuszczał myśli, że mama nie wie, gdzie jest Sasza, przyjmował to jako próbę odcięcia go od syna — jeden z niezliczonych wyrzutów, które Sasza słyszał, odkład tylko sam siebie pamiętał.

Ojciec pisał, że rozumie ogrom nieszczęścia, spadłego na Saszę, ale Sasza jest młody, wszystko przed nim, wszystko się urządzi, nie należy się załamywać. Jakkolwiek ułożyłyby się stosunki w ich rodzinie, a są takie a nie inne nie z jego winy, jest dla niego nie tylko ojcem, ale prawdziwym i wiernym przyjacielem, Sasza powinien to wiedzieć.

Sasza odłożył list. Opanowało go uczucie przykrości, którego doświadczał zawsze, stykając się z ojcem. Życiem Sasy nie interesował się wcale, interesowało go tylko jego własne życie. I jeśli przeżywa nieszczęście, które spadło na Saszę, to tylko dlatego, że wniosło niewygody do jego życia, naruszyło zwykły porządek, a porządek stanowił istotę i filozofię jego życia.

W dzieciństwie przychodził do pokoju Sasy, zapalał światło, budził Saszę, przewracał go na prawy bok — spanie na lewym boku jest niezdrowe, trzeba od dzieciństwa nauczyć się spać prawidłowo. Przekładał książki i zeszyty na biurko Sasy, układał je równo w kanciak, wszystko powinno być na swoim miejscu. I wszystko należy szykować wieczorem, rano człowiek śpieszy się do pracy, i do wszystkiego tego należy przyuczać się od dzieciństwa. Sasza

konflikty — wszyscy byli nierobami, obibokami, hultajami! Nic, oprócz pracy, wynalazków i projektów racjonalizatorskich nie interesowało go i o niczym innym nie mówił. Sasy było go żal, próbował nawiązać z nim kontakt i nie mógł — współzycie z ojcem było nie do zniesienia. Opowiadał o kłopotach w pracy, żądał, żeby Sasza podzielał jego nawiązanie do jego wrogów. Sasy puchła głowa od niezliczonych, nieznanym mu imion i nazwisk, pytał „kto to jest?”, ojciec się złościł: „Przecież opowiadałem ci o nim jeszcze w zeszłym roku, ale sprawy ojca ciebie nie interesują!”

Dawał Sasy do korekty stylistycznej swoje artykuły, chociaż Sasza nie znał terminologii technicznej przemysłu spożywczego. Zamiast wyjaśnić, ojciec zrzędził: „Czy to tak trudno zapamiętać takie elementarne rzeczy”. Sasza wyznawał się od czytania jego prac, co wyznawało między nimi poczucie coraz większej obcości.

Każdy lokator mieszkania miał własną manierę wchodzenia do domu: Gala trząsała drzwiami, pędziła po korytarzu, Michał Jurjewicz wchodził spokojnie, delikatnie, prawie niesłychalnie. A ojciec z rozdrażnieniem kręcił kluczem w zamku, obowiązkowo coś wzbudzało jego niezadowolenie; nieszczęśliwie są zamknięte drugie drzwi i ciepło z mieszkania uchodzi na schody, wycieraczka leży nie tam, gdzie powinna. Czyżby wycieraczka komus przeszkadzała! Co za ludzie!

Wchodził do pokoju ponury, nie witał się — przecież rano, chwalił Boga, już się widzieli, ponuro się rozglądał, szukał nieporządku, ale nie znajdował, na jego powrót matka starannie sprzątała. W milczeniu się rozbierał, wieszał palto w szafie, na wieszaku, zdejmował marynarkę, zakładał bonzurkę, szedł myć ręce, z łazienki dobiegało jego niezadowolone burczenie i w końcu siadał za stołem, nachmurzonym spojrzeniem śledził każdy ruch matki, z odrazą oglądał talerz, widelec, łyżkę, noż, starannie przecierał je serwetką, potem w milczeniu i skupieniu jadł, jedyny moment, kiedy nie prawił morałów — nie nie powinno oderwać od przyjmowania pokarmu. Jeśli zjadał swoją porcję wcześniej niż mama, ponuro pytał: „Będzie drugie? Ach, będzie, dziękuję!”. W ten sposób rozmawiał.

A jednak to ojciec. Dobry czy zły, ale ojciec jest częścią twojego życia, kawałkiem twojego dzieciństwa, tego wszystkiego, co Sasza wspominał teraz z tęsknotą i wzruszeniem. Nie uważał ojca za okrutnika, okrutny był jego egoizm. Tylko własne zdrowie, własne sprawy, własne wygodę. Za to jest ukarany samotnością, ale nie rozumie jej właściwych przyczyn, przypisuje to ludzkiej złości. I od tego robi się jeszcze bardziej samotny. Sasy było go żal, zwłaszcza teraz, kiedy sam się przekonał, czym jest samotność.

Kończył się sierpień, zbliżała się krótka jesień, tajga zaczęła żółknąć. W dzień było ciepło, bezwietrznie, w nocy zimno, nawet mroźno, nie, ziemia wysychała, twardniała, miejscami, ku zdziwieniu Sasy, stawała się nie wiedzieć czemu czerwona, cienka warstewka lodu ciągnęła się wzdłuż brzegów płytkiej Mozgowej, chrzęściła pod nogami w koleinach i na wybojach drogi. Wieczorem po angarskim brzegu biegali zające, z tajgi dobiegał ryk, jak dźwięk trąb — u losi zaczęło się bekwisko. A tydzień później tajga zrzuciła liście i szpilki, stała naga i martwa. Wrzeszczały gęsi na jeziorach, ogromne stada, wyciągnięte w trójkąt, odlatywały na południe. Słońce pojawiało się na krótko, wieczory stawały się krótkie, jak w zimie.

Potem po Angarze popłynął śryż, począta się urwała, teraz już do zimy, do samy. Urwała się jedyna łączność z domem, z mamą, z Warią, jeszcze ani razu do niego nie napisała, ale Sasza w każdym liście czuł jej obecność. Bez listów bez gazet, bez sympatycznego pisma Wari na banderolach stało się jeszcze tęskniej. Zida wypożyczała mu książki w bibliotece w Kieźmie, stare, czytane, ale czasem trażały się nowości: „Poemat pedagogiczny” Makarenki, „Człowiek zmienia skórę” Brunona Jasińskiego, „Energia” Gładkova. Zida przywoziła książki na wozie, który trafił się akurat po drodze, częściej przynosiła. Sasza gniewał się: po co dźwiga? Śmiała się: ktoś pomógł, a zresztą — wcale nie ciężko: — dwie — trzy książki.

Wstępował po nie w dzień nie dlatego, że przestał zachowywać ostrożność. Ich związek jak dawniej był sekretny, jawna stała się tylko ich znajomość. Zachowywał się też, jak znajomy: zaglądał za dnia, nierzaz z Wsiewołodem Siergiejewiczem, posiedzieli wieczorem. Ale kiedy zostawał na noc, to jak dawniej wychodził przed świtem, szedł okólną drogą, wracał do domu z drugiego końca wsi.

Zida wyczuwała jego wyobcowanie, jego chłód, powiedziała kiedyś:

— Nie myśl, że chcę cię ożenić ze sobą. Na pewno masz kogoś w Moskwie, a ja tak, z tęsknotą, z nudy. Ale i tak cięsz się ze swojego szczęścia.

Pogłaskał ją pieszczotliwie po policzku, ale nie zaprzeczył: tak jest w istocie, dobrze, że to rozumie. I co do tego, że ma kogoś w Moskwie, ma rację, także, w Moskwie ma Warie, ta dziewczyna nie wychodziła mu z serca.

Sasza nie wyobrażał sobie, jak dożyje bez poczty do zimy. A przecież inni żyją, czy to lato, czy to zima, przyzwyczaili się do swojej sytuacji, dlaczego on nie może się przyzwyczaić? Przecież jednakowy los im przypała, dlaczego on nie może, nie chce dźwigać swojej doli, jak robią inni? Dlaczego nie może tego znieść jak oni znoś?

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

ANATOLIJ RYBAKOW

(44)

Dzieci Arbatu



naiekawsz, odkładał, otwierał paczkę: wypieki, cukierki, kakao, owoce suszone albo konserwowe, wszystko to kosztuje pieniądze. Sasza zabierał matce przysłać żywność, ale i tak przysyłała.

Kiedy wszystko było przejrzane i Sasza już miał pojęcie, jaka go czeka przyjemność, zaczynała się sama przyjemność, święto, na które czekał tydzień. Od nowa, teraz już powoli i dokładnie czytał listy. Mama pisała codziennie, zaznaczając ciąg dalszy, daty i numerację listy — nie wszystkie dochodziły. W każdym liście były pozdrowienia, od Wari, tylko pozdrowienia, sama do niego nie pisała. Dlaczego? On też przekazywał jej pozdrowienia, a kiedyś w liście do mamy napisał postscriptum: „Miła Wariu, dziękuję ci za wszystko” — może po tym napisał.

Przeczytawszy listy, Sasza zabierał się do gazet, rozciągał te przyjemność na dwa dni, a jeśli były też czasopisma, to nawet na cały tydzień. Gazety były czytane, nie pachniały świeżą farbą drukarską, jak pachniały w Moskwie wczesnym rankiem w kiosku na rogu Arbatu i zaulka Płotników. Czasem brakowało któregoś numeru gazety, Sasza tłamsił w sobie uczucie przykrości, na mamę nie można się gniewać, robi dla niego wszystko, uczucie przykrości bierze się w nim z niecierpliwości, w której się wychował. Mamy rozstrągnięcie przypomniało dom, dzieciństwo — to jest ważniejsze od brakującego numeru gazety.

Na Arbatcie wstrzymano ruch tramwajów, ulicę wyasfaltowano, Sasza z trudem wyobrażał sobie Arbat bez tramwajów. Na placu Arbacie wzniesiono stację metro, chciałoby się ją zobaczyć na własne oczy... Mijał drugi rok pięciolatki, schodziły z taśmy samochody i traktozy, wielkie piece hutnicze wytypały surówkę, marteny — stał, ludzie dawali przykłady entuzjazmu pracy, a obok — niezliczone procesy sądowe, zwiększenie środków represji, ustanowiono karę za ucieczkę za granicę — rozstrzelanie, a dla rodziny tego, kto uciekł — dziesięć lat odosobnienia, odpowiadali za przestępstwo, którego nie popełnili. Wszystko to dla umocnienia władzy jednego człowieka. I ten człowiek jest symbolem nowego życia, symbolem wszystkiego, w co naród wierzy, o co walczy, w imię czego cierpi. Czy to znaczy, że wszystko, co się robi z jego imieniem, jest sprawiedliwe?

chciał spać, żeby nie przeciągać ojcowskiego pobytu w pokoju, nie sprzeciwiał się, zresztą sprzeciw byłby bezcelowy, ojciec niedosłyszał, prosił o powtórzenie, denerwował się, uważał, że Sasza specjalnie mówi cicho.

Porządek, porządek, porządek! Sam go przestrzegał i żądał tego od innych: w domu, na ulicy, w pracy, niezadowolony, zdenerwowany i agresywny pedant. „Walka ze stratami w produkcji” — był to główny temat jego działalności racjonalizatorskiej i wynalazczej. Gwarancją efektywnej produkcji (był technologicznym przetwórstwa żywności) — jest czystość. Czystość jest także gwarancją zdrowia fizycznego, zdrowia moralnego, gwarancją uczciwości i długowieczności. Niechuj nie może być uczciwym człowiekiem! Porządek, czystość, higiena! Owoc, jak również warzywa, należy myć w kilku wodach, następnie oierać ze skórki, chociaż zawiera wartościowe składniki odżywcze. Jabłko oierać ze skórki powoli, cienutko, jadł także powoli, w skupieniu, starannie gryzł jedzenie, zjadał wszystko co do okruszynki i matego Sasy zmuszał do zjadania wszystkiego co do okruszynki. Nic nie powinno się marnować, nie nie powinno zostać na talerzu!

Ubranie i obuwanie nosił przez dziesięciolecia. Co wieczór wystawiał buty na parapet, żeby się przewietrzyły, a przedtem czyścił je w korytarzu, korytarz był wąski, ojciec ze swoimi butami, szczotkami, pudełkami z pastą, z gazetą rozłożoną na podłodze przeszkadzał wszystkim, rozumiał to i zawczasu szykował się, żeby dać odpór. Nikt go nie zaczepiał, nie chciano z nim konfliktów. Za to on nie przeoczył żadnego nieporządku. Głośno, na cały dom awanturował się, że nie zgazono światła w ubikacji, albo nie dokręcono kranu w łazience, wszyscy cichli w swoich pokojach, w końcu ktoś tracił cierpliwość, wyskakiwał na korytarz, żądał wskazania, kogo konkretnie ma na myśli, zaczynała się kłótnia z wzajemnymi atakami i oskarżeniami.

Ten wojujący pedantyzm, niedorzeczny i nie do zniesienia, na co dzień był odwrotną stroną medalu jego szacunku do pracy. Był dobrym pracownikiem, wysoko wykwalifikowanym specjalistą, kochał swą pracę, był zadziwiająco pracowity, ale z kierownictwem nie mógł dojść do porozumienia, ze współpracownikami miał

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

W TROSCE O CZYSTOŚĆ MOWY POLSKIEJ

Troje naszych Czytelników: E. NOWAKOWA, W. WASILEWSKA i JAN WITCZAK — wszyscy z Łodzi — przysłało mi listy, w których wytknęły różne błędy językowe popełnione przez autorów publikujących w „Odgłosach”. Nie będę podawał przykładów, gdyż nie o to chodzi.

Chciałbym przede wszystkim podziękować za zwrócenie nam uwagi, gdyż słusznie uważa W. Wasilewska, że „odkąd bowiem pisaliśmy 50 złotych za tygodnik społeczno-kulturalny, to mamy prawo oczekiwać nie tylko coraz ciekawszych artykułów (takie już zaczynają się pojawiać), ale przede wszystkim żądać, by z publikowanych tekstów emanowała kultura języka”. Troska o tę kulturę jest naszym obowiązkiem.

Nie zamierzamy wszakże poprzestać tylko na tym zapewnieniu. W najbliższym czasie specjaliści oceniają język używany w „Odgłosach” i przeprowadzą na ten temat dyskusję z zespołem. Dołożymy wszelkich starań, aby nasza polszczyzna była poprawna.

Jeszcze raz dziękuję!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KRYTYCY I IMPOTENCI.

Podzielał pogląd dyrektora WFO, że „brudną bieliznę należy prać na własnym podwórku”, ale gdy nie prana zaczyna cuchnąć — trzeba skorzystać z publicznej pralni. Na skutek milczenia kierownictwa WFO, doszedłem do wniosku, że warto podjąć i kontynuować śmiało i użyteczne społecznie, rozważania reżysera cieszącego się sympatią i uznaniem. Chodzi mi o artykuł Ryszarda Nakoniecznego „Cwaniacy i maniacy”, który ukazał się w 12 numerze „Odgłosów” z 19.03.1988 r.

Podział reżyserów i operatorów obrazu na „cwaniaków i maniaków”, stanowiących 1/6 załogi, oraz ich krytyczny punkt widzenia, są tylko częścią problemów, z jakimi boryka się WFO.

Tarapaty, w jakich znalazła się wytwórnia, nie należy szukać tylko w przepisach, ale i w impotencji jej kierownictwa administracyjnego i programowego. Wbrew deklaracjom uwagi krytyczne na ten temat przyjmowane są nie w kategoriach ich merytorycznej słuszności, a tylko — co się podoba lub nie.

Wytwórnia wymaga już od wielu lat reform i reorganizacji. Nie może być nadal: schroniskiem dla nieudaczników, odeskacją na upatrzone wyższe stanowiska ani źródłem osiągnięcia niezaspokojonych osobistych korzyści na granicy uprawnień i naruszania prawa.

Oczekiwanie na wytyczne z Komitetu Kinematografii jest oznaką nieudolności. Nie zamaskują jej złudne spotkania w Uniejowie lub rozsyłanie życzenia — „długiego zdrowia i zżywania zasłużonego odpoczynku na emeryturze”. Ja np. chętniej bym przeczytał projekt pt. „Naprawa i rozwój WFO w świetle zmian zachodzących w kraju i kinematografii”. Moim zdaniem, takie opracowanie należy do podstawowych obowiązków dyrektora. Tylko w ten sposób można zdobyć zaufanie i poparcie załogi oraz uruchomić jej współdziałanie.

Użyłem metaforycznego tytułu „Krytycy i impotenci” między innymi dlatego, że byłem obecny na wspomnianym przez Ryszarda Nakoniecznego zebraniu pracowników twórczych. Wyszedłem z niego, bo nie mogłem się pogodzić z partykularyzmem i bezkrytycznym egocentryzmem wiodących zebranie. Nie można tak lekceważyć załogi WFO, będącej fundamentem i konstrukcją nośną produkcji filmowej, gdyż rodzi to zadrzańczenia i konflikty wewnętrzne.

Nikt nie kwestionuje wiodącej roli reżysera w twórczym procesie realizacji filmu. Należy jednak pamiętać, że powstaje on w oparciu o wysoką technikę specjalistyczną. Reżyser, który tego nie docenia, przypomina strażaka kierującego z bohaterką miną prądownicą w kierunku ognia, gdy nie ma przy nim ludzi dbających o to, aby płynęła z niej woda.

„Cwaniacy” często wygłaszają, nawet publicznie, demagogiczne frazesy — „ja muszę pracować na tych...”. Wielkie nieporozumienie. Pracownicy twórczy z których część jest zawsze w przestoju — są na utrzymaniu lekceważonej załogi. Warto zauważyć, że zamiast utrzymywać 67 reżyserów i operatorów obrazu (należy dodać pominiętych operatorów dźwięku i tricków, montażyistów obrazu i dźwięku, plastyków — razem mamy prawie 100 osób pobierających tzw. gotowość), bardziej opłaca się angażować ich w miarę potrzeb z zewnątrz. Tak jak jest na Zachodzie.

Założde zasugerowano nieuzasadniony strach przed powianiem WFO z Telewizją. Dlatego przezeranie i z dużą dozą ostrożności należy podchodzić do sugestii wiązania się z kapitałem zagranicznym. Ustawa daje obcym producentom możliwość taniego produkowania, a nas stawia w pozycji — kolonialnego „muzuzyka”. Przykłady polsko-amerykańskiej spółki „Hanna — Barbara” z wytwórnią w Bielsku-Białej oraz „filmservice” z LZWF, powinny stanowić przestrożę przed pochopnymi decyzjami. Nie taki powinien być kierunek głównego działania.

Impotencja kierownictwa administracyjnego i programowego WFO tkwi w tym, że nie potrafiło do tej pory opracować konstruktywnych rozwiązań — adekwatnych do naszych potrzeb. Zbyt dużo przysłowiowej pary uchodził przez gwizdek i nie starcza jej na poruszanie тіюков. Na gwizd już nikt nie reaguje.

Nie pomoże kultywowanie mitów. Wartość społeczną „nagrody festiwalowej” można trafnie skwitować powiedzeniem — „kolego chwala nas. Kto kogo? Wy mnie a ja was”. Jak słusznie twierdzi Zygmunt Kalużyński — „Festiwale są potrzebne już tylko tym, którzy je organizują, oraz tym, którzy na nie przyjeżdżają. Dawno nie służą promocji...”. W pogoni za nagrodami na festiwalach zagubiono posiadanie wcześniej, własnego, masowego widza. A kto się chwali sukcesami dnia wczorajszego, nie będzie miał czym się chwalić jutro.

Jako kierownik wydziału podpisywałem „metryki filmów” i wyciągałem wnioski z zawartych w nich informacjach. Dotyczyły one między innymi współuczestniczenia niektórych decydentów wytwórni w realizacji filmów (scenariusz, komentarz, asystentura itp.). Istnienie „układow” było faktem nie do obalenia. One decydowały i nadal decydują o życiu: politycznym, społecznym i zawodowym WFO.

W związku z tym opowiadanie o odpowiedzialności i obiektywnej kontroli nad budową i realizacją planu tematycznego WFO, moim zdaniem, należy między bajki włożyć. Nie trzymając tego w tajemnicy. Odpowiedzialni za to decydenci udawali i nadal udają, że o tym nie wiedzą. A zbyt docieklivi poddaje się eliminacji przez inwektywy i zbiórowa, zorganizowana „obróbkę”.

Pracownicy widzą, na jakie filmy i jak wydaje się społeczne pieniądze. W przeszłości WFO można było porównać do rodziny pszczołowej. Ostatnio nie jest rodziną, a tylko ul — beznamiętny i rabowany. Najpierw jest walka między pszczołami broniącymi się i rabującymi. Ważną rolę w zaprowadzaniu porządku odgrywa zewnętrzna ingerencja hodowcy — pszczelarza. W przypadku WFO takiego pszczelarza zabrakło.

Ustawa o Kinematografii odchodzi od monopolu państwowego. Na rynku pojawi się poważna konkurencja. Bez przystosowania

się do nowej sytuacji przez zmianę struktury i sposobów działania, WFO nie wytrzyma konkurencji. Będzie musiała ulec daleko idącym przekształceniom, które dla wielu pracowników będą bardzo przykre.

Skłóconej przez intrygi „cwaniaków”, niedoinformowanej i zniechęconej załozde — są pilnie potrzebne decyzje podtrzymujące na duchu oraz mobilizujące do działania. Do tej pory takich decyzji dotyczących WFO nie ma, choć gilotyna bankowa zaczęła już działać.

„Cwaniakom” jest dobrze w obecnym, szkodliwym społecznie, stanie degradacji. Ich demagogiczne zabiegi, aby trwał on nadal, zagnają poparcie, niestety, nie tylko u naiwnych i „urodzonych w niedziele”.

Tylko nielicznym optymizmem może napawać — „parking przed WFO, na którym stoją nieźle marki samochodów”. Jest to nazbyt odległa iluzja, jaką roztacza reż. Ryszard Nakonieczny. Na razie dla ponad 400 pracowników WFO (wliczam „maniaków”) podstawowym problemem jest — jak przebrnąć przez trudne lata, jakie przeżyjemy w kraju. O tym, w imię godności i solidarności zawodowej, należy — moim zdaniem — zawsze pamiętać.

ZDZISŁAW BRZOWSKI

„POD CELĄ” — TROCHĘ PRAWDY

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł Jacka Maciaszka pt. „Księga Rucienia”. Tematyka poruszana w nim jest ważna i istotna, wątpliwe jednak czy dostrzegalna społecznie. Takich Rucieni siedzi tysiące. Nie tylko dokonane przez nich czynów przestępstwa zagnęły ich w przysłowiową pętelkę, lecz również ustanowione prawa oraz interpretacja podczas wyrokowania, przez niektórych sędziów.

Jakie szanse dalszego życia w społeczeństwie ma człowiek (pamiętajmy — człowiek), który otrzyma wyrok stanowiący trochę mniej niż połowę średniej — tylko rok więzienia oraz 500 tys. grzywny, mający na utrzymaniu troje dzieci często również żonę. A wyroki są znacznie wyższe, grzywny również. Nie ma szans najmniejszych. Rodzina w wielu wypadkach ulega rozpadowi i degeneracji. Dzieci stają się znakomitym materiałem na przestępców.

Grzywnę można „odsiedzieć” za przelicznik stosuje się od 300 zł do 1500 za dzień „odsiedzi”. Nie wiem od czego zależy przelicznik i jakie kryterium stosuje sędzia przy określaniu wartości materialnej jednego dnia. Tego nie wie nikt.

Nieprawdą jest, że z zarobionych pieniędzy w zakładzie karnym można grzywnę spłacić. Wynagrodzenie jest znacznie obniżone i z tych nędznych resztek, które pozostają, spłacenie grzywny jest niemożliwe.

Przekleństwem krajowych zakładów karnych jest niemożliwość oddzielenia karanych po raz pierwszy od „elity” więziennej — recydywy i wtórnie karanych. Tu następuje zeknicie „pierwszaków” z profesorami. Złodziejami różnej maści, karany — nie po kilka razy, z reguły „grypsującymi”. Wszystko co „pod celą” to normalna. Wesołość, pełny luz, całkowita aproba. W ten właśnie sposób rośnie całe pokolenie szkolonych „fachowców”. Oni zaczynają, wchodzi w życie już na całego.

Autor „Księgi Rucienia” wprowadza w błąd — wątkiem z historii podkultury więziennej zwanej „grypsowaniem”. „Grypsowanie” w zakładach karnych w Polsce datuje się od przełomu lat 60. Porównywanie „grypsowania” do Katynia oraz honoru przedwojennej kadry oficerskiej jest delikatnie mówiąc — nie na miejscu. „Grypsują” ci, którzy liczą się z powtórным aresztowaniem i tym samym z pomocą w postaci papierosów, czasem żywności.

JERZY D.

JAK PASAŻEROWIE OCENIAJĄ TYCH, KTÓRZY ICH WOŻĄ.

Jestem z miasta położonego w województwie sieradzkim — Zdunskiej Woli. 10 lutego 1988 r., będąc w Pabianicach, postanowiłem udać się do Łodzi, korzystając z usług MPK, tramwajem linii „41”. Na przystanku obok SDH wyczytałem, że przejazd w strefie miejskiej wynosi 9 zł, ulgowy 4,50, poza strefą miejską odpowiednio 18 i 9 zł. Jako uczeń posiadam prawo do ulgi 50 proc. Wychodząc za założenia, że Łódź leży poza strefą miejską Pabianic zaopatrzyłem się w bilet A 9 zł. Zgodnie z nadrukiem na odwrocie biletu skasowałem go zaraz po wejściu do pojazdu oraz zachowałem do kontroli. Kontrola była i to dwukrotna. Pierwsza na terenie Pabianic objęta wszystkich pasażerów, druga na Małym Skiercu i to selektywna. Traf pałi na mnie i na pewną starszą panią. Oboje, jak się okazało, mieliśmy żonowaną opłatę. Zupełnie nieświadomie zresztą. Według kontrolera wynosiła ona miała 27 zł, a ulgowa 13,50. Próby tłumaczenia się nie poskutkowały. Heroiczny pracownik MPK, właściciel znaczka z treścią „Kontroler MPK nr 8130” wypisał mi mandat nie przyjmując moich racji do wiadomości.

Grupa szczęśliwców, która nie została po raz wtóry skontrolowana skasowała bilety do ceny wymaganej urzędowo, a nut wpadła po raz trzeci. Wynika z tego jasno, że nie tylko ja byłem nie poinformowany o wymaganej opłacie. Aby wyjaśnić dlaczego MPK — Łódź w sposób tak fatalny informuje swoich klientów, udałem się do siedziby tego przedsiębiorstwa na ulicę Tramwajową 8. Na co dzień korzystam z usług PKM Sieradz, który w sposób szczegółowy informuje swoich pasażerów, iż przejazd autobusem pośpiesznym linii „A” wynosi w granicach miasta 18 zł, a na trasie Zdunsko Wola — Sieradz lub odwrotnie 60 zł. Bilety ulgowe 50 proc. tej ceny. Jaka taka informacja na każdym przystanku. Oprócz tego podane są też opłaty za przejazd autobusów zarówno w strefie miejskiej jak i podmiejskiej. Dlaczego w jednym kraju dwa bliźniacze przedsiębiorstwa mają różne metody informacji?

Z tym zapytaniem zwróciłem się do pana kierownika urzędującego w pokoju nr 3 przy ulicy Tramwajowej 8. W krótkich, obcesowych, liście żołnierskich słowach, otrzymałem wyjaśnienie, że przekroczyłem strefę miejską dwukrotnie i powinienem zapłacić dwukrotnie. Pojąłem swój błąd. Nie pomyślałem o tym, iż będąc rzeczywście przekraczałem strefę miejską dwukrotnie, bo nigdzie to nie było napisane w sposób jasny i klarowny. Dlaczego nie było to napisane w sposób zrozumiały dla wszystkich? Otóż pan kierownik odpowiedział, że ten sposób jest najlepszy i jedynie słuszny. Oprócz tego mój przypadek jest incydentalny i powinienem zapłacić za przejazd 18 zł, gdyż bilet na tej trasie kosztuje 36 zł. Pan kierownik przemawiał do mnie „swojego klienta stojąc przy drzwiach wyjściowych z jedną ręką w kieszeni, drugą pobrząkując kluczami. Tak trzymając panie kierowniku! Każdy, nie dający spokoju klient, tak potraktowany opuścił pana gabinet w pół minuty.

„CZY MOŻNA ŻYĆ BEZ USŁUG?”

W nawiązaniu do artykułu pt. „Czy można żyć bez usług” uprzejmie informujemy, że podane informacje dotyczące sposobu obsługi klientów w zakładach naszego przedsiębiorstwa bardzo nas poruszyły. Obowiązkiem wszystkich pracowników zatrudnionych w zakładach usługowych naszego przedsiębiorstwa jest dolożenie jak największej staranności przy obsłudze klientów w szczególności, gdy klient osobiście pofatygowal się za sprzętem do zakładu usługowego w celu jego naprawy lub uzyskania fachowej informacji.

Odmowa przyjęcia sprzętu do naprawy i jej wykonania, może nastąpić w wyjątkowych przypadkach jak np. stwierdzonej faktycznie brak konkretnej części lub nieposiadanie technicznych możliwości poprawnego wykonania usługi. Każda inna argumentacja podana przez pracowników zakładu usługowego jest nie do przyjęcia. Takie wymagania stawiamy wszystkim naszym pracownikom i każde ujawnione odstępstwo od tej zasady jest szczególnie analizowane.

W przypadkach podanych w omawianym artykule sprawy, z jakimi klienci się zgłosili były banalne i nie ma żadnego wytłumaczenia fakt niewywiązania się z podstawowych obowiązków nałożonych na zakłady usługowe. W związku z powyższym informujemy, że kierownikowi zakładu usługowego, który odmówił udzielenia pomocy przy udrożnieniu węża do odkurzacza potrącono część nagrody z zysku.

W odniesieniu do drugiej sprawy — nieprzyjęcia odbiornika radiowego typu „Adam” z uwagi na brak bliższych danych dotyczących lokalizacji zakładów jak i personalnej odpowiedzialności ustosunkować się nie możemy. Temat ten zostanie doładnie omówiony na najbliższej naradzie roboczej z kierownikami zakładów usługowych w kwietniu 1988 r.

Dla zmniejszenia ilości odmów usług z powodu braku części zamiennych przedsiębiorstwo „Domar” w Łodzi rozwinęło szeroko regenerację części zamiennych m.in. kineskopy czarno-białe i kolorowe, programatory, elektropompki, silniki i rdzenie do elektropomppek, zawory ciepłej i zimnej wody do pralek automatycznych. Kolejnymi podzespołami, jakie będą powiększać asortyment części zamiennych na rynku będą silniki do pralek automatycznych, moduły do telewizorów kolorowych, kineskopy kolorowy typu PIL. Są to przedsięwzięcia poważne, a wartość tych reglamentowanych części w skali roku wynosi dziesiątki milionów zł. Dotyczy to w szczególności sprzętu z importu.

Braki podzespołów do sprzętu produkcji krajowej występują nągminnie nie tylko do pralki wirnikowej typu „Frania”, jednak do usługodawcy należy w pierwszym rzędzie wykonanie usługi, a nie produkcja części zamiennych i wyreczanie producentów, na których nałożony jest ten obowiązek. Przesunięcie z usług mocy produkcyjnych na produkcję części może odbyć się tylko kosztem obsługi ludności w serwisie, gdyż aktualne braki kadrowe w zakładach usługowych naszego przedsiębiorstwa wynoszą 20 proc. aktualnego stanu szesćsetosobowej załogi.

Naszym zdaniem żadna firma nie jest w stanie przy obecnych warunkach zaopatrzeniowych zabezpieczyć naprawy czy regeneracji podzespołów we wszystkich asortymentach i to, że np. rzemieślnik wykonuje przewijanie silników, a uspołecznione przedsiębiorstwo „Domar” nie, nie może być przeciwstawiane tylko dlatego, że takiej części nie regeneruje.

Nasze przedsiębiorstwo wykonuje rocznie około 350 tysięcy napraw w tysiącach asortymentów i nie uważa się za monopolistę.

lnż. ZBIGNIEW WYSOCKI
(zastępca dyrektora)

TELEFON NR 36-77-70

W nawiązaniu do ww. notatki zamieszczonej w 12 numerze Waszego Tygodnika proszę uprzejmie, w imieniu całego personelu sklepu nr 352 z ul. Wojska Polskiego nr 18 o wyjaśnienie sprawy; Otóż powoduje się na skargę, na personel naszego sklepu, złożoną przez emerytke ob. J.B. nie podając ani daty domniemanego incydentu, ani też osoby (wygląd) z personelu, która to rzekomo nakrzyżdzała na klientkę i pobrała zawiżoną o 100 zł należność. Uprzejmie informuję, że żadna z nas pracujących w sklepie nie ma zwyczaju krzyżdzać na klientów. Staramy się też rzetelnie naliczać i pobierać należności za sprzedany towar, szczególnie ostatnio, gdy ceny zmieniają się tak często.

Jesteśmy niemile zdziwione, że tak szkalując nas notatką drukuje się do wiadomości ogółu bez choćby usiłowania sprawdzenia jej wiarygodności. Oczekujemy, że Gazeta Wasza po wyjaśnieniu tego przykrego dla nas pomówienia zamieści satysfakcjonujące nas sprostowanie. Łódź, dnia 1988.03.28

DANUTA PABIANCZYK
(kierownik)
EWA FRĄTCZAK
JANINA KRAJEWSKA

Do wiadomości:
Dyrekcja PSS „Społem”
Łódź-Bajuty
pl. Kościelny nr 6
— Dział Obrotu Mięsem
— Inspekcja Handlowa

OD REDAKCJI. Gratulujemy dobrego samopoczucia. A przy okazji wyjaśniamy, że w relacjach z reporterskiego dyżuru przekazujemy takie sygnały, jakie otrzymaliśmy od naszych Czytelników. Nie wszyscy godzą się na ujawnienie imienia i nazwiska, bo mają do tego prawo i my to prawo musimy uszanować. Przekazane nam telefonicznie bądź listownie sygnały relacjonujemy na zasadzie wzajemnego zaufania. Publikując listy — nie publikujemy anonimów, nie interesują one nas w ogóle — bądź relacjonując rozmowę telefoniczną z reporterskiego dyżuru czynimy to na odpowiedzialność naszych korespondentów bądź rozmówców. Nie mamy obowiązku sprawdzać tych informacji, gdyż jest to po prostu niemożliwe. Ta rola należy do odpowiednich władz. W tym wypadku do dyrekcji PSS „Społem” na Bałutach.

A może do kina?

Trwają XIII Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim. Spośród wielu propozycji na uwagę zasługują dwa filmy premiery. „SAMOTNA POZNA PANA...” — tak brzmi tytuł filmu Władysława Krzstofowicza a zarazem treść ogłoszenia, jakie w porwie rozpacz rozlecia na ulicach miasta bardzo interesująca kobieta. Pragnie poznać również samotnego mężczyznę, lecz poznany przynosi ze sobą więcej problemów i kłopotów niż radości — jest wioścą, alkoholiakiem i bezrobotnym cyrkowcem.

Wśród wykonawców wielu wybitnych aktorów — Irina Kupczenko, Aleksander Zburjew i Marianna Wierlińska — gwarantuje wysoki poziom obrazu.



„NA WYSPIE LEŻ” — to tytuł obrazu Wiktora Daszuka, podejmujący niezwykle ważny problem społeczny: dzieci nie chcianych. Jakkolwiek akcja filmu rozgrywa się między trzema dorosłymi osobami, jednakże sprawa dotyczy kilkuletniego chłopca: mały bohater ma dwóch ojców — naturalnego, który porzucił jego matkę i rzeczywistego, który go usynowił, by oszczędzić chłopcu własnych doświadczeń, wyniesionych z domu dziecka. Film ma jednak o wiele więcej znaczeń.

W rolach głównych występują: Michail Nieganow, Swietłana Rjabowa, Siergiej Koltakow i in.

„Wiosna”
i „Konfrontacje”

Trwają XIII Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim (do 30 dni). Inauguracja Spotkań odbyła się w kinie „Iwanowo” pokazem głośnego już filmu „Chłodne lato pięćdziesiątego trzeciego” z udziałem reżysera filmu Aleksandra Proszkina, Wiktora Daszuka — reżysera filmu „Na wyspie leż”, aktorów — Iriny Czerniechenko i Wsiewłoda Sanajewa oraz przedstawicieli „Sovexportfilma” — Wiktora Głuszczenki. Film Proszkina „Chłodne lato pięćdziesiątego trzeciego” wywołał duże wrażenie na łódzkich widzach, podobnie jak na moskiewskich pokazach przedpremierowych. Opowiada bowiem o trudnych latach po śmierci J. Stalina, ogłoszonej amnestii dla więźniów kryminalnych, upadku A. Berila i o „wrogach ludu”, których amnestia nie objęła. W czasie Wiosennych Spotkań prezentowane będą liczne ciekawe filmy w cyklach: „Problemy współczesności”, „Komedia stare i nowe” oraz „Przygoda i sensacja na ekranie”.

Drugim ważnym wydarzeniem będą rozpoczynające się 2 maja doroczne „Konfrontacje 87” w łódzkim „Baltiku” i „Wiśniarzu”, oraz w pabianickim kinie „Mazur”. W programie „Konfrontacji” zobaczymy: „Tabu” reż. A. Barańskiego, którego akcja oparta została na motywach fińskiej powieści opiewającej o miłości matki i córki do tego samego mężczyzny; „Jutro była wojna” (ZSRR) reż. J. Kara — to opowieść o życiu młodych ludzi tuż przed wojną; „Zapomniana melodia na flet” (ZSRR) reż. E. Riazanowa opowiada o perypetiach miłosnych i zawodowych pewnego urzędnika; „Pokój z widokiem” to angielski dramat obyczajowy reż. J. Ivory. „Brzech architekt” (Wielka Brytania) reż. P. Greenaway to dramat psychologiczny. Z pozostałych filmów już same tytuły stanowią dostateczną zachętę, a więc: „Przyjaciel mojej przyjaciółki” (Francja) reż. E. Rohner; „Chaos” (Japonia) reż. A. Kurosawa; „Imię róży” (RFN-Włochy-Francja) reż. J.J. Annaud; „Pluton” (USA) reż. O. Stone; „Dom gry” (USA) reż. D. Mamet; „Dzieci gorszego Boga” (USA) reż. R. Haines; „Wywiad” (Włochy) reż. F. Fellini.

RYSZARD BER znany doskonale do autora scenariusza Zbigniewa Saffiana, obecnego na planie zdjęciowym: „Thals”, „Cudzoziemka” — przystąpił do realizacji pięcioczęściowego serialu telewizyjnego pt. „Kancelerz”. Film kręcony jest w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Opowiada o losach Jana Zamojskiego, wielkiego trybuna Rzeczypospolitej drugiej połowy XVI wieku i o czasach, w których przyszedł mu żyć.

Każdy film kostiumowy jest niezwykle trudny w realizacji i wymaga długiego okresu starannych przygotowań, więc i „Kancelerz” pochłoniął wysiłek ogromnego zespołu ludzi zaangażowanych w jego produkcję. Choć twórca nie zakładał wiernego podobieństwa postaci do

„Kancelerz”

RELACJA Z PLANU ZDJĘCIOWEGO

Ich historycznych pierwowzorów, piwie, a historia i tak potoczyła się w kierunku wydobycia ich charakteru takiego, jaki możemy odczytać ze znanych portretów. Dla przykładu warto wspomnieć, że czteroczęściowy zespół charakterystyczny: Magdalena Łaska, Małgorzata Zawadzka-Lewik, Anna Mamrot i Monika Mirowska przygotowały dla potrzeb filmu około 800 typów zarostów, robionych na miarę: 400 wąsów i 200 bród. Pozornie wydawałoby się, że to nie takie, a przecież ich praca na tym nie skończyła się. Po każdym dniu zdjęciowym używane zarosty trzeba poddać kąpieli w denaturacie lub benzynie i ponownie wymodelować, aby nadawały się do wykorzystania w następnym dniu. Do tego szczyt kostiumów, uzbrojenie, ćwiczenie koni itd.

Ekipa filmowa zastąpiła w trakcie realizacji sceny z pierwszego odcinka serialu. Na polu elekcyjnym (Dobra pod Łodzią) tłumnie zgromadziła się szlachta: w barwnych kaftanach, frezjach podbitych futrem, w szubach, przy szablach... W drewnianej „szynie”, na ławach ustawionych wzdłuż ścian zasiadli mężczyźni wpatrując w przemawiającego do nich Jana Zamojskiego (Marcin Troński): — Inne ludy podziwiają naszą wolność. Bo każdy z nas wybiera sobie króla i nikt z nas nie uznaje rządu, za którym nie dał tego filmu... — Jaki jest zatem Zamojski? — pytam otwórcę tytułowej roli Marcina Trońskiego. — Kancelerz jest szalenie skomplikowany i niezwykle żywy. Zmusza mnie do szukania prawdy o ujęciach. Zwracam się z pytaniem

do autora scenariusza Zbigniewa Saffiana, obecnego na planie zdjęciowym: — Czy scenariusz pisał pan z myślą o konkretnym reżyserze? — Tak od początku miałem „Kancelerza” z myślą o R. Berze, ponieważ on doskonale czuje to, co ja mam do przekazania. Mam do niego pełne zaufanie.

— Co skłoniło pana do podjęcia problemów Rzeczypospolitej z drugiej połowy XVI wieku? — Od dawna interesowała mnie postać Jana Zamojskiego no i oczywiście epoka, w której żył i działał. Moim zdaniem był to zwrotny moment w historii Polski której losy mogłyby się potoczyć w rozmaitych kierunkach. Jednak gdyby nie było zawsze wat-

wiadany tekst. Staram się przekazać jego sposób myślenia, odczucia, słowem to wszystko, co wyeksponowałoby głębię osobowości Zamojskiego...

— Czy jest pan zadowolony z filmowej interpretacji swojego „Kancelerza”? — Zwracam się do Z. Saffiana. — Koncept R. Bera wydaje mi się interesujący i zadowolony jestem z obsady aktorskiej. Tak samo postrzegamy podstawowy dramat czasu, w którym żył Zamojski. Rozumiemy i popieramy postawę kancelerza, który nie przywiązuje korony drogą zamachu stanu czy wojny domowej, który respektuje wolność szlacheckie i optuje za liberalizmem myślenia, mając zawsze na uwadze dobro Rzeczypospolitej. Niezależnie od wszelkich historycznych implikacji myślimy, że Zamojski nie mógł i nie chciał płacić ceny za dyktando i realia historyczne. Takie były czasy i realia historyczne, a że pewnie dyktando powtarza się, na tym między innymi będzie polegała współczesna wymowa filmu...

— Znamy pan konwencje kina kostiumowego, wygląda na to, że pana film będzie zrealizowany niezwykle współczynie... — Bardzo zależało mi na tym, aby w moim filmie grali młodzi aktorzy i zachowywali się spontanicznie, zgodnie z aktywnym mózgiem. Przecież, gdy Zamojski zostaje kancelerzem ma trzydziesty czwarty rok życia i dopiero przychodzi do władzy. Ten fakt musi być uwzględniany w sposobie opowiadania o nim, jako o człowieku, poza wypo-

stycznych wysiłków, zwodniczość i landetność sztuki. A jednak tylko w niej, w sferze wyobraźni i ludzi bohater Hasa może przeciwstawić się losowi, na tyle, na ile go stać.

Wszystcy piszący i mówiący o filmach Hasa zwracają nieodmiennie uwagę na specjalne zainteresowanie tego reżysera przedmiotami, ich wzajemnymi relacjami i powiązaniami, ich symboliką zewnętrznej i ukrytej; także symboliką wnętrza zamkniętych i otwartych, które zdają się być również wnętrzem wobec pejzaży jeszcze innych (dla Hasa pracowali świetni scenografowie, że wymienię tylko Lidia i Jerzego Skarżyńskich); także CZASEM posiadającym kłopoty przedkoś...

Cóż zatem jest na wystawie w Muzeum Kinematografii? Ano to, co napisaliśmy wyżej. W kilku salach labirynt dekoracji, kostiumów, rekwizytów, projektów scenografii, zdjęć przeźroczyste a do tego dźwięk i kolor... Od „Petli” po film ostatni. Zrazu wygląda to jak zapomniana rekwizytownia dawnego zlikwidowanego, prowincjonalnego teatru. Ale w pewnym momencie chwytamy sens owego chaosu i wpadamy w rytm poszczególnych obrazów. Nie

Oglądanie Hasa

przygody można najrozsądniej interpretować... „Lalka” z Tadeuszem Fijewskim w roli Rzeckiego... „Sanatorium pod klepsydrą” inspirowane twórczością Brunona Schulza... „Nieciekawa historia”, czyli coś z Czechow... „Pismak” wg Władysława Tetereckiego, zrobiony w 1981... „Osobisty pamiętnik grzesznika... przez niego samego spisany” na motywach powieści Jamesa Hogg... Kto nie zna tych tytułów, nie może uważać się za kulturalnego kinomana...

Nie jest moim zamiarem pisanie o twórczości Wojciecha Hasa. Przytoczę jednak kilka fragmentów wypowiedzi krytyków francuskich, którzy w ostatnich latach mieli okazję zapoznać się szerzej z filmami tego reżysera.

„Skazana na barok i niezwykłość twórczości Hasa jest wzruszającym freskiem o przemianach czasu i poszukiwaniu wewnętrznej równowagi”. „Równy Felliniemu poprzez bujność obrazów, Tarkowskiemu i Satyrowi Ray poprzez ciężar gatunkowy refleksji”. „Ruchliwość kamery badającej zakamarki dziwnego świata, zamierzony nadmiar szczegółów, sprzętów, tkanin, czarny humor wobec niezwykłości. Z tego wszystkiego powstało coś, co pozostanie już klimatem Hasa”. „Has filmuje zawsze fałdy pamięci. Tworzy również nową formę: opowieść skatulkową”. „Wojciech Has uchronił własną unikalną osobowość twórczą, nie ulegając wpływowi mu współczesnym, czy twórcom, czy też decydującemu. We wszystkich jego obrazach odnajdujemy to, co nazwałibyśmy Odyseją odkrywania samego siebie (...) jego filmy posiadają monumentalną koncepcję oraz całkowicie oryginalną fakturę”.

Przytoczę jeszcze jeden cytat. W katalogu do wystawy Tadeusza Sobolewskiego napisał: „Has celebruje misterium sztuki jako tej dziedziny, w której człowiek dostępuje swolnego zbawienia. Zatem jednak ukazuje kruchość i nietrwałość arty-

bez kożery przypominałem filmy Hasa w porządku chronologicznym — one to właśnie wyznaczają ów rytm. Jest jeszcze inny, lecz ten zależy już od przedchożenia przez labirynt. Można ich jednakże zaniechać i szukać Minotaura na własną rękę, wedle własnych zasad. Zresztą labirynt jest doskonałym i wyczerpującym oznakowaniem.

„Ekspozycja, która proponujemy nie ma na celu dokonania analiz i podsumowań. Chcemy jedynie ukazać w innej formie działalność Artysty. Jego sposób pracy, pewne motywy ciągle przewijające się w dziełach. Poszukujemy nowej formuły w przedstawieniu sylwetki Wielkich Ludzi. Filmu, formuły zawierającej zarówno podstawową warstwę informacji jak również całą niewypowiedzianą sferę emocjonalnych napięć i metafor”. — Powiada ją organizatorzy we wstępie do katalogu. Są nimi przede wszystkim autorka scenariusza i jednocześnie komisarz wystawy — Krystyna Kuczyńska i autorka przestrzennej aranżacji owego labiryntu — Anna Bobrowska-Ekier. Na uwagę zasługuje również plakat Jana K. Wiślickiego nader chętnie kupowany przez zwiedzających.

Z ciekawością oczekuję następnych wystaw tego typu w Muzeum Kinematografii. Z trzech dotychczasowych — Wajdy, Fogla i Hasa — każda była inna, w jakiejś innej sposób zaskakująca. Pytanie — jak to będzie wyglądało dalej? — nasuwa się automatycznie...

ANDRZEJ GRUN



Na zdjęciu: Ryszard Ber

— Mam nadzieję, że brak Zeba nie dokona w moim światopoglądzie zbyt dużych spustoszeń, ale na pewno będzie mi go brakować.

Nie wiem, kto kupił serial „Jak zdobywano Dziki Zachód”, ale wiem, że nie zrobił źle.

Z całą pewnością krytyk-intelektualista wymyślił film za naiwność i nie tylko, ale tak podskórnie czaił się w nim chyba kompleks Zeba.

W każdym razie ja porządkowałem się trochę oglądając serial i z większą ufnością, pewnością, lecz i pokorą zanurzałem się w codzienność.

Być może u nas Zeb nie dałby rady, ale przynajmniej pewien czas by powalczył, bo obserwując twórcę wysiłki wszystkich na rzecz uzdrowienia sytuacji w Polsce, dochodzę do wniosku, że najbardziej nam teraz potrzeba, skoro inaczej nie daje rady, kilkudziesięciu ludzi z gór.

Lektura Starego Testamentu u autorów scenariusza jest widoczna, co wynika nie tylko z ich artystycznych skłonności, ale i potrzeb zazwyczaj protestanckiej widowni amerykańskiej.

Bo to nie tylko biblijna scena-

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

TV

Sprawa
Zabulona

ria — góry i wypalona słońcem równina, na pół koczowniczy sposób życia i dominacja związków krwi nad przywiązaniem do ziemi — to również namietność o starotestamentowej sile okrucieństwa i krwiożerczości: nieustanna walka dobra ze złem i nad tym wszystkim Opactwo, która Zabulona uczyniła swoim ramieniem.

Zeb całkowicie stapia się z naturą, a do tego należy również megalomania: sporadycznie odwieżdża domy o niepewnej kondycji i równie sporadycznie ogląda swoją twarz w szklance whisky — to zresztą tylko środki na utrzymania wewnętrznej równowagi, dzięki której spełnia on to, co ma spełniać.

Ale i on jest skaleczony, bo ukochana kobieta i dziecko zginęły i może dlatego cierpieć zgodził się z losem — osiągnął stan ośnienia, które dało mu wewnętrzny kodeks etyczny.

Przekonuje mnie, że niekiedy najprostszym środkiem są najskuteczniejsze, gdy na przykład w ostatnim odcinku likwiduje stowary establishmentu pod postacią właściciela hotelu dla hodowców bydła, który to establishment praktycznie był nie do ruszenia.

Nie liczę drobniejszych rzezi-mieszków, którym na dźwięk słów Zeb Macahan broń drżała w rękach, a nóż zawsze ześlizgiwał się z jego pleców.

Poniękał każde słowo, każda rzecz, każda czynność w serialu posiada mistyczny wymiar, a to pewnie stąd, że człowiek i jego los faktycznie wstawiony jest na piedestał — to on jest dla świata, ale i świat dla niego — skoro się nań przyszedło, to po to, by przasać swą nić i trzymać się jej lub przynajmniej starać się ją odnaleźć, a nie błąkać się po omacku i bez celu.

Człowiek zostawiony jest sam sobie, to znaczy istnieją ramy, w których się porusza — wiara, obyczaje — ale to on dokonuje wyboru i od niego zależy, czy postępowal będzie tak czy inaczej. Nikt tu nie dysponuje komfortem psychicznym, że duży jestem, ale dziecko, które prowadzić trzeba za rękę i ubezwłasnowolniać duchowo.

Powiedziałem.

TOMASZ KUBIK

W prasie radzieckiej pojawiło się wiele interesujących materiałów poświęconych tysiącleciu chrztu Rusi. Wśród nich nader ciekawa rozmowa, jaką Andrzej Czernow przeprowadził dla tygodnika „Ogoniok” z członkiem Akademii Nauk ZSRR Dmitrijem Lichaczowem. 82-letni historyk literatury i kultury, profesor uniwersytetu w Leninogradzie, prace którego głównie poświęcone są literaturze staroruskiej, człowiek, o którym można powiedzieć, iż stoi na czele przebudowy w sferze kultury, dokonuje wstępnego podsumowania tysiąclecia doświadczenia.

Chrześcijaństwo zmieniło kulturę Rusi.

Swoje rozważania rozpoczyna od stwierdzenia, że o historii kultury rosyjskiej, a także białoruskiej i ukraińskiej mówić można od momentu ochrzcenia Rusi. Kultura jako taka sięga neolitu lub paleolitu, natomiast cechy charakterystyczne kultury rosyjskiej, białoruskiej i ukraińskiej — wschodniosłowiańskiej kultury dawnej Rusi — sięgają okresu, w którym chrześcijaństwo zastąpiło pogaństwo. Uczony zwraca uwagę na to, że religia piśmiennicza, jaka jest chrześcijaństwo, wprowadziła Ruś w krąg mitologii o wysokim stopniu rozwoju, w krąg

raz nie było oparte na systemie politycznym, ani też tylko na systemie wojskowym. Było to państwo wielonarodowe, dlatego tak konieczną była religia międzynarodowa. Stefan I już po chrzcie Rusi wprowadził siłą chrześcijaństwo o modelu zachodnim — jednocząc Węgry, podobnie jak Karol Wielki chrzcił wcześniej mieczem Sasów. Na Rusi broń nie była potrzebna. Proces ten miał tam dosyć pokojowy przebieg... Włodzimierz troszczył się o wznoszenie świątyń, a Stefan I na Nęgrzech nie troszczył się o to. Podobnie nie troszczył się o to Polska i Morawy, które przyjęły zachodnie chrześcijaństwo. Włodzimierz zaś buduje, buduje, buduje. Zaprasza Greków i tworzy całą sieć rzemiosł. Wpływa to na całą kulturę rosyjską. Przejawia się to w prymacie „momentu estetycznego nad filozoficznym”.

Następnie stwierdza, że sztuka rosyjska w żadnej mierze nie ustępuje zachodniej, uczony podkreśla, iż rozwój jej jest dość specyficzny, a specyfika tkwi w tym, że świątynie prawosławne są wesołe, ozdobne. Jest to piękno wesołe. Można więc nawet stwierdzić, iż chrześcijaństwo prawosławne jest najweselszym chrześcijaństwem.

Co Rusi dały klasztory?

Interesująca była w procesie chrystianizacji Rusi rola

niego, jako do przywódcy ludu zwrócił się o pomoc i uzyskał ją. Sergiusz dał mu dwóch pokutników bożych (zakonników żyjących w surowej ascezie), którzy przekonali wojsko Dymitra, że oczekuje je święta bitwa, że ci, którzy umrą — pójdą prosto do raju, że bitwa ta nie jest zwykłym zabójstwem w celu uratowania ojczyzny, lecz wojną świętą. Poszli bronić swojej ziemi, niszcząc za sobą brody na Ocie.

Dymitr Doński rozpoczął nie od zjednoczenia terytorium, lecz od zjednoczenia narodo-moralnego. Dzięki temu Moskwa wysunęła się na czoło. Wcale nie dlatego, że leżała na głównych szlakach handlowych, jak zwolennicy wulgarno-ekonomicznego podejścia usiłują twierdzić. Pod względem ekonomicznym Moskwa nie była silniejsza od Tweru czy Nowogrodu. Była silniejsza pod względem duchowym. Nowogród niczego dla zjednoczenia Rusi nie robił, gdyż był republiką, a do Moskwy zjechał metropolita Wszechrusi i stała się ona symbolem zjednoczenia duchowego.

A oto, jak Dmitrij Lichaczow odpowiada na pytanie, kiedy następuje ta chwila, poczynając od której idee poszukiwania kwiatu narodu rozchodzą się z pozycjami kościoła oficjalnego:

— Sądzę, że bardzo dużą i negatywną rolę odegrał system nauczania seminarijnego. W

ZSRR pojawia się rozwarcie między rozwojem myśli religijnej i będącym w opozycji do niej ateizmem naukowym. Stwierdza, że nierzadko krytyka religii zastępowana jest czymś, co jest poniżej wszelkiej krytyki, trzeba więc stworzyć specjalne pismo — „Dialog”, w którym na równi zabieraliby głos uczeni, teologowie, filozofowie, poeci i pisarze. Byłaby to próba uwolnienia się z przesądów, znalezienia wspólnych punktów w stanowiskach, uwolnienia się z prowadzenia polemik na różnych płaszczyznach, bez wzajemnego wsłuchiwania się i próby zrozumienia innych stanowisk.

Kiedy prawosławie stało się hamulcem.

Nastąpił jednak w historii Rosji moment, po którego przekroczeniu ideologia oficjalnego prawosławia stała się duchowym hamulcem rozwoju narodu. Zdaniem profesora, bardzo wiele zależało od Piotra I, który lubił nabożeństwa prawosławne, śpiewał w chórze a w niedzielę palmową prowadził za uzde osiołka, na którym jechał patriarcha i na pewno nie był ateistą. Jego reformy doprowadziły jednak do strasznego upadku autorytetu kościoła (a były one kontynuacją reform mających jednolicić obrzędowość, podjętych w wieku XVII przez Nikona (w latach 1652—67 patriarcha rosyjskiego kościoła prawosławnego) w celu umocnienia władzy centralnej). Spowiednicy zostali pozbawieni prawa utrzymywania treści spowiedzi w tajemnicy, duchowni na mocy państwowego ukazu zmuszeni byli donosić, co pozbawiało kościół autorytetu. Za Piotra I i Mikołaja I rozkwita staroobrzędowość (staroobrzędowcy — przeciwnicy reform Nikona).

Szczególnie negatywną rolę odegrał Mikołaj I, który prześladował staroobrzędowców w znacznej mierze przyczynił się do zrujnowania gospodarki Rosji. Staroobrzędowcy byli najzamożniejsi i najpracowitsi — to oni stworzyli przemysł na Uralu, najlepszą w tym czasie metalurgię w Europie. Wydając ustawy o ich prześladowaniu, Mikołaj I doprowadził do zahamowania rozwoju. Formuła cara Mikołaja I: Samowładztwo — Prawosławie — Lud — usiłowała utożsamiać samowładztwo z prawosławiem. A przecież gwarancją autorytetu kościoła jest jego oddzielenie od państwa. Kościół i państwo przeplatały się, przez co wszystkie winy państwa spadały na kościół.

Przed tysiącem lat chrześcijaństwo stało się religią państwową i zjednoczyło Ruś, a później Rosję, Białoruś i Ukrainę. Była w tym zarówno siła, jak i słabość kościoła prawosławnego, który z powodu podporządkowania państwu utracił swobodę ducha, wolność sumienia. Ciąg dalszy był z góry określony: wierzący — więc monarchista. A chrześcijaństwo nie jest przecież ideologią burżuazyjną lub socjalistyczną. Jest światopoglądem wzbogaconym o etyczne normy postępowania w życiu — stwierdza Dmitrij Lichaczow, kończąc ten wątek swoich rozważań następująco:

— Kościół powinien rozwijać się w sposób nieskrępowany, być całkowicie oddzieleny od państwa i być religią w pełnym sensie tego słowa. Postęp społeczny w ogóle polega na wolności, na powiększaniu jej zakresu.

Nawiązując do tego, iż w latach siedemdziesiątych, gdy obywatelska realizacja osobowości dla ludzi, którzy nie chcieli śpiewać od pochwalnych, lub którym nie zależało na karierze była poważnie utrudniona, polemizuje wybitny humanista z tezą, iż była to poważna przyczyna ożywienia się nastrojów religijnych. Zwrot ku kościołowi spowodowany modą czy tylko przemianą światopoglądową jest jego, zdaniem kłamstwem, gdyż kościół nie jest tylko przemianą światopoglądową, jest to również zmiana w sposobie życia, w obyczajowości (posty, święta itd.). Wielu zaś chodziło do kościoła powodując się uczuciem protestu przeciwko oficjalnemu zakłamaniu. W tym również była doza zakłamania. Chrześcijaństwo przecież wymaga, twierdzi Dmitrij Lichaczow, nie tylko światopoglądu chrześcijańskiego, lecz i działań. Wiara bez działań jest martwa. A czynów nie było.

Opracował: HENRYK B. TYMIŃSKI

Pogrzeb w Zakopanem

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Tysiąc lat temu Ruś przyjęła chrześcijaństwo

Włodzimierz I zjednoczył Ruś

historii krajów Europy i Azji Mniejszej. Nastąpiło połączenie z kulturą Bizancjum, państwa, które szczyt rozwoju przeżywało w wiekach IX—XI. Dzięki unii personalnej wymuszonej na dworze bizantyjskim przez Włodzimierza I Ruś z kraju barbarzyńskiego wyrosła na mocarstwo o światowej kulturze, ze światową religią. Towarzyszył temu rozkwit ruskiej kultury, o czym świadczy np. wzniesiony na wysokim brzegu Dniepru w Kijowie sobór św. Zofii (1017—1037), o trzynastu poszczególnych kopułach, otoczony otwartą galerią, do dzisiaj będący centralnym obiektem w tym mieście.

Wszędzie pojawiły się świątynie, którym równych, jeśli chodzi o rozmiary i piękno, sąsiedzi nie mieli. W tym czasie w Polsce wzniesione były małe świątynie-rotundy. A na wschodzie był wielki kraj z dużymi świątyniami, z freskami, mozaikami i ikonami, ze wspólną literaturą. W Bizancjum publikowano tylko kazania, gdy w tym samym czasie Hieron pisze „Słowo o prawie i łasce”, będące mową historyczno-polityczną, umacniającą więź Rusi z historią światową.

Na pytanie, jak możliwym stało się tak szybkie włączenie Rusi do dialogu w kulturze światowej, Dmitrij Lichaczow odpowiada, że miała ona nader bogatą bazę w postaci folkloru oraz rozwiniętego systemu prawnego, który (m.in. „Russkaja Prawda”) został zapewne stworzony jeszcze przed chrystianizacją Rusi. Grunt był przygotowany również przez Wielki Słazak od Wargów do Greków, który dopiero w XII wieku przesunął się na zachód. Na nim właśnie w Chersonesie (Korsuniu), w Kijowie i Nowogrodzie (Nowogrodzie) pojawia się chrześcijaństwo. Pojawia się ono już w wojskach pogańskich napadających na Konstantynopol, co wprost wynika z tekstu układu zawartego przez Ruś z Grekami w r. 944. Widząc potrzebę politycznego zjednoczenia Rusi, Włodzimierz usiłuje w r. 980 stworzyć panteon bogów nowogrodzkiej, ale bezskutecznie. Dogmatyzm i niewyznanie było niemożliwe.

Potrzebna była jedna religia.

O przyczynach wprowadzenia chrześcijaństwa na Rusi Dmitrij Lichaczow mówi następująco:

— Państwo nie mogło zaistnieć na bazie zróżnicowanych wierzeń. Chrześcijaństwo przyjmowane jest w chwili, gdy Włodzimierz jednoczy Ruś, była to więc konieczność państwowa. Państwo Włodzimie-

klasztórów. Słowianie mieli język p'sany, ale nie był on zorganizowany. Wykorzystywali w nim znaki własne, lub nawet litery greckie. Na przykład mieli znak, że w tym naczyniu znajduje się wino konkretnego gatunku a w tamtym — ziarno. Wraz z chrześcijaństwem nadszedł język pisany innej, wyższej klasy. Był to język uporządkowany, ze znakami przestankowymi, z podziałem na słowa, z określoną gramatyką. Skoro pojawiły się najbardziej złożone pojęcia, można było sądzić, że język był przygotowany do przyjęcia piśmiennictwa. Godną rolę odgrywają w tym klasztory. Nowe ziemie były opasowywane i zagospodarowywane przez klasztory, w których głównie, jako najbardziej Bogu mile, rozwijało się piśmiennictwo. Dlatego też, w miarę przesuwania się kultury chrześcijańskiej na północ, najpierw powstawały klasztory, przy których były obrzędowe warsztaty księgopisarstwa. Wiadomo, że na Syberię wzięto książki i jej poddanie stało się możliwe nie tyle dzięki bronii, ile dzięki książce.

Książka też odegrała zapewne dużą rolę w przetrwaniu chrześcijaństwa na Rusi przez kolejne trzy wieki niewoli tatarskiej, gdy to wydawać się mogło, iż były warunki sprzyjające odrodzeniu się pogaństwa.

Profesor Dmitrij Lichaczow zwraca uwagę na fakt, iż Tataro-Mongolowie byli wyznawcami wielu bogów, a siła politeizmu na tym polega, iż uznaje on nowych bogów. Sam Bajtj też był tolerancyjny. Wojna Dymitra Dońskiego z Mamajem wybuchła, gdy religia panująca wśród Tatarów stała się islam, a więc wtedy, gdy wyprawa Mamaja stała się próbą narzucenia islamu Rusi. Wtedy Dymitr Doński zwrócił się o pomoc do Sergiusza z Radoneża.

Kim był ten ostatni? Urodzony w rodzinie bojara około roku 1321 był wraz ze starszym bratem Stefanem założycielem klasztoru Troickiego (w dzisiejszym Zagorsku pod Moskwą). Dokonane przezeń w życiu klasztornym reformy sprzyjały ekspansji klasztorów jako wielkich właścicieli ziemskich. Był ojcem chrześcijaństwa i pomógł mu w r. 1380 w przygotowaniach do bitwy na Kulikowym Polu. Dmitrij Lichaczow przyrównuje Sergiusza z Radoneża do Franciszka z Asyżu, gdyż miał taki sam stosunek do przyrody, do ptaków i zwierząt. Praca na roli zyskała sobie duży autorytet u chłopstwa, większy niż metropolita i dlatego Dymitr Doński, który potrzebował pospolitego ruszenia, do

wieku XIX wykształcenie seminarne zaczęło dominować. Kulturę szlachecką zaczęła wypierać kultura raznochynców (zdeklassowanych warstw posiadających — przyp. Red.) — kultura Dobrolubowa i Czernyszewskiego. Ten nowy prąd w kulturze stał się zasadniczym źródłem ateizmu, a jego bazą było, co może brzmieć paradoksalnie — seminarium. Odstęczało ono od dogmatów kościelnych, które wydawały się przestarzałe. Gdy człowiek zanadto zbliża się do świętych przedmiotów i obrzędów, świętość traci urok, czas świętości. Dla tej inteligencji kościół stał się zbyt prosty, zbyt powszedni. Było w nim coś wiejskiego, przestarzałego. Coś z teatru, w którym rolę i aktorzy z góry są wyznaczeni. Ponadto, podobnie jak u katolików, w naszych seminariach organizowano dyskusje, ktoś wybierał rolę ateisty lub heretyka i uczniowie wczuwali się w tę rolę, brali górę młodzieńcy duch przekory. Ich ateizm prowokowany był przez zwierzchników i wykłady. Zasadnicza przyczyna tkwiła jednak w tym, że w ogóle cały cywilizowany świat ulegał ateizacji. Odnosi się to do Europy i do Ameryki. Pojawienie się materialistów było prawidłową reakcją na ówczesną naukę. Można powiedzieć, że istnieje coś takiego, jak duch naukowy, różny w różnych czasach. Na przykład w epoce renesansu nauka była wizualna, dlatego we Włoszech powstała Akademia Rysich Oczu. Głównym atutem uczonego w tym czasie było bystre oko, zdolne zauważyć drobniutki zwiędnięty, jak i na przykład gwiazdy przez teleskop. Później następuje okres matematyzacji nauki i wyjasniania zjawiska z niego samego. Następnie pojawia się formuła: człowiek jest tym, czym jest... nauka w całej Europie przeżywa okres, w którym Bóg nie jest jej potrzebny. Z kolei w wieku XX odkrywano się w przestrzeni kosmicznej i w przestrzeni wewnętrznej różne niejasne zjawiska i teraz uczonego może być również człowiekiem wierzącym. Przypadków takich znamy niemało.

Rozmówca Dmitrija Lichaczowa zwraca następnie uwagę na to, że całe galezie współczesnej nauki wyrosły z religijnych poszukiwań uczonych średniowiecznych (na przykład z prób obliczenia ilości aniołów mieszczących się na ośtrzu igły zrodził się rachunek całkowy i różniczkowy) i że wiele z tego, co nauka przekazała do archiwum jako przesąd, w końcu wieku XX traktowane jest jako świadectwo przenikliwości myśli przednaukowej. Podkreśla, że w



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

21 kwietnia — ANDRZEJ MAKOWIECKI —
godz. 10—16.
28 kwietnia — RYSZARD BINKOWSKI —
godz. 10—16.

Tym razem z naszego dyżurnego telefonu skorzystało niewielu czytelników, ale — dzięki temu mieliśmy czas, aby od razu w odpowiednich instytucjach wyjaśnić poruszane przez nich sprawy.

Pani Jadwiga M. zadzwoniła w sprawie swego sąsiada, mieszkańca bloku przy ul. Daniłowskiego 7. Jest to staruszek, żyjący w skrajnej nędzy i opuszczeniu, wyłącznie dzięki dorywczej pomocy sąsiadów, którzy przynoszą mu jedzenie. Do mieszkania oddało dopływ gazu i prądu — ponieważ nie płacił rachunków, zakrecono również dopływ wody — ponieważ zalewał sąsiadów. Pani Jadwiga M. prosiła o pomoc w tej sprawie, najlepiej o umieszczenie staruszka w domu opieki społecznej.

Jak się okazało — sprawa od dawna znana jest opiekunowi społecznemu PCK, i innym instytucjom, powołanym do pomocy w takich sytuacjach. U dziadka były lekarze — w tym także psychiatra, były siostry PCK i opiekunki społeczne. Zabrano do szpitala nie wyraził zgody na pozostanie w nim, nie chce również przenieść się do domu starców, opiekunek społecznych nie

chce wypuścić do domu. Ponieważ nie jest to człowiek chory psychicznie — nie ma podstaw do ubezwłasnowolnienia i umieszczenia go przymusowo w placówce opiekuńczej. Skoro staruszek żył sobie w takich warunkach — nikt nie jest w stanie pomóc. Można jedynie, szanując jego wolę, współczuć sąsiadom.

Drugi telefon — a właściwie kilka telefonów w tej samej sprawie — dotyczyło możliwości zakupu koron czeskich przez hodowców rasowych kotów, wyjeżdżających na wystawę do Czechosłowacji. Odmówiono im sprzedaży więcej niż 80 koron, a tymczasem kwota ta w żadnym razie nie pokrywa kosztów opłaty wystawy, hotelu i innych, koniecznych wydatków.

Jak wyjaśnił przedstawiciel NBP — osoba obsługująca tę grupę naszych czytelników postąpiła zgodnie z przepisami. Osobom wyjeżdżającym z takiej okazji (a dotyczy to również hodowców psów, gołębi, róż i innych hobbistów, utrzymujących kontakty z odpowiednikami naszych związków w Czechosłowacji) przysługuje tylko wymiana jednodniowa. Zwiększenie tej kwoty wymagałoby odpowiednich ustaleń na szczeblu centralnym między bankiem a zarządami organizacji, zrzeszających hobbistów. Wydaje się, że warto dogadać się jak najszybciej — lepiej przecież, aby korony, forinty czy inne dewizy otrzymywali hodowcy kotów czy złotych rybek niż tzw. turyści, wyjeżdżający na drobny handel.

Na wyjaśnienie z ZUS czeka pan, otrzymujący rentę nr 95669 — 15 P. W marcu otrzymał on decyzję, że jego renta wynosić będzie 26 tys. zł i tyle też otrzymał. W kwietniu — wypłacono mu o 3 tys. zł mniej. Dlaczego i kiedy nastąpi wyrównanie — nie dowiedział się mimo wędrowek po licznych pokojach ZUS, liczy więc na wyjaśnienie za naszym pośrednictwem.

Pani Matylda J. opowiedziała nam o perypetiach z remontem domu, w którym mieszka od lat, przekonana, że jest po prostu najemcą mieszkania, gdy tymczasem w rozmaitych urzędach przekonują ją, że jest jego właścicielką lub dzierżawcą. Tą sprawą zajmiemy się bardziej szczegółowo.

TERESA JERZYKOWSKA



WAKACJE Z WOJCIECHEM

Kolonie i obozy dla dzieci i młodzieży

URLOP Z WOJCIECHEM

wczasy z rodziną i przyjaciół gronie dla kupujących w dniach

22, 23 i 25 kwietnia

miejsca na obozach, koloniach i wczasach.

NAGRODA OD WOJCIECHA

ZAPRASZAMY —

BIURO PODRÓŻY WOJCIECHA MARZYŃSKIEGO

LÓDŹ, ul. NARUTOWICZA 24.

w godz. 10—17, w soboty pracujące 10—14.

303/K

Lódź: historia, wspomnienia, relacje

Józef Teksel i scena łódzka

W księdze dzieł sceny polskiej w Łodzi złotymi zgłoskami zapisał się doskonały aktor, śpiewak i zasłużony dyrektor teatru objazdowego Józef Teksel. Urodzony w Łomży w 1839 roku, mając lat osiemnaście wstąpił do trupy wędrowniej Pawła Ratajewicza. Później kilka sezonów spędził na wędrownie w zespole Anasztaza Trapszy, grywając przeważnie role amantów i komicznych. Dyrektor Trapszo rychło docenił nie tylko artystyczne, ale i organizacyjne zdolności młodego aktora, czyniąc go kierownikiem artystycznym zespołu.

Pierwsze zetknięcie się Józefa Teksla z Łodzią nastąpiło w 1867 roku. W tym bowiem czasie zespół Anasztaza Trapszy, w którym Teksel już występował, w drodze z Piotrkowa Trybunalskiego do Kalisza zawitał na krótko do Łodzi. Warto nadmienić, że w zespole tym obok Teksla znajdował się późniejszy znakomity gwiazdor naszej sceny Bolesław Leszczyński.

W 1872 roku Józef Teksel zorganizował własne towarzystwo dramatyczne, do którego ściągnął prawie wszystkich najlepszych na prowincji aktorów i śpiewaków. Trupa Teksla występowała ze znacznym powodzeniem w wielu miastach Królestwa Polskiego, a między nimi w Łodzi w latach 1873 i 1875.

Sukcesy sceniczne Józefa Teksla wynikały z umiejętności doboru repertuaru. Orientował się on doskonale w upodobaniach publiczności i oferował jej głównie operetkę i wodewil, to jest gatunek sceniczny, który w owym czasie przeżywał swój rozkwit. Sam był niezłym aktorem komicznym i operetkowym. Początkowo występował w rolach amantów, śpiewał w operetkach, później zaś grał role zdecydowanie komiczne, takie jak Parys w „Pięknej Helenie” czy Żupan w „Baronie cygańskim”.

W ciągłych wojach po kraju Józef Teksel często zaważał o Łodzi. Jego zdaniem, wśród miast prowincjonalnych Królestwa Łódź miała najlepsze warunki dla zorganizowania stałego teatru. Cały szkopuł tkwił w tym, że miasto nie posiadało budynku odpowiadającego potrzebom takiego teatru, gdyż scena i widownia w teatrze Fryderyka Sellina przy ulicy Konstantynowskiej (Obrońców Stalingradu) nie nadawały się absolutnie do tego celu.

Wkrótce też, dzięki zabiegom Teksla, Łódź otrzymała teatr na miarę swoich potrzeb. Zbudował go w 1877 roku Wilhelm Kern na posesji przy ulicy Piotrkowskiej 67. Front posesji już od roku zajmował dwupiętrowy hotel „Victoria”, na tyłach zaś stanął murewany budynek teatru (dziś kino „Polonia”). Kern oddał teatr w dzierżawę Tekslowi.

Uroczyste otwarcie teatru

„Victoria” — bo tak zwano potocznie nową placówkę Melpomeny — nastąpiło 2 października 1877 roku. Widownię ozdobiło popiersiami Moniuszki, Słowackiego, Schillera i Mozarta. Przedstawienia na nowej scenie zainaugurowała opera Stanisława Dunieckiego „Pazioł wie królowej Marysieńki”. W trupie Teksla występowały dobre sily aktorskie, m.in. Rufin Morozowicz, Wacław Prohazka, Wanda Manowska, Józefa i Czesława Czapskie, Franciszek Waliszewski, Ignacy Kaliciński. Zespół za zgodą publiczności przyjął nazwę Teatru Łódzkiego. Już jednak w lutym 1878 roku trupa Teksla na skutek niskiej frekwencji publiczności na przedstawieniach opuściła Łódź, udając się na gościnne występy do wielu miast Królestwa.

Józef Teksel nie zrezygnował wszakże z zamiaru prowadzenia stałego teatru w Łodzi. Na początku grudnia 1878 roku objął ponownie dyrekturę teatru łódzkiego. W tym czasie do spółki z Ludwikiem Stumpfem nabył posesję Wilhelma Kerna wraz z ruchomościami teatru i hotelu za sumę 85.000 rubli. Nowi właściciele przebudowali teatr i zaprowadzili w nim oświetlenie gazowe. Zespół aktorski został znacznie powiększony. Składał się teraz z 25 aktorów i 22 aktorek.

Józef Teksel był współwłaścicielem teatru „Victoria” przez trzy i pół roku. Początkowo frekwencja widzów na przedstawieniach była znaczna i impreza zapowiadała się pomyślnie. Dyrektor teatru na jego utrzymanie nie żałował oszczędności z trudem uzbieranych w czasie wieloletniej pracy. Niestety, zainteresowanie łódzian nowym teatrem wkrótce zmalało. „Widocznie potrzeba stałego teatru nie stała się jeszcze koniecznością dla większości łódzian. Wielbiciel teatru było za mało, żeby zapewnić frekwencję przez cały rok” — pisał znany aktor Jerzy Leszczyński. Zespół nie otrzymał

pomocy ani ze strony społeczeństwa, ani ze strony władz. Józef Teksel, zagrożony kompletną ruiną materialną, zrezygnował z dalszego prowadzenia teatru, odstąpił Ludwikowi Stumpfowi swą prawą do posesji za 35.000 rubli i udał się z zespołem na wędrownkę po kraju.

Płynęły lata ożywionej działalności Józefa Teksla na terenach Królestwa, a nawet poza jego granicami — na Śląsku i w Rosji. Pomimo gorzkich doświadczeń, jakich doznał na gruncie łódzkim, nie zapomniał o Łodzi i zawsze chętnie zjeżdżał do „Victorii” ze swoim zespołem. Przebywał tu w latach 1880—1888 z przerwami w okresie letnim. W sezonie 1884/1885 nie miał sukcesu odniosła trupa Teksla w sztuce J. K. Gałuszyńskiego „Czartowska ława”. Odegrano ją wtedy 17 razy. Sezon ten uświetniły gościnne występy Anasztaza Trapszy, Bolesława Leszczyńskiego i Józefa Rychtera. Wreszcie, zmęczony niełatwą pracą w wędrownym zespole, Teksel rozwiózł swą trupę i w 1889 roku osiadł na stałe w Łodzi.

W latach 1890—1904 Józef Teksel pełnił w teatrze łódzkim funkcję kasjera. Na scenie występował w tym czasie tylko sporadycznie, głównie w sezonie letnim, kiedy to zespół łódzki pod kierownictwem Czesława Janowskiego przebywał na gościnnych występach w różnych miastach Królestwa. Ostatni raz zagrał w grudniu 1897 roku na jubileusz czterdziestolecia swej pracy aktorskiej.

W marcu 1899 roku Teksel osiągnął jeszcze raz doświadczeń reżyserskich, kierując przedstawieniami amatorskimi Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności w Łodzi na Księżym Młynie. W 1903 roku prowadził teatr ludowy, występujący w okresie letnim w parku Źródlika. Był również organizatorem zabaw w okresie karnawału.

Ostatnie lata swojego życia Józef Teksel spędził w niedostatku. Inicjator pierwszego stałego teatru w Łodzi zmarł w 1904 roku. Żegnany przez grono przyjaciół i wielbicieli jego talentu, spoczął w mogile na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej.

WACŁAW PAWLAK

PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU ARTYKUŁAMI PAPIERNICZNYMI I SPORTOWYMI „A R P I S” w Łodzi

organizuje w dniach 25.04.—31.05.88 r.

W Y P R Z E D A Ż
CZĘŚCI ZAMIENNYCH DO ZEGARKÓW,

które znajdują się w sklepie nr 1051
przy ul. Pojezierskiej 2/5

oraz

CZĘŚCI ZAMIENNYCH
DO APARATÓW FOTOGRAFICZNYCH

znajdujących się w ZU nr 101 przy ul. Piotrkowskiej 85.
1104/K

ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO

MANNO

w Łodzi, ul. Wólczańska 128

ZATRUDNIĄ PRACOWNIKÓW

o wysokich kwalifikacjach, oferując atrakcyjne wynagrodzenie

na stanowiskach:

- specjalistę ds. kosztów
- specjalistę ds. szkolenia zawodowego
- kasjerkę
- mistrza dziewiarni raszlowej
- dziewiarzy maszyn saneczkowo-interlockowych
- ślusarzy
- stolarzy

Warunki pracy i płacy do omówienia w Dziale Kadr i Szkolenia ul. Wólczańska 128, pok. 10, tel. 36-64-55 w. 232.

Zakład nie zatrudnia osób po samowolnym porzuceniu pracy.
2658/K



DYREKCJA PAŃSTWOWEJ SZKOŁY BALETOWEJ IM. FELIKSA PARNELLA W ŁODZI

ogłasza

Z A P I S Y

DZIEWCZĄT I CHŁOPCÓW

kończących III klasę szkoły podstawowej,

do klasy I na wydział tańca klasycznego.

Nauka w szkole trwa 9 lat. Uczniowie otrzymują posiłek regeneracyjny oraz mają możliwość otrzymania stypendium.

Absolwenci otrzymują świadectwo dojrzałości oraz tytuł tancerki — tancerza. Wstępne obowiązkowe konsultacje odbywać się będą w maju w każdy poniedziałek i czwartek w godz. 13—15.

Examinacje wstępne odbędą się od godz. 10 w dniach:

1988.06.03. — dla kandydatów z nazwiskami rozpoczynającymi się na literę od A do L.

1988.06.04. — dla kandydatów pozostałych.

Informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje sekretariat szkoły, Łódź, ul. Wrocławska 3/5, tel. 55-37-47 w terminie do 27 maja br.

2634/K

Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Ciągłe napięcia — w domu, na ulicy, w pracy, w życiu w ogóle, także i społecznym — sprawiają, że żyjemy w stanie niekończącego się podenerwowania, permanentnego stresu wiodącego najkrótszą drogą do wyniszczenia. Nie tylko siebie, lecz i otoczenia. Medycyna rozebrała już dziś dostatecznie wpływ stresu na zdrowie fizyczne i psychiczne człowieka, aby stał się on przedmiotem społecznego zainteresowania i troski.

Tak więc wszyscy pragniemy „normalności”. Pragniemy normalnego życia, społecznego, politycznego, normalnego funkcjonowania gospodarki, handlu. Pragniemy wreszcie normalnie pracować, kupować bez narażania się na zdenerwowanie, jeździć tramwajem nie obciążeni wulgarnością i chamstwem. Skoro tak pragniemy normalności — i potrzebujemy, niechmy powiemy — coś uczyniliśmy, aby do niej doprowadzić? Nie, albo niewiele. Przerwijmy więc ten zaczarowany krąg i zaczynamy coś działać. Co? Jak? Od czego trzeba zacząć. Od tego, co nam doskwiera najbardziej — kultury obyczajów, której winniśmy przywrócić właściwą rangę i znaczenie, jako nierozdzielniemu składnikowi życia społecznego, politycznego i gospodarczego, a zatem i osobistego.

To z upadku obyczajów rozpłenia się chamstwo w zachowaniu, wulgarność języka, jakim posługują się dziś zarówno ludzie na tzw. stanowiskach, jak i od przystoiowej łopaty, człowiek utytułowany i lump, tak mężczyzna jak i kobieta, ojciec i matka. Nierzadko w obecności własnych dzieci, od których wymagają poprawnej polszczyzny. Tak jak wymagają, aby było przy-

1

Nagle zastępstwo

Na kłopoty...

Rozwijam się nad podziw, mimo różnych ograniczeń prawno-administracyjnych, „ogłębistość” a co za tym idzie „wypływalność” kasety wideo. No i dobrze. Ale kłopotów nigdy nie dość i oto dochodzi nam TV satelitarna. Dochodzi do tego, że mieszkańcy warszawskiego Ursynowa będą nie tylko oglądać telewizję satelitarną, nie tylko „Rambo” i pornosy z nielegalnej wypożyczalni, ale nawet sami sobie będą nadawać program! Co tylko zechcą — bez żadnej kontroli uczonych meżów w Woronicza! Po prostu świat się wali!

Przed wszelką władzą i aparatem propagandy stanął zatem dylemat: dać się wykołować konkurencji czy też zwrócić szereg, natężyć się i wymyślić programy konkurencyjne. Stoimy bowiem przed poważnym zagrożeniem monopolu informacyjnego i propagandowego w dziedzinie najważniejszej bo o najwyższym zaśiegu społecznym.

Jak dotąd nasza TV radziła sobie z tym kłopotem: a to puściła kawałek z amerykańskiej sieci CNN, a to funduje nam „różową serię”, która tak się ma do „filmów pogranicza” jak kłoki dziecięce do wielkiej płyty. Puszczali to jeszcze na dodatek po nocach, zamiast w „Teleranku”, bo może dzieciarnię to mogłoby ruszyć. Nas, starych — nijak.

Ale wreszcie coś drgnęło. Telewizja nasza szlachetna postanowiła śmiało stanąć po właściwej stronie i wyraźnie opowiedzieć się za reformą centrum. Na pierwszy ogień poszły tarapaty ministra Edukacji Narodowej z podręcznikiem wychowania w rodzinie. Minister z kłopotów jakoś tam wybrnął, lepiej czy gorzej (moim zdaniem — gorzej), ale TV poparła go śmiało i ukreśliła na pozekaniu serial „Na kłopoty... Bednarski”.

Nie wyszło to najlepiej (wiadomo, pośpiech): Bednarskiego grał, nie wiadomo czemu — Stefan Friedman, nie wiadomo też czemu wplątany się w jakieś niemieckie afery kryminalne w Gdańsku, nawet wyskoki dostał, ale w końcu na swoje wyszedł.

Nie wiem, czy minister Henryk Bednarski jest usatysfakcjonowany, wątpię, żeby kazał film przetrwać na kasety i pokazywać obowiązkowo w szkołach. Jedno jest pewne: pierwszy krok za nami, pierwsze koty za ploty!

A że kłopotów naszym władczom nie brakuje, możemy liczyć na kontynuację serialu. W budownictwie mieszkaniowym (taki przykład pierwszy z brzęgu) kłopot, ogólna niemoc i niedorozwój. Proponuję więc szefowi wszelkiego telewizorstwa polskiego szybko uruchomić produkcję serialu np. „Na kłopoty... Ferensztajn”. Może co się ruszy? Tylko bardziej starannie trzeba dobrać obsadę. No a scenariusz obowiązkowo trzeba powierzyć pisarzowi, „brojkarzowi murarskiemu” i redaktorowi naczelnemu „Twórczości Robotników”.

Następna w kolejce będzie służba zdrowia. Nie wymagamy się tu powtórkami z Lubaszki czy Ewa Wiśniewska. Serial „Na kłopoty... Komender” musi być filmem ważnym, pryncypialnym i takim więcej... terapeutycznym. Może wziąć coś z granicy? Nie, daleko, z Czechosłowacji.

Filmie czeka na realizację dzieło serijne pt. „Na kłopoty... Samojłki”. Z forsy jest kruczo, toteż cała nadzieja, że scenariusz napisze Jerzy Janicki i rolę tytułową zagra Kazimierz Kaczor. W „Polskich drogach” nieźle sobie radził z walutą, nawet obca i to w warunkach, kiedy żadnego świata dla rzemiosła nie było, nawet dla spółek polonijnych.

Z kulturą też nie najweselej. Cykl „Antyczny świat profesora Krawczuka” sprawy nie załatwia. Trzeba czegoś mocnego i współczesnego. Zeby było i o produkcji książek, o teatrach, o bibliotekach, o kinematografii. Konieczne też musi być w obrazie wystąpić porozumienie w środowiskach twórczych, rozbić organizację plastyków itp. itd. Może, po najmniejszej linii oporu zekranizować „Krakowiaków i Górali”? Artysty wszystkich branż są, muzyka, śpiewy i patriotyczne nastroje, ba, nawet co nieco o technice elektrycznej! No i finałowe pojednanie! We współczesnej wersji tytuł można zmienić na „Krakowiacy i warszawiacy”. Jak uła! pakuje...

O reformie gospodarczej też coś trzeba. Ale jeszcze nie teraz. Za kilka lat można będzie zekranizować supergigant oparty na motywach Starego Testamentu: „Siedem lat chudych”.

Zeby tylko nie ruszać resortów ministra Kiszczaka i ministra Siwickiego! Broń boże! Lećmy już raczej z szesnastą powtórką „Czterech pancernych” i kontynuujmy program Michała Fabusiewicza.

ANDRZEJ KAROL

2

Lewym okiem

Znów o książkach

Rada Kultury znów debatuje nad sytuacją książki w Polsce. Wszystkie czasopisma bez wyjątku poświęcają tej sprawie szanowne artykuły. Polowy ich nie czytamy, bo od kilkudziesięciu lat młoda wciąż ta sama słona. Wszystkiego brak, niczego nie można, skandal, tragedia, horror, zbrodnia. Na te rozkołysane fale dyskusji i niczego więcej prócz dyskusji rzucam jednak i ja swój bardzo osobisty kamień.

Piszę się na przykład, że wiele tytułów leży martwo w składnicy i w księgarniach, że są to tytuły chybione, wieś się psy na wydawców, że niepotrzebnie te książki wydali. A jakże można sprzedać książkę, której nie pokazano nigdy ani na wystawie sidelowej ani nawet na ladzie wewnątrz księgarni. Znam takich wypadków dużo, słowo daje. Skądże ma się dowiedzieć o jej istnieniu potencjalny nabywca. Tylko o niektórych książkach można z góry powiedzieć, że są to szlagiery, za którymi będą uganiać konieserzy i gieldowi handlarze. Przeciwny klient wchodzi do księgarni nie wiedząc jeszcze co w niej nabejdzie. Przychodzi wybrać z tego, co jest, nigdy jego wybór nie padnie na książkę schowaną albo na zapleczu sklepu, albo przynajmniej gdzieś na półce, daleko za plecami sprzedawcy.

Uwaga druga: o wychodzących książkach nie informuje nikt, owszem informują wybiórczo tygodniki, przecież tygodniki nie są czytane przez wszystkich, prasa codzienna nie wymienia nigdy tytułów księgarskich nowości i aż dziw, że wymienia na przykład teatralne sztuki i filmy bieżące w kinach. Z każdego nakładu wydawca zatrzymuje kilkadziesiąt egzemplarzy, właściwie nie wiem do czego. Jeśli są rozsłane po redakcjach, to redakcje żadnego z nich użytku nie czynią. Informacje wybierają w tygodnikach ukazujące się w wieloletniej po wydaniu

książki i właściwie nie służą już nikomu. Każda książka powinna być w miarę możliwości reklamowana a przynajmniej zapowiadana jak program radiowy i telewizyjny.

Mało się mówi o antykwiariatach, zarówno tych uspołecznionych jak i prywatnych, znajdujących się tam zapasy książek są o połowę mniejsze niż były parę lat temu. Po prostu nie ma w czym wybierać, a to co jest, ukryte tak samo jak w księgarniach daleko za ladami i szeregiem stojących i nudzących się sprzedawców. Jednocześnie antykwiariaty książek nie kupują, wciąż widzę nad kasą napisy „książek nie kupujemy, brak pieniędzy”. Koniecznym byłoby, jak sądzię, zwiększenie normatywu książek w antykwiariatach, po prostu ich stan posiadania powinien być znacznie większy, a wtedy wiele książek znalazłoby szanse trafienia do rąk czytelników.

Cheć tu jeszcze przy okazji poruszyć jeszcze jedną sprawę: milonowicie do niedawna istniał w Łodzi punkt sprzedaży czasopism przeterminowanych, można je tam było nabyć za połowę ceny. Punkt taki miał swoją stałą klientelę, teraz o ile wiem, sprzedaży takiej już nie prowadzi. Przy podniesieniu i to wysoko cenach czasopism, sądzię, że taka sprzedaż przydałaby się na pewno. Gdyby mnie ktoś pytał o radę powiedziałbym, że antykwiaryczną sprzedaż pism powinien prowadzić Klub Prasy i Książki, ale to nie moja sprawa. Moją sprawą jest tylko, żeby książki można było wybrać, kupić, jeśli jest za droga w księgarni, to kupić ją po tańszej cenie w antykwiariacie, a tak ogólnie biorąc, żeby komuś zależało na tym, abyśmy ja te książki kupili, żeby mnie do tego ktoś raczył zachęcić zapowiedzią, informacją, reklamą, wyściem naprzeciw.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Pod prąd

Inteligencja inteligencji

Podczas świąt wielkanocnych odwiedziłem mojego starego znajomego, mieszkającego w K., miasteczku średniej wielkości, które niegdyś było stolicą powiatu, a i dziś odgrywa nie małą rolę w regionie jako siedziba niektórych urzędów i instytucji. W jednej z nich właśnie, a mianowicie w sadzie rejonowym pracuje mój znajomy. Jest sędzią. Jego sympatyczna małżonka zaś kieruje wielobranżowym pawilonem w „śródmieściu”. Oboje z racji zajmowanych stanowisk oraz wykształcenia zaliczają się do miejscowej inteligencji. W jej kręgu też niemal wyłącznie się obracają, o czym podczas mojej wizyty miałem możliwość przekonać się naocznie, gdyż znajomy oprócz nas, łodzian, gościł również: dyrektora miejscowej szkoły, lekarza, kierowniczkę biblioteki oraz miejskiego architekta.

— To nasze stałe towarzystwo — powiedział, przedstawiając wyżej wymienionych wraz ze współmałżonkami. — Mam nadzieję, że będziecie się dobrze czuć.

I rzeczywiście, spotkanie zapowiadało się miłe, do czego niewątpliwie przyczynił się fakt, iż biesiadowaliśmy w lany po-

niedziałek. Ale nie zabrakło także i ciekawych dyskusji, które uświadomiły mi m.in., że choć mieszkańcy tzw. prowincji mają swoisty i uzasadniony z ich punktu widzenia kompleks niższości na tle dostępu do dóbr kultury, to więcej chyba czytają, częściej bywają w teatrze i na koncertach niż my z żoną — mieszkańcy drugiego co do wielkości miasta w Polsce. Oczywiście nie wszyscy, ale goście mojego znajomego i on sam — na pewno.

Nie to wszakże zrobiło na mnie największe wrażenie, mimo że byłem trochę zaskoczony, iż nie jest na odwrót, czyli zgodnie z tzw. potoczną opinią na temat życia inteligencji w małych ośrodkach. Zresztą może to tylko w K.? Może wyjątkowo trafili? Rzecz wymagałaby gruntowniejszego zbadania, aby snuć ogólniejsze refleksje. I sądzię, że należałoby to zrobić.

Ale chciałem o czymś innym... Otóż mimochodem dowiedziałem się również w ów święty wieczór, jak radzi sobie kwiat prowincjonalnej inteligencji, by w dobie kryzysu inteligencji pozostać. Skąd bierze na życie, a przede wszystkim — na coraz droższe książki, płyty, na wyjazdy do łódzkich i stołecznych teatrów, galerii, na mikrokomputer dla dziecka, magnetowid, wczas z całą rodziną w górach i nad morzem, w Bulgarii, wreszcie na to, aby raz czy dwa w miesiącu spotkać się przy dobrej kawie i koniaku, wymienić wrażenia, poglądy...

Rzecz jasna — nie z pensji, gdyż te, podobnie jak w Łodzi są raczej skromne, nierzadko niższe od robotniczych, a już z pewnością nie pozwalają zaopiekować potrzeb ludzi, od których oczekuje się zazwyczaj trochę więcej niż od przeciętnych ziadaczy chleba z salcesonem, czy konsumentów win owocowych. (Ja nie twierdzę, że inteligencja jest lepsza od klasy robotniczej, że ma inne żoladki, itp. Ja tylko zwracam uwagę, że inne są potrzeby inteligenta — te kulturalne, duchowe — niż murarza lub tokarza, a wyjątki potwierdzają jedynie te reguły).

To znaczy — nie wyłącznie z pensji, ponieważ jak się okazało, wszyscy goście mojego znajomego dorabiają. Jak? Przypuszczam, że wielu Czytelników już się domyśla, bo albo sami tak robią, albo wiedzą o podobnych przypadkach. I tak mój znajomy, sędzia, od czasu do czasu „zwiedza” Instytut, miasteczka północno-zachodniej Jugosławii, nieraz — Ateny. Dyrektor szkoły pomaga swoim uczniom dostać się na studia, od czego nie płaci, rzecz jasna, podatków, a także zajmuje się importem kolorowych telewizorów od rodziny w Kraju Rad. Lekarz internista, znany w całej okolicy, oprócz dodatkowych dyżurów w szpitalu i pogotowiu bierze też niekiedy od pacjentów białe koperty. Kierowniczka biblioteki, pani magister polonistyki, prowadzi na nazwisko ciotki biuro pisania podań. Architekt miejski robi prywatnie projekty oraz wydaje zezwolenia na budowę w przypadkach, w których obowiązujące przepisy — gdyby się ich niewolniczo trzymać — pozwalały śmiało urzędnikowi powiedzieć: nie, chociaż zdrowy rozsądek nakazywałby powiedzieć: tak.

Nie kryję, że w pierwszym momencie byłem tym wszystkim trochę zdegustowany, jako że są to skądinąd naprawdę sympatyczni, serdeczni i rozsądni ludzie. Pamiętam też mojego znajomego z lat młodości, kiedy to wytrwale biegał na zebrania ZMP i potrafił przeżyć cały miesiąc na mleku i suchych bułkach. Później jednak doszedłem do wniosku, że tak, jak zmieniają się czasy, tak i zmieniają się ludzie. Ma bowiem homo sapiens zdumiewającą zdolność przystosowywania się do zmieniających warunków i sytuacji. I dlatego jest na Ziemi panem wszelkiego stworzenia.

Później jednak doszedłem do wniosku, że tak, jak zmieniają się czasy, tak i zmieniają się ludzie. Ma bowiem homo sapiens zdumiewającą zdolność przystosowywania się do zmieniających warunków i sytuacji. I dlatego jest na Ziemi panem wszelkiego stworzenia.

JÓZEF RETMAN

MARIAN ZDROJEWSKI

Mnie jego sposób palenia bawi. Zawsze czekam, kiedy, z nadbiegłymi kwiataczkami, jak teraz, zakrzuci się dymem albo, wyprowadzony z równowagi, zdusi cygaro.

— Czuję się skacowany tym wszystkim — zmieniał temat.

— Nie przyjechałem, żeby rozkładać się z tobą kaczka! O książkę pytam. Kiedy dostanę końcówkę?

— Nie ukończę tej książki — odparłem stanowczo. — Postanowiłem. Dlaczego? — nie pyta. Nie czuję jej, jak mawiają ludzie piora. Wydarzenie z bagażem uzmysłowiło mi, że pisałem ją, jak gdyby na zamówienie. Trochę przesadne to, ale pewnego dnia poczułem się, jak gdybym był wynajętym do mokrej roboty. Ostatecznie w każdym państwie są brudy, może nawet gorsze od naszych, tyle że nie pokazane całemu światu. Teatr. Nieograniczona u nas wolność środków masowego przekazu spowodowała, że staliśmy się największym teatrem świata poddanym krytyce wszystkim. Nie samokrytyce — to coś zupełnie innego — a własne, dla każdego cwaniaka osobistych celów wybrzydzenie. Nie wiem, czy siedząc w Białym Domu nie podejmowałbyś decyzji, które jeszcze niedawno tak mnie oburzały. Byłem nieopieczonym pętlakiem, któremu się wydawało. Ten rozdział dla mnie zamknięty.

Reakcją Dave'a nigdy nie umiałem przewidywać.

— A bybyś gotowy oświadczyć to prasie? Wystąpić publicznie i oświadczyć. Bez uprzedniego zabezpieczenia sobie tyłów oddać się sądowi i odpowiadać za dezerację, za co u nas można załapać ze trzydziście lat. Bądź co bądź w Indochinach występowałeś w rządowym kostiumiku.

Na urlop do domu przybyłem w mundurze kapitana łączności. Firma miała wyczerpać wszystkie rodzaje broni. Jako oficer tych wojsk byłem uroczysto podejmowany przez organizację kombatancką. Później z bohatera zrobiono zdrajcę i — patriotyzm — ojczyzniany wózek toczy się dalej, tyle że bez mego ojca, którego nazwisko wraz z wizerunkiem jest ozdobą British War Museum w Londynie. Wokół którego tragicznej śmierci prasa w Europie milczy. A gdyby nawet nie milczała, to która opętana amokiem kobieta weźmie gazetę do ręki.

Zarządcy posiadłości barona Maximiliana-Ludwiga von Alterwald wciąż o nim nic nie wiedzą. — Aber ja, gnädiger Herr. Jak tylko Herr baron się odezwie, poinformujemy go o pańskich telefonach. Że w sprawie nie cierpiąc zwiłki gość pana barona ma się niezwłocznie skontaktować z hotelem Vier Jahreszeiten w Monachium. Sie können ruhig bleiben, gnädiger Herr, powiemy.

Odwet po latach. Na zdjęciu w wojennym albumie ojca zastrelony pułkownik pilot Maximilian-Ludwig von Alterwald uśmiecha się jak rasowy pokrzyś po przegraniu z jeszcze lepszym graczem wysokiej stawki. Byłem zym psychologiem. On wówczas przegrał tylko pierwszą rundę walki. Jestem w ogóle zym psychologiem.

A biedna Helen ma ręce pełne roboty. Kiedy przechodziłem ulicę w mundurze, zawsze mnie pozdrawiano. Nie bym dał, aby jeszcze kiedyś przepasować się przez Good Weather Street i popatrzeć w oczy sąsiadom domu numer 17...

— A widzisz? — Dave przerwał moje milczenie. — Gdybym ciebie nie znał, pomyślałbym, że strach cię oblać. Wybaczyć szczerze, ale mówisz jak prowokator. Czyżby sprzątnięcie twego ojca podcięło ci nogi?

W Bayreuth wystawiają dawno zapowiadaną nową inscenizację „Lohengrina” Wagnera, nadwornego kompozytora pomyłonego króla Bawarów, Ludwika II. Wieczorowe stroje, pompa, ekstaza. W łóżu, z wypiekami na twarzy, samotna Karoline-Luise. Tylko komu w tym tłumie konieserów wycia na scenie wytłumaczy ona różnicę między tą inscenizacją a poprzednią? — Co mówisz?

— Ze postępujesz jak prowokator. Prowokator! Że masz pełne gacie.

Irytował mnie.

— „Prowokator”, „pełne gacie” — nie masz czego innego na składzie? Moja decyzja jest rezultatem przemysłu. Pewność słuszności obranej drogi opuściła mnie już wcześniej. Objawem tego była niezdolność do koncentracji, jałowość myśli. Zabrakło mi ognia. Pisałem na siłę, a w tej robotcie to już tylko układanie klocków. W dalszym ciągu uważam, że nasz protest — reakcja na Indochiny była słuszna, ale sposób — zły. Walczyć o sprawę trzeba na miejscu walki, my zaś zabawiamy się w krzykacz, z dala od ognia. Nieobecni nie mają racji. Czuję się winny śmierci ojca. To moja postawa wzięcia mego brata do łapy. Ten człowiek zginął za moje winy, w osamotnieniu. Naprawdę kraj trzeba w kraju. Gdyby pastor King gardłował za prawami dla czarnych w Europie i gdyby kropnięto go tu, nie w Memphis, nie by tym dla swoich nie wojował. Taka jest rzeczywistość. Moje miejsce jest w kraju.

— A twoje kontakty z Rosjanami?

Przypomniał mi tym Douga Wilsona. Był mi tak samo wstętny jak tamta kreatura. — Owszem — odparłem — rozmawiałem z przedstawicielem ich handlu zagranicznego na wystawie „Xetemu”. Jak z każdym innym, czy to zabronione?

— Zawsze miałeś dar przekonywania mnie. Przekonał jednak firmę.

— Traktuję ją jako moje byłe miejsce pracy;

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

20

LEONARD

ślubu z nią nie brałem. Uporządkuję swoją sprawę i wracam.

David zdusił cygaro.

— A nie pomyślałeś, że koledy tutaj potrakują to jako dezerację, tym razem z naszych szeregów?

— Nie zmienię decyzji.

Przycisnął wargi.

— Jak postanowiłem, to postanowiłem. Ale poza długim solidarności wobec kolegów, masz jeszcze inny dług... Pomyślałeś o tym?

Byłem na to przygotowany.

— Matka, po tym, co się stało, na pewno nie zostanie w Seattle. Sprzeda dom, z części, jaka przypadnie na mnie...

— Dom — przerwał mi — nie jest do końca spłacony, sam to mówiłeś. Po potrąceniu hipoteki i podatku spadkowego, do podziału między was troje pozostaną centy. A moje pieniądze! — Uderzył pięścią w stół. — Jesteś mi winien sto tysięcy. Stół. Albo placisz w gotówce, albo każe ci aresztować za wyłudzenie. Gdziekolwiek postawisz stopę, czeka na ciebie będzie nakaz aresztowania. Albo placisz, albo odrobisz dług w postaci wykonania dla mnie zlecenia. Wybieraj!

Pół godziny później sięgnął po płaszcz i akto-
wórkę, z którą tylko przyjechał, i bez podania mi ręki zniknął za drzwiami.

Grupa facetów niezależnych od General Se-
ling Conference odkryła w Namibii nowe zło-
ża diamentów.

Potrąbił ludzi do transportu lotniczego i
ochrony, wypróbowanych i zdecydowanych. Stawka dla oficerów-najemników sięga obecnie średnio tysiąca dwustu dolarów miesięcznie plus utrzymanie i wyposażenie. Niezależni dają dwa tysiące plus trzydziście tysięcy gratyfikacji na roczny kontrakt. Nie trzeba dodawać o możliwości podwojenia sobie tej stawki na boczku.

Mam zorganizować doświadczonych na fron-
cie byłych oficerów marines, jako dowódców ochrony, oraz lotników do obsługi samolotów transportowych i śmigłowców.

Ponieważ mają to być ludzie absolutnie wo-
doszczelni, w grę wchodzi (poza mną jako do-
wódcą całości): Ted Cullinan i Alex Zagora —
jako lotnicy, Jim Stark i Dustin Longstone —
jako marines. Odłot grupy za czterdzieści dni z
Paryża, dalsze instrukcje otrzymam w samole-
cie.

W przypadku niewywiązania się z zadania,
piętnastego dnia od dzisiejszej rozmowy do sa-
du zostanie skierowany pozew o zwrot stu ty-
sięcy dolarów wyłudzonych od pana Davida
Attentowna a konto wpływów z rzekomo pisa-
nej przeze mnie i już na pniu sprzedanej książ-
ki.

We wszystkich sprawach mam się kontakto-
wać wyłącznie z Ronem Humberem. Z nami —
koniec!

Na poczet moich wydatków otrzymałem czek
— wystawiony na okaziciela — na pięć tysięcy
dolarów.

Mój najdroższy przyjaciel, David Attentown...

Spotkanie nastąpiło z dala od centrum mi-
sta. Z samochodów, które jeden za drugim
wjechały na parking Jacht Klubu, wysiedli
dwaj rośli mężczyźni w ciemnych trenczach.
Spotkanie nie było przypadkowe. Uściśnięli so-
bie dłonie. — Poprowadzę pana — powiedział
tęszy z nich. Biorąc za łokieć szczuplejszego
skierował się ku cumowisku jachtów przy na-
brzeżu.

Strażnik nocny rozpoznał w nim pana Clif-
forga M. Duncana, członka Izby Reprezentan-
tów, właściciela i naczelnego redaktora najbar-
dziej wpływowego na północno-zachodnim wy-
brzeżu Stanów dziennika „North American
Mail”, cieszącego się przydomkiem „The Guy
that Can Do All” — Wszechmocnego. Cokolwiek
o nim w mieście i kraju się mówi, nie jest bez

pokrycia. Duncan stroni od taniej sensacji. Lo-
wienie plotek w mętnej wodzie pozostawia bru-
kowcom. Zarzuca mu się pozowanie na prze-
brzmiały imperialno-brytyjską konserwę. Kiedy
jednak dobiera się do czyjejs skóry, głośno jest
w całym kraju.

Duncan podziękował. Żadnej pomocy nie po-
trzebuję. Nie wypływa na morze. Niczyjej wi-
zyty na jachcie sobie nie życzy.

Strażnik skłonił się i wycofał do swojej bud-
ki.

Późnemu spotkaniu sprzyjała czarna jak smo-
ła, bezkiszmiowa noc. Powietrze składało się z
chłodzonych kryształków gazu. Nie wilgotnych
jak latem, nie orzeźwiających jak wiosną, ale
suchych. Świdrowały w nosie. Zapowiadały
chłodny dzień. Światła rzęsiście iluminowanej
klubowej sali dancinowej tańczyły chybliwie
na gładkiej powierzchni Zatoki Eliota. Bawiono
się jeszcze. Przybył kurs ku okazale-
mu jachtowi pełnomorskiemu. Po trapię
wyrzuceniu na ląd wspieli się na pokład. Nie-
długo potem, zamknięci od wewnątrz, rozsiadli
się wygodnie w salonie kapitańskim.

Tu mogli omówić sprawę. W lokalu, w jego
wiktoriańskim stylu urządzonym gabinecie
przy Czwartej Alei, nawet w domu czy klubie
spotkanie z Jimmy Braddocksem rozszło się
w lot po mieście. Wiedź o schadzce wysokiego
officera policji, skłóconego z wiceburmistrzem, z
„The One that Can Do All” zakłóciłaby spo-
kój wielu godnym szacunku obywatelom mi-
sta. Noc, nie podglądana przez zdrajcę Księ-
żca, sama nie wydaje koheantów, a strażnika
Duncan był pewny.

Na zasłonie iluminatora trzepotała cma o ba-
jecznie kolorowych skrzydłach, wielkich jak u
południowo-amerykańskich motyli. Ślepa pasa-
żerka z ostatniego rejsu jachtu do Panamy i
Wenezueli. Jedyny świadek ich rozmowy.

Duncan włączył magnetofon.

Mówił Braddock:

— Skrytobójczym strzałem zamordowano Ca-
simira Skala, byłego szefa pilotów oblatywaczy,
asa lotnictwa myśliwskiego RAF-u podczas dru-
giej wojny światowej, bądź co bądź osobistość.
Echa zbrodni odbiły się w Waszyngtonie i Lon-
dynie. Wyniki śledztwa prowadzonego przez po-
rucznika Chargera z policji kryminalnej, dotąd
znane, zdają się wskazywać, że sprawca zbrodni
nie zostanie wykryty. Wobec stwierdzonego
przez mnie poważnych uchybień w trybie pro-
wadzenia śledztwa u tak doświadczonego de-
tektywa, jakim jest Changer, wręcz świadomych,
zastanawiałem się, czy w tej sytuacji nie było-
by lepiej sprawy nie ruszać. Tajemnicza śmierć
wszystkich po kolei siedemnastu osób, które
miały nieszczęście widzieć miejsce, skąd padły
strzały do prezydenta Kennedy'ego, inne niż
ustalone przez FBI, przemawia za nieangażowa-
niem się w sprawę.

Rzecz jest sztywna grubymi nićmi. Sugerujący-
mi pewnością siebie sprawców i swojej nietykali-
ności. Niezwykle łatwo bowiem mnie, outside-
rowi, udało się wpaść na trop zabójcy i jego
kompanów. I jeżeli okaże się, że nie jest to ro-
bota rzeźmieszków, to każdy podważający ofi-
cjalne wyniki śledztwa może się znaleźć w
konflikcie z groźnymi siłami.

Relacji Braddocka towarzyszył jedynie chlu-
pot wody o burcie. Włączone urządzenie alarmo-
we trapi, reagujące na każdy krok na schodach
młeczko. Duncan podniósł szklankę rozcieńczo-
nej whisky.

— Jestem dla pana Cliff.

— Dziękuję, Jimmy.

— Nie marnujmy czasu, Jim.

— Wiecej po kolei. Przed mną więcej miastem
„Seattle's Monitor” zamieścił zdjęcie de-

zertorów z naszej armii w Azji Południowo-
Wschodniej demonstrujących przed Ambasadą
US w Sztokholmie przeciwko polityce zagranicz-
nej Waszyngtonu, na którym zidentyfikowano
syna zamordowanego, dezertera z szeregu
CIA. Dalo to impuls do rozpętania przez Gwia-
dzisty Szandar, przy współudziale „Monitara”,
znanej ci nagonki na dom Skali. Nie przebie-
rano w środkach, które we wstępnej fazie każ-
dy adwokat określiłby jako atak na swobody
obywatelskie, dający się jednak podciągnąć pod
„emocjonalne dawanie upustu uczuciom patrio-
tycznym”, kwalifikację — ocean, która przekłnie
każdą akcję short of law breaking
(ang. na pograniczu prawa). Na tym
etapie wielką wyrozumiałością dla „patriotów”
wykazał się zastępca komendanta dzielnicowego
komisariatu policji, sierżant Sean Hatfield, na-
tomiasz agresją wobec napastowanego organi-
zowanymi pikietami i czynnie Skali. Moja in-
gerencja w obronę napastowanego skończyła się
wymuszeniem na mnie podaniem się do dymisji.
Świadczy to o udziale w tym czynnikach wyż-
szych od wiceburmistrza Warda, odpowiedzial-
nego za bezpieczeństwo w mieście. Ale ocenę
tego pozostawiam tobie, Cliff.

Duncan wyłączył nagrywanie.

— Nie sądzę, abyś znalazł w mieście adwo-
kata, który by się podjął przekonania ławy
przysięgłych o winie Hatfielda, a tym bardziej
Warda. Inspirowane nekaniem obywatela, zga-
dzam się, ale short of law breaking, a z tego
łatwo się wymigać. Bo zwolnienia z pracy Skali,
będącego w wieku emerytalnym, nie da się
podważyć. Z tych czy innych względów — mo-
tywacja obojętna — Boeing skorzystał z przy-
sługującego mu prawa, przynasza natomiast, że
gratyfikacja materialna, jaką go obdarował,
oraz oficjalna forma rozstania wystawia kon-
cernowi wysoką notę z etyki.

— W mojej relacji sprawę tę pominałem...

— Zauważyłem to. Jedź dalej, Jim. — Dun-
can włączył magnetofon.

Dotąd mieliśmy do czynienia — podjął
Braddock — ze zorganizowaną akcją nekania,
ale następne nie dają na siebie czekać. Niedługo
potem Skala został obalony na ulicy kwasem
solnym, co jest napaścią czynną. Jednak i tu
policja zachowała się biernie, nawet nie wszczy-
niając dochodzenia. Krytycznym momentem,
najprawdopodobniej nie przewidzianym w sce-
nariuszu nekania, stało się ostrzelanie przez
Skala sprawców podrzucenia pod dom petard
z substancją żrącą-cuchnącą. Postawę policji
zostawiam chwilowo na boku. Do umykających
samochodem napastników Skala oddał dwa
strzały z karabinu marlin 444 magnum. Musiał
widzieć ich wskazujących do samochodu, sko-
ro otworzył ogień. As lotnictwa myśliwskiego,
mający opaloną sztukę strzelania z wyprze-
dzeniem do obiektu będącego w ruchu, mógł
chybić, ale nie mógł nie trafić w pustą o tej
porze, szeroka jezdnia. I istotnie: znaleziono
miejsce uderzenia pocisku — jedno i jeden po-
cisk. Dziecinne pytanie, jakie policja winna so-
bie zadać, lecz nie zadada — w co uderzył dru-
gi pocisk, naprowadziło mnie na właściciela
wspomnianego samochodu oraz na zabójcę Skali...

Kamienna twarz Duncana na słowo „zabójca”
ani drgnęła. Braddock przyspieszył tempo rela-
cji.

Właścicielem samochodu marki chevrolet
rocznik 75, niestarego, okazał się policjant pod-
legający bezpośrednio Hatfieldowi, Gino Massi-
ni. Ten lotrzyk niedużego kalibru, skłonny do
wykorzystywania nieletnich dziewcząt schwyta-
nych podczas wykroczeń przeciwko prawu, do-
stał się do policji po powrocie z Wietnamu,
gdzie dorobił się odznaki strzelca wyborowego.
Skala został trafiony śmiertelnie w głowę jed-
nym strzałem. Oddany z odległości dwustu
dwudziestu jardów. Do takiego celu trafił tylko
strzelec wyborowy. Hasło „strzelec wyborowy”,
jakie nie przyszło na myśl porucznikowi Char-
gerowi, zaprowadziło mnie wprost do Massinie-
go, do zabójcy zaś — ples państwa Jacksonów,
sąsiadów Skali z naprzeciwka, wilczur Apollo,
bardzo czujny pies, który kilka minut przed
strzałem pognał w rezerwat rododendronów.
Pognał, nie ujadając, gdyż wywęszył tam obec-
ność swego tresera, też strzelca wyborowego...

W wyszyciu z czasem Braddock nie zdążył
zdecydować się: dziwić się łatwości, z jaką roz-
wikłał sprawę, czy pewności siebie osób zamie-
szanych w nią. Od zauważenia Massiniego wy-
siadającego z nowiutkiego wozu wszystko, po-
za osobą zabójcy, było dla niego jasne, zapozna-
nie się z walorami psa należącego do konstruk-
tora bezzalagowych systemów nawigacyjnych
wyjaśniło resztę.

Mowa jest słabą stroną Gino Massiniego, je-
go relację trzeba wpiąć uporządkować. Więc
po kolei!

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glane